



**KRZYK CISZY**

**Elizabeth Flock**

Tytuł oryginalny:

*But huít I'm Sertaming*



TLR

*Jeffreyowi*

TLR

*Z czterech wiatrów przybądź, duchu,  
i powiej po tych pobitych, aby ożyli (...)  
i duch wstąpił w nich, a ożyli i stanęli na nogach*

*Księga Ezechiela 37, 9-10*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Isabel skubała postrzępione nitki, które kiedyś przytrzymały błyszczący guzik blezera. Skulona nad klawiaturą, z twarzą żółtą od zbyt ostrego światła jarzeniówek, trzykrotnie ułożyła pasjansa do końca, zanim ją wreszcie znudził, a potem apatycznie sięgnęła po mysz i poklikała w depesze agencyjne, sprawdzając, co się jeszcze wydarzyło w ten spokojny długi weekend.

Wpatrywanie się w migoczący ekran, czy to w przelatujące przezeń słowa, czy w triumfalnie roztańczoną talię kart, przynosiło ulgę od zamętu, jaki panował w jej umyśle; rozzłoszczone okrzyki przeskakiwały z miejsca na miejsce jak kolory w kostce Rubika. *Nie mogę na ciebie patrzeć!* - krzyczał jej mąż, a na to nakładał się głos ojca: *Nie masz żadnej rodziny!* i *Co cię to wszystko obchodzi?*. A potem znów Alex: *Jesteś zerem, w ogóle się nie liczysz!*

Potrząsnęła głową, usiłując zmusić niewidoczne kwadraciki, by wróciły na swoje miejsca.

- Hej, Jack, sprawdź depesze AP. Księżna Diana miała jakiś wypadek! - zawołała naraz przez całą szerokość studia Informacyjnego do wydawcy programu i jej serdeczny palec powędrował w stronę zębów.

- Pewnie ktoś jej zarysował lakier na mercedesie i uznali to za katastrofę tygodnia - rzucił obojętnie redaktor wydania.

Isabel zastępowała prezentera, który zwykle prowadził weekendowe wiadomości, ale w tym tygodniu wziął sobie wolne, bo chciał spędzić długi weekend z rodziną w Hamptons.

*Naprawdę myślisz, że uda ci się tego uniknąć?* - prychnął niezidentyfikowany głos w jej głowie. Przygryzła skórę przy paznokciu.

- No, nie wiem, Jack. Oznakowali to jako bardzo pilne. Może by tak zadzwonić do biura w Londynie i sprawdzić, co oni wiedzą?

- Dobrze, zadzwońmy - westchnął Jack z rezygnacją.

Doskonale wiedział, że liczba mnoga w tym wypadku oznacza wyraźne polecenie dla osoby, która akurat znajdowała się najbliżej biurka.

*Nie mogę na ciebie patrzeć. Słyszysz? Nie mogę na ciebie patrzeć.*

Isabel znów potrząsnęła głową. Dla kogoś obserwującego ją z boku mogło to wyglądać, jakby opędzała się od natrętnych komarów.

Jack nacisnął guzik bezpośredniego połączenia z Londynem i w tej samej chwili rozdzwoniły się wszystkie telefony. Isabel podniosła słuchawkę pierwszej linii.

- Isabel, tu John. Już do was jadę. Z kim rozmawiałaś?

- Co?

- Właśnie dostałem sygnał z Londynu. Rozmawiałaś z Tedem? On chyba też jest w drodze.

*Jezu.* Poczowała, że żołądek zaciska jej się na supeł.

- Co ci powiedział Londyn? Jack właśnie z nimi rozmawia, ja jeszcze nic nie wiem.

- To coś poważnego. Mówili, że jak tylko ich paryski reporter dotrze do biura, skoordynują z Jackiem transmisję wideo. Samochód jest zupełnie skasowany. Powinny być niezłe zdjęcia.

- Są ranni?

- Jeszcze nie wiedzą. Słuchaj, mała, chyba będziesz musiała zrobić wydanie specjalne. Co ty na to?

*Nie. Jezu Chryste, nie.*

- Jasne - wykrztusiła.

Chciała, by zabrzmiało to przekonująco, ale była pewna, że jej nie wyszło.

- Na pewno? Ted dzwonił do mnie i mówił, że ty masz to poprowadzić. On już tam jedzie, żeby wszystkiego dopilnować. Ale jeśli ci to nie odpowiada, to po prostu powiedz, znajdziemy kogoś innego. Nie ma przymusu.

Isabel wyprostowała się i wzięła głęboki oddech.

- Wszystko w porządku, John. Poważnie. Nawet się nad tym nie zastanawiaj.

*Nie mogę tego zrobić. Nie teraz. Nie dzisiaj. Tylko nie to.*

John jednak nie pozbył się wątpliwości tak łatwo.

- Kto tam jeszcze jest na dyżurze?

- Nikogo nie ma. Tylko ja, Jack i kilku realizatorów na zapleczu, nie wiem dokładnie, kto tam jest.

- Jak Boga kocham... Dlaczego Jack nie ściągnął nikogo rezerwowego? Potrzebujemy kilku redaktorów już w tej chwili, zanim zbierzemy się do kupy i dowiemy dokładnie, co tam się właściwie stało. Daj mi Jacka.

- Poczekaj. - Isabel poczuła ucisk w głowie, przesuwaną się na skronie.

Z komputera co kilka sekund wydobywał się pisk i wciąż na nowo wyskakiwała ta sama, oznaczona jako pilna, wiadomość o wypadku samochodowym Diany. Gestem wskazała Jackowi, by podniósł słuchawkę. Miał już po jednej przy każdym uchu; wstał z krzesła i przechadzał się nerwowo za biurkiem wydawcy programu.

*Uspokój się. To moja ostatnia szansa. Ostatnia szansa. Ostatnia szansa. Ostatni taniec... Zatańczmy... ostatni taniec... na dziiiiś. Tak, to moja ostatnia szansa...*

„Pałac Buckingham potwierdza, że Diana, księżna Walii, dziś wieczorem uczestniczyła w poważnym wypadku samochodowym. Nie są jeszcze znane szczegóły obrażeń, jakich doznała.”

Wpatrując się w treść depeszy AP na ekranie komputera, Isabel zacisnęła powieki, po chwili znów je otworzyła i próbowała udawać sama przed sobą, że pole widzenia wcale jej się nie zawęża po bokach.

*Naprawdę myślisz, że uda ci się przed tym uciec?* - odezwał się znów głos i złowieszczy śmiech odbił się echem od wnętrza czaszki.

*Nie teraz. Proszę. Uspokój się.*

W dwie sekundy później wizażystka cofnęła się o krok, po czym jeszcze raz musnęła jej czoło pudrem.

- Dobra. - Ted Sargent nerwowo poprawiał dwie kartki papieru na biurku prezentera, za którym siedziała Isabel. - Masz wszystko, czego ci trzeba?

- Tak, Ted - odpowiedziała głosem o oktawę wyższym od normalnego. - Przepraszam, ale właśnie coś do mnie mówią w słuchawkach...

- Nie przywykła do tego, by dyrektor pionu informacyjnego zaglądał jej przez ramię.

- Isabel, bądź gotowa - powiedział głos w jej uchu. - Nie wiemy dokładnie, kiedy wejdiesz. Bądź w gotowości.

Jeszcze nigdy nie prowadziła specjalnego wydania. Obróciła się na krześle i powiodła wzrokiem po pomieszczeniu, które w jednej chwili obudziło się do życia: asystenci, redaktorzy, realizatorzy - wielu z nich nigdy wcześniej nie widziała - biegali dokoła, sięgali po słuchawki, stukali w klawiatury, przeglądali kilometry taśm z Dianą w poszukiwaniu najlepszych ujęć. Miała wrażenie, że znajduje się w startującym samolocie i od rosnącego ciśnienia za chwilę popękają jej bębni w uszach.

- Przerywamy program, by nadać specjalne wydanie wiadomości ANN. Pałac Buckingham potwierdził przed chwilą, że Diana, księżna Walii, uczestniczyła w wypadku samochodowym w Paryżu. Szczegóły dotyczące wypadku oraz zasięg obrażeń, jakim uległa księżna, nie są jeszcze znane, ale wypadek określono jako poważny. Powtarzam, księżna Diana uczestniczyła w poważnym wypadku samochodowym w Paryżu. Nastąpił około godziny temu. Bliższe szczegóły podamy w kolejnych specjalnych wydaniach wiadomości. Z głównego studia ANN w Nowym Jorku mówiła Isabel Murphy.

Isabel przeczytała treść wiadomości, poruszając bezgłośnie ustami. Serce biło jej tak szybko, jakby chciało dogonić rozpędzone myśli.



- Chip? - szepnęła do mikrofonu, prawie nie poruszając wargami, które przybrały teraz fioletowy kolor - lodowatoniebieski strach zmroził krwistoczerwoną barwę szminki. - Czy zostało mi jeszcze pięć sekund na szybki telefon? To ważne.

- Czekamy na wejście na wizję, więc w zasadzie nie, ale wej dopiero w przerwie bieżącego programu, więc jeśli się pospieszysz... jeszcze siedemnaście sekund do stanu pełnej gotowości. Dzwon.

Schowana za biurkiem prezentera Isabel zdążyła już wstukać pierwszych dziewięć cyfr w klawiaturę telefonu i teraz, słysząc przyzwolenie Chipa, wcisnęła ostatni klawisz.

- Cześć, to ja - odezwała się cicho. - Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś oglądała za chwilę ANN.

Na jej twarzy odbiło się przygnębienie.

-A gdzie on jest? Och. No dobrze. To na razie.

*Może wróci do domu za kilka minut i jeszcze zdąży zobaczyć. Mama będzie miała włączony telewizor.*

- Dobra, Isabel. - Głos w jej uchu był spokojny i stanowczy. - Za minutę wchodzimy na wizję. Bądź gotowa.

*Nie mogę na ciebie patrzeć. Nie mogę na ciebie patrzeć.*

Wyprostowała się na krześle i nerwowo dotknęła pokrytych lakierem włosów.

*Uspokój się. Uspokój się.*

- Isabel, jesteś gotowa? - Ted stał tuż za prompterem; ekran zwrócony był w jej stronę.

*Ostatnia szansa. Ostatnia szansa. Na miłość... tylko dziś.*

-Tak - odrzekła, opuszczając wzrok na leżącą przed nią kopię tekstu. Było to zabezpieczenie na wypadek awarii telepromptera. Na papierze odcisnął się ślad jej wilgotnej dłoni.

*Może właśnie w tej chwili wchodzi do domu.*

Usłyszała głos redaktora wieczoru i jej serce zaczęło bić jeszcze szybciej:

- Uwaga, Isabel. Trzydzieści sekund.

*Och, Boże, proszę...*

Ted w pośpiechu wybiegł zza kamery i stanął przy stanowisku kontrolnym.

*Ostatnia szansa...*

- Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem - sygnał muzyczny - pięć, cztery, trzy, dwa. - Dobrzy wydawcy nigdy nie mówią „jeden”.

*Ostatnia szansa...*

Isabel spojrzała w kamerę i po raz pierwszy w ciągu jej telewizyjnej kariery ogarnął ją zupełny paraliż.

- Isabel! Jesteś na wizji! - natarczywie szeptał jej do ucha Chip.

Żadnej reakcji.

*Ostatnia szansa... ostatnia szansa...*

Nie było jej przy biurku prezentera. Znajdowała się w równoległym wszechświecie, gdzie Donna Summer w kółko śpiewała tę samą piosenkę, a ona sama zsuwała się spiralnym ruchem w dół brudnego pionowego tunelu. Obserwowała własny upadek, ale czuła się kompletnie bezsilna i nie potrafiła mu zapobiec, choć desperacko próbowała zapierać się ramionami o ściany ciemniejszego leja, znaleźć jakiś uchwyt na śliskiej powierzchni.

Na ekranach pojawiły się plansze z barwną grafiką i zabrzmiała niepokojna muzyka, w której prym wiodły trąbki i rożki francuskie. Widzowie zaczęli przełączać telewizory na inne stacje. Ted Sargent wybiegł ze stanowiska kontrolnego i uważając, by nie wejść w zasięg kamery, rzucił się w jej stronę.

-Isabell - syknął ze złością.

Nic.

*Nie mogę na ciebie patrzeć.* Głosy przedarły się przez mgłę i nie były już głosami innych ludzi; to był jej własny głos. *Słyszysz, co mówię? Nie mogę na ciebie patrzeć!*

Ted znów wbiegł na stanowisko kontroli i krzyknął do wydawcy:

- Wrzuć jakąś grafikę, cokolwiek! Wyciemnij obraz! Kurwa mać!

Podniósł głowę i popatrzył na monitory z podglądem innych stacji. Wszystkie nadawały specjalne wydania wiadomości poświęcone Dianie. CBS pokazywało wideo Diany z dziećmi w kolejce górskiej w parku rozrywki, NBC jakimś cudem udało się ściągnąć do studia Toma Brokawa. Mijały cenne minuty, a ANN nie pokazywało nic. A ponieważ stałego prezentera wieczornych wiadomości nie było w mieście, stacja nie miała nikogo poza Isabel Murphy, która właśnie w tej chwili, na oczach milionów widzów ogólnokrajowej sieci telewizyjnej, zamieniała się w czarną dziurę.

- Isabel, co się z tobą, do diabła, dzieje? - Na twarzy Teda widać było, że ostatkiem sił powstrzymuje się, by nie sięgnąć nad blatem biurka do jej gardła i nie zadusić swej jedynej nadziei. - Isabel! Jezu Chryste, Isabel! Oprzytomnij wreszcie!

Patrzyła na jego poruszające się gumowate usta. Jego głos mieszał się z innymi głosami, które wciąż do niej mówiły, wprowadzając coraz większy zamęt w umyśle.

Chip, głos ze słuchawki, stał teraz przed nią we własnej osobie.

- Isabel, potrzebujesz lekarza? Co się dzieje?

Zwykle niewzruszony, teraz był równie zdenerwowany jak Ted. Po takich numerach ludzie tracili pracę. Największa medialna sensacja roku, a tymczasem Isabel w pojedynkę rujnowała reputację całej sieci.

- Isabel, musisz mnie posłuchać. - John Goodman, starszy redaktor, który tego dnia miał akurat dyżur, stanął nad nią i tłumaczył odmierzo-  
nym, stanowczym tonem: - Musisz teraz wejść na żywo, rozumiesz? Jeśli stało się coś złego, to za chwilę się tym zajmiemy, ale teraz musisz wejść na wizję.

Isabel z trudem skupiła wzrok na jego surowej twarzy.

*To jest człowiek, który przyjmował mnie do pracy. Ten, który uwie-  
rzył we mnie, gdy nikt inny nie chciał mi dać szansy.*

- Dobrze - szepnęła, nie poruszając ustami, jak brzuchomówca.

Nikt oprócz Johna jej nie usłyszał.

- Tak? Zrobisz to? Na pewno? - dopytywał się, kiwając głową do Teda i Chipa.

- Tak - odpowiedziała słabo.

*Muszę to zrobić.*

Chip znów pobiegł na stanowisko kontroli. Przez słuchawkę, którą jej zostawił, Isabel słyszała krzyki w kabinie realizatora.

- Ted, to jest jedna wielka pomyłka. Mówiłem ci przecież, że nie chcę jej tu dziś wieczorem! - To był Chip.

- Tylko dlatego, że nie przywykła do transmisji na żywo? Daj spokój.

- Dobra, Isabel, spróbujmy jeszcze raz. - Chip już odzyskał zimną krew. - Trzydzieści sekund.

*Proszę. Proszę.*

- Tylko spokojnie. Nie spinaj się - tłumaczył Chip.

*Proszę. Uspokój się. Proszę. Proszę.*

- Sargent, ja muszę dbać o moich dziennikarzy - mówił John do Teda. - I mówię ci, że to nie jest dobry pomysł, żeby ją teraz straszyć! Gdzie jest Roberts? Zawołajcie go tutaj.

- Piętnaście sekund. - Supeł w żołądku Isabel zaciskał się coraz mocniej; obawiała się, że nagle zwymiotuje. - Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem - sygnał - pięć, cztery, trzy, dwa...

*Ostatnia szansa.*

Kamera zatrzymała się na jej twarzy. Isabel otworzyła usta, ale znów je zamknęła, gdy nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

*Proszę. Proszę, tylko nie to...*

- Nic z tego nie będzie! - wrzeszczał Ted w kabinie.

- Dawajcie grafikę.

Na tle jego poleceń Chip jeszcze raz próbował uspokoić Isabel.

- Zdejmij ją z wizji! - pieklił się Ted. Isabel skrzywiła się, tak głośno te słowa przesywały jej bębunki.

- Zdejmijcie ją z tej cholernej wizji! Jeśli ja mam tu cokolwiek do powiedzenia, to ona już nigdy nie wejdzie na wizję!

*Zatańczmy ostatni raz... ostatni raz... ostatni raz...*

- Daję ci słowo, że jeśli będziesz jej groził, to gorzko tego pożałujesz - ostrzegł go John.

*Ostaaat-nia noooc...*

- Ona jest już skończona. Nic więcej tu nie wskóra

- warknął Sargent.

- Nawet jeśli tak, to będzie jej decyzja, a nie twoja - odparował

John. - Rozumiesz, co mówię?

- Goodman, czy mam ci przypomnieć, z kim rozmawiasz? - zapytał Ted, zniżając głos o decybel.

- Daj jej na razie spokój. Zgoda?

*Tylko popatrz na siebie. Nie mogę na ciebie patrzeć.*

Ted spojrział na studio i otworzył szklane drzwi przed nadbiegającym asystentem.

- I co? Złapałeś go?

- Będzie tu za pięć minut - wydyszał asystent.

Sargent znów zwrócił się do Johna:

- Murphy ma szczęście, że Roberts jest w mieście, bo inaczej rozmazałbym ją na ścianie. Dobra, Chip, przygotuj biurko. Komputer jest odpalony, tak? Melissa, idź do holu i przytrzymaj mu windę. Jest tam jakaś woda do picia? Dobra.

*Rusz się. Musisz teraz wstać. Już po wszystkim. Rusz się.*

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wydaje się niemożliwe, by coś tak małego i cienkiego mogło przeciąć ludzkie życie.

*Zrób to.*

Dwa długie, szybkie cięcia i cały ból wypłynie.

*Dlaczego się waham? No już.*

Isabel wie, że jest zbyt wielkim tchórzem, by przeciąć sobie żyły na przegubach. Wolałaby jakieś bezbolesne rozwiązanie. Brzmi to jak wypowiedź misia Yogi: zabiłbym się, gdyby to tak nie bolało.

*To jest to. To ma najwięcej sensu. Zrób to.*

Podnosi wzrok znad metalowego ostrza na brzegu wanny na blat przy umywalce, gdzie w równym rzędzie stoją buteleczki z tabletkami nasennymi. Drugi wariant planu. Ostatnim razem, gdy tego próbowała, połknęła za mało i obudziła się ze sztywną rurą w przełyku, przez którą pompowano do jej żołądka węgiel. Przez wiele godzin wymiotowała na czarno, a bezduszni stażyści, krzywiąc się, przygotowywali kolejne porcje czarnej jak sadza mikstury, która miała zaabsorbować truciznę.

*Może znów spróbuję z tabletkami. To o wiele łatwiejsze. Tym razem wezmę całą butelkę i dorzucę do tego trochę tylenolu. Powinno zadziałać.*

Podnosi się i wychodzi z wanny, a potem otwiera buteleczkę i odkręca kran. W końcu poddaje się magnetycznemu przyciąganiu lustra,

które wisi tuż przed jej nosem. Aż do tej pory unikała własnego odbicia, dobrze wiedząc, że na wymizerowanej twarzy o wyostrzonych ryśach pod warstwą wyczerpania zobaczy strach.

*Jak ja wyglądam. Jezu. Kim jest ta twarz w lustrze?*

Przenosi spojrzenie na strumień lejącej się wody.

Trzydzieści pięć lat życia, trzydzieści pięć lat wypełnionych po brzegi szkołami, z których przynosiła celujące oceny, miejscami pracy, w których odnosiła sukcesy... Całe trzydzieści pięć lat życia Isabel sprowadzało się do jednej chwili, do jednego obrazu, który przywoływała w pamięci i na którym skupiała się zawsze w chwilach rozpacz.

Obraz przedstawiał pięcioletnią Isabel, ładną, nieśmiałą dziewczynkę, zwiniętą w kłębek na podłodze obok wielkiej suki rasy bernardyn imieniem Violet. Spały razem prawie każdej nocy; potężna Violet wytwarzała mnóstwo ciepła i ogrzewała wtulone w nią drobne ciało dziecka. Rodzice Isabel uwiecznili tę scenę na wielu fotografiach, ale w chwilach wewnętrznego zamętu, gdy potrzebowała pociechy i poczucia bezpieczeństwa, Isabel polegała na własnych wspomnieniach. Ostatnio ten obraz trochę się już wytarł od zbyt częstego używania.

Wspomnienie ciepłego brzucha Violet, jej równomiernego oddechu, miękkiego gęstego futra pozwala Isabel w jednej chwili uciec daleko od cierpienia.

Jak to się stało, że tamta dziewczynka znalazła się, samotna i zdesperowana, w zimnej łazience w Nowym Jorku, rozmyślając o tym, czy lepiej podciąć sobie żyły, czy połknąć garść tabletek?

*Co jeszcze pozostało? Co innego mogę zrobić?*



## ROZDZIAŁ TRZECI

Isabel ostrożnie dotyka dekoltu i krzywi się z bólu. Gardło ma obolałe od plastikowych rur, żołądek jeszcze nie doszedł do siebie po agresywnym płukaniu poprzedniego dnia.

- Cześć. - Katherine, jej matka, czeka na chodniku obok świeżo umytej, luksusowej miejskiej terenówki. Na widok córki wyciąga ramię do uścisku. Isabel poddaje się matce posłusznie, starannie unikając jej wzroku.

- Jedźmy już - odzywa się krótko, wsiadając do czarnego range rovera.

- Wiem, jak tam dojechać, nie powinno być żadnych kłopotów - mówi Katherine, żeby czymś zapełnić niezręczną ciszę, która zapadła w samochodzie, gdy ruszyły. - Nie musisz się o nic martwić.

Włączają się w ruch na Manhattanie. Isabel wygląda przez okno. Budynek, w którym mieszka, powoli znika z pola widzenia.

- Chcesz posłuchać radia?

- Co?

- Radio. Chcesz, żebym włączyła?

- Wszystko jedno - odpowiada Isabel, nie odwracając wzroku od okna.

Wkłada wszystkie siły w to, żeby utrzymać oczy otwarte.

- Jak się nazywa ta stacja, której zawsze słuchałaś? - pyta matka. - Wiesz, ta, do której ciągle dzwoniście, ty i twój brat.

- Mamo. - Isabel ze znużeniem odwraca głowę.

- Przed chwilą wypuszczono mnie ze szpitala. Jestem wykończona. Wszystko mi jedno, czy radio gra, czy nie. Jeśli chcesz, to włącz, mnie to nie obchodzi.

- Uważaj, jakim tonem do mnie mówisz – przerywa Katherine ostrzegawczo. - Jestem twoją matką i po prostu próbuję z tobą rozmawiać!

- Czy musimy rozmawiać akurat teraz?

- Oboje z ojcem nie możemy zrozumieć, dlaczego wczoraj wieczorem do nas nie zadzwoniłaś. Przecież porozmawialibyśmy z tobą, jakoś byśmy cię pocieszyli. Ale ty zawsze od razu się poddajesz!

- Więc nawet teraz nie zachowałam się tak, jak trzeba? Nie tak, jak ty i tato byście sobie życzyli? Przykro mi, mamo, że znów cię rozczarowałam!

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego zawsze się poddajesz. Jak było na przykład z baletem? Powiem ci jak. Nie szło ci dobrze, więc zrezygnowałaś. Zamiast bardziej się przyłożyć, po prostu dałaś sobie spokój!

- Dzięki, mamo. Teraz czuję się o wiele lepiej.

- A potem siatkówka... w żaden sposób nie udawało ci się przerzucić tej piłki ponad siatką... no i co zrobiłaś?

- Mamo!

- Zrezygnowałaś. Przykro mi, Isabel, ale ktoś musi ci wreszcie pomóc zobaczyć prawdę. Może to twarda miłość...

Isabel przymknęła oczy. Przez całą resztę podróży odwieczne kazanie matki przepływało przez nią jak smutna kołysanka.

Na budynku szpitala Three Breezes nie ma żadnego szyldu, tylko dyskretny numer wyrzeźbiony na niskich kamiennych kolumnach stojących po obu stronach ocienionej drzewami alei. Katherine hamuje przed zakrętem, słusznie spodziewając się zaraz za nim progu zwalniającego. Gdy samochód przetacza się przez próg, Isabel dostrzega dozorcę, który zgrabia kilka zabłąkanych liści spod drzewka magnoliowego. Gdy samochód przejeżdża obok niego, podnosi głowę i kłania się nieznacznie. Isabel odwraca wzrok.

Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

Po czterdziestu pięciu minutach wszystkie jej rzeczy leżą porozkłada-  
ne na podłodze w dyżurce pielęgniarek. Wszystko, co przywiozła ze sobą do Three Breezes, wyjęto z walizki i wystawiono na widok publiczny. Bielizna, płaszcz od deszczu, obcinacze do paznokci, przybory do haftowania, pincetka. Wszystko.

*O co tu, do diabła, chodzi?*

- Isabel, nie musisz przy tym asystować. - Pielęgniarka siedzi ze skrzyżowanymi nogami na podłodze wśród porozkładanych dokoła przedmiotów. Na kolanach ma suszarkę do włosów Isabel. - Przy przyjęciu do szpitala wyjaśniliśmy ci, że musimy przejrzeć walizkę każdego pacjenta. Nie traktuj tego osobiście. Niektórzy pacjenci nie mają z tym problemu, po prostu pozwalają nam przejrzeć bagaże, a potem oddajemy im to wszystko, czego wolno im używać.

- Co to znaczy: wolno im używać?

- To tylko dla dobra pacjentów - wyjaśnia pielęgniarka. - Przeglądamy wszystkie rzeczy, wybieramy te, które mogą być potencjalnie niebezpieczne, i odkładamy je na bok. Po przeglądzie wkładamy je w pojemnik oznaczony nazwiskiem pacjenta...

*Dlaczego mówi do mnie takim tonem, jakby to było przedszkole? Czy nie widzi, że ja jestem zupełnie inna niż wszyscy pozostali pacjenci?*

- ...pojemnik przechowujemy w szafce zamykanej na klucz - ciągnie pielęgniarka. - Jeśli zechcesz użyć czegoś z szafy, to musisz poprosić o pomoc kogoś z personelu. Może jednak lepiej byłoby, gdybyś nie asystowała teraz przy tym przeglądzie.

*Jeszcze czego. Nie mam zamiaru wychodzić, dopóki tego nie skończą. Co na tej kupce robi moja suszarka do włosów obok paczki maszynek do golenia Lady Bic?*

*Rozumiem maszynki - nie jestem kompletną idiotką - ale co mogłabym zrobić z suszarką... zaszuszyć się na śmierć? Igła do haftowania też?*

- Dlaczego zabieracie mi przyrządy do haftowania? - pyta Isabel przez zaciśnięte zęby. - Robię poduszkę dla mojej bratanicy.

*Przecież jej nie obchodzi, dla kogo jest ta poduszka... dlaczego się tłumaczę?*

- Tam jest igła? - odpowiada pielęgniarka pytaniem na pytanie. - Można to robić tylko pod nadzorem.

Nawet butelka z tonikiem do twarzy Oil of Olay podlega konfiskacie.

- To szklana butelka? - upewnia się pielęgniarka.

Przez krótką chwilę Isabel dostrzega otwarte ze zdumienia usta matki, Katherine jednak szybko odzyskuje kontrolę nad sobą. Szok matki jest dokładnym odbiciem szoku, który przygniata i dławi Isabel.

Gdy odtwarzacz Hammacher Schlemmer również wędruje na kupkę rzeczy zakazanych, złość Isabel przerywa zapory.

- Tego już za wiele. To nie ma żadnego sensu! - wybucha. - Oddajcie mi odtwarzacz! Nie jest ostry ani niebezpieczny!

- Hm, musimy go dokładnie sprawdzić.

- Niczego nie będziecie sprawdzać! - krzyczy Isabel głosem o oktawę wyższym niż zazwyczaj. Katherine kładzie rękę na jej ramieniu. Isabel gwałtownie obraca się twarzą w jej stronę. - Zabierz tę rękę, mamo! Wiem, co chcesz mi powiedzieć. To jest sygnał, który oznacza: Zamknij się, Isabel. Jak ty się zachowujesz!

Katherine szybko cofa rękę i odsuwa się o krok.

- O co chodzi, mamo? - dziwi się Isabel. - Myślisz, że mogę ci zrobić krzywdę?

Katherine unosi wysoko brwi w grymasie udawanego przestachu i odpowiada, zwracając się bardziej do pielęgniarki niż do córki:

- Ja już nie wiem, czego mogę się po tobie spodziewać, Isabel. Skąd mogę wiedzieć, co ci za chwilę strzeli do głowy?

*Fantastyczne. Doskonale. Teraz chce ich przekonać, że jestem niebezpieczna.*

- Chcę tylko powiedzieć, Isabel - mówi pielęgniarka, zmieniając ton z przyjaznego na stanowczy – że przeprowadzimy prosty test elektryczny i zwrócimy ci ten odtwarzacz jeszcze dziś wieczorem. Najdalej jutro.

*Nie zniosę tego. Nie zniosę...*

Isabel opiera się o framugę drzwi.

- Niedługo ci go zwrócimy.

*Nie chodzi o odtwarzacz, ty kretynko. Tylko o wszystko razem. O całe to miejsce. Całą tę jaskinię węży.*

Osuwa się w dół po futrynie i opada na próg jak bezwładny tłumok. Katherine staje nad nią.

- Dobrze, wystarczy już tego. Wyjdźmy stąd na chwilę.

- Proszę pani? - To ta sama pielęgniarka. Wypowiada każde zdanie takim tonem, jakby to było pytanie. -Hm... jej nie wolno już wychodzić poza oddział? Nie ma pozwolenia? Musi przez cały czas pozostawać w budynku.

Isabel, ogłuszona, patrzy na jej twarz. Mgła otaczająca wszystkie kształty na moment się rozprasza, a łzy, które przed chwilą zaczęły płynąć, natychmiast wysychają.

- Co takiego?

- Mmm, zostałam już przyjęta, więc teraz nie możesz wyjść. Lekarz prowadzący za chwilę tu przyjdzie i wszystko ci wyjaśni - odpowiada pielęgniarka i wraca do przeglądania rzeczy.

Oddech Isabel staje się płytki. Wyciąga rękę do matki i próbuje się podnieść.

- Mamo?

- Tak?

- Chodźmy stąd - mówi Isabel po prostu. - Chodźmy stąd. Masz kluczyki do samochodu?

Katherine przenosi wzrok z córki na pielęgniarkę, niepewna, co zrobić. Druga pielęgniarka, która do tej pory przeglądała dokumenty, teraz podnosi wzrok na Isabel.

- Dobrze, skarbie - mówi chropawym, lecz łagodnym głosem. W jej tonie pobrzmiewa nuta rezygnacji, jakby widziała już tysiące takich Isabel. - Chodź tu, usiądziemy na chwilę. - Prowadzi Isabel do jedno-

osobowego pokoju, który jej przydzielono, Isabel jednak wyrywa rękę i skupia się na matce, przeszywając ją intensywnym spojrzeniem.

- Mamo? Kluczyki do samochodu? - Mocno zaciska usta i gardło, żeby powstrzymać wymioty.

Dopiero teraz dociera do niej, że ma tu zostać. Matka jednak nawet nie próbuje sięgnąć do przepaścistej torby.

*Och, Boże. Dlaczego mama nic nie robi? Dlaczego tak na mnie patrzy?*

- Mamo? Mamo? Proszę cię, mamo. Proszę, zabierz mnie do domu!

Isabel wybucha płaczem. Pielęgniarka i Katherine prowadzą ją do nagiego pokoju ze złowieszczą plamą na przemysłowej wykładzinie, pokrywającej całą podłogę od ściany do ściany.

- Nie. Nie, mamo. Zmieniłam zdanie. Nie chcę tu zostać. Poważnie, zmieniłam zdanie. Mamo, słyszysz mnie? Mamo?

Widzi, że krzyk w niczym jej nie pomoże, zaczyna więc błagać.

- Mamo! Proszę cię, mamo...

Na twarzy matki dostrzega tę samą mieszankę przerażenia, szoku i niechęci, co dwa dni wcześniej na Manhattanie, tamtego wieczoru, gdy oznajmiła rodzicom, że zdecydowała się posłuchać rady lekarza i dobrowolnie zgłosić do kliniki psychiatrycznej w północnej części stanu Nowy Jork, „zanim mnie tam zamkną przymusowo”.

- Daj sobie dwadzieścia cztery godziny, Isabel - mówi pielęgniarka, ujmując ją pod łokieć i prowadząc do łóżka. - Tylko dwadzieścia cztery godziny.

Butelka wody mineralnej nie daje się odkręcić. Isabel rozgląda się po pomieszczeniu i widzi, że otaczają ją wyrzutki społeczeństwa. Przegran, dosłownie i w przenośni. Dosłownie, bo przegrali walkę o to, by zakończyć własne życie. I w przenośni, bo cała grupa wygląda jak statyści, których nie zaangażowano na plan „Lotu nad kukułczym gniazdem”.

Ręce Isabel trzęsą się tak mocno, że rezygnuje z wody. Oczy z rozszerzonymi źrenicami wydają się czarne, a nie zielone.

Z drugiej strony sali patrzy na nią kobieta o krótkich, gęstych, lśniąco-czarnych włosach. Powoli, nie odrywając wzroku od twarzy Isabel, podnosi do ust swoją butelkę z wodą i przysysa się do sportowego ustnika jak niemowlę.

*Jezu. Gdzie ja jestem? Co to za miejsce?*

W chwilę później do sali wtacza się potężny mężczyzna. Isabel kurczy się w sobie. Jedyne wolne krzesło znajduje się obok niej. Mężczyzna ciężkim krokiem zmierza w tym kierunku i głośno wzdychając, wciska się w ostatni ze stojących tu foteli różnej maści. Jego tłuste, ciastowate, białe uda stapiają się z winylem. Upał wzmacnia zapach jego potu. Jediną barierą, która oddziela Isabel od jego śmierdzących pach, jest niestanowiąca żadnej ochrony poliestrowa koszulka, która dodaje spoconemu olbrzymowi pikanterii.

- Dobrze wiem, o czym będę dzisiaj mówił - oświadcza radośnie w stronę swojej nieszczęsnej sąsiadki.



Przypomina szczeniaka o grubych łapach, pokrytego jeszcze warstwą niemowlęcego tłuszczu, i wydaje się mieć umysłowość sześciolatka.

Isabel uporczywie patrzy prosto przed siebie. Wie, że jeśli spojrzy na olbrzyma, zachęci go tym do rozmowy. Najbardziej ze wszystkiego pragnie, aby ten dzień już się skończył, aby zegar zaczął tykać szybciej.

*To jakiś koszmar.*

- Skrzydełka kurczaka z grilla! - woła śmierdzący mężczyzna-dziecko.

Isabel ma wrażenie, że chciał do niej szepnąć, ale jest tak podekscytowany wiadomością, którą chce uraczyć grupę, że zapomina dostosować głośność i wykrzykuje te słowa. Jemu samemu chyba to nie przeszkadza, ale Isabel ostentacyjnie go ignoruje.

*To jest koszmar, a ci ludzie to świry.*

- Ćśśś - szemrze jak na komendę grupa wyrzutków.

Wszyscy oprócz czarnowłosej dziewczyny z butelką wody, która wybucha zbyt donośnym śmiechem. I jeszcze jednej, młodszej, o długich, prostych jak druty włosach, która wpatruje się w przestrzeń. O dwie osoby w lewo od Isabel siedzi starsza kobieta w kaftanie bezpieczeństwa.

- Wczoraj próbowała uderzyć szefa grupy, gdy ją zapytał, o czym myśli - szepcze śmierdziuch do Isabel.

Isabel wchłania to wszystko, znieruchomiała jak posąg, w eleganckich spodniach z czarnej gabardyny i czarnej koszulce z Barneys New York. Ręce ma mocno skrzyżowane na piersiach, jakby ją również skrepowano niewidzialnym kaftanem bezpieczeństwa, nogi ciasno założone jedna na drugą, gęste jasne włosy przesuszone i łamliwe.

*Jak ja tu, do diabła, wylądowałam?*

W kilka godzin później Isabel, wciąż w tym samym ubraniu, leży na plecach z szeroko otwartymi oczami. Przez ramię wciąż ma przewieszoną torebkę; gdyby ktoś ją podniósł i postawił, mogłaby po prostu stąd wyjść. Z drugiej strony betonowej ściany dobiega tępy odgłos powtarzających się uderzeń. Wyteża słuch, usiłując rozpoznać dźwięk.

Łup!

Przez następnych pięć minut stara się ignorować uderzenia, ale w końcu podnosi się i z mocno bijącym sercem ześlizguje z łóżka. Jest o kilka centymetrów wyższe niż zwykłe łóżko i zaskakuje ją to, że stopy nie dosięgają podłogi w spodziewanym momencie. Odczekuje chwilę, a potem przełyka ślinę i podchodzi do drzwi wzdłuż smugi światła, która wpada przez szczelinę. Korytarz jest pusty. Isabel czeka, aż oczy przyzwyczają się do jaskrawego światła lamp na suficie. Ostre dźwięki dochodzące zza sąsiednich drzwi jeszcze bardziej powiększają jej panikę.

Z ciałem przyciśniętym do betonowej ściany, jak włamywacz, po cichu zbliża się do źródła tych dźwięków. Znowu przełyka ślinę. Tętno dudni jej w uszach. Wzdryga się nerwowo, gdy o kilka metrów od niej, za załomem korytarza, coś upada na podłogę.

*Może lepiej byłoby wrócić do pokoju. To głupie. Wracam.*

Po chwili wyczekiwania ostrożnie wysuwa się za róg i zerka przez szparę w uchylonych drzwiach do sąsiedniego pokoju.

Czarnowłosa dziewczyna od butelki ze sportowym korkiem w szale aktywności demoluje pomieszczenie. Szuflady są powyciągane, skarpetki rozrzucone, pościel ściągnięta z łóżka, wszystkie rzeczy wyrzucone z szafy. Co jakieś dwadzieścia sekund dziewczyna kopie w ścianę. Isabel zamierza odwrócić się i przekraść z powrotem do swojego pokoju, ale dziewczyna podnosi głowę i dostrzega ją.

- Szpiegujesz mnie? - pyta, strzelając oczami na boki. - Czego chcesz?

- Co? - Isabel, zaskoczona, wpada w panikę. - Hm, może potrzebujesz pomocy czy coś?

*Matko Boska, dlaczego zaproponowałam jej pomoc? Nie mam ochoty jej pomagać... to wariatka.*

Czarnowłosa kobieta odwraca się do niej plecami i wysypuje całą zawartość torebki na środek podłogi.

- Mam na imię Melanie - mówi bez tchu.

Isabel cofa się i spogląda w głąb korytarza.

*Czy jakiś porządkowy nie powinien tu przyjść i jej uspokoić? Czy nikt inny nie słyszy tych hałasów? Halo? Siostro Ratched? Jest tu ktoś?*

- Hej! - woła Melanie. - Chcesz mi pomóc czy nie?

- Aha, dobrze. - Isabel przykłęka w drzwiach i nie mając pojęcia, od czego zacząć, ostrożnie bierze w palce szminkę Melanie.

*Niech ktoś mnie stąd zabierze...*

- Czego właściwie szukasz?

Melanie zaczyna szlochać. Włosy ma ściągnięte z twarzy na tył głowy i związane zwykłą gumką. Piżama w ostrych, kontrastowych kolorach powiększa

jeszcze wrażenie chaosu. Chyba ktoś jej kiedyś powiedział, że jest ekscentryczką o skłonnościach artystycznych, i za bardzo wzięła sobie ten komplement do serca.

- Bransoletki z koralików - odpowiada z irytacją, jakby chciała zasugerować, że Isabel powinna to wiedzieć. - Zrobiłam ją parę dni temu na zajęciach ze sztuki, a teraz nie mogę jej znaleźć.

Isabel podnosi głowę i widzi, że ktoś jeszcze przyłączył się do poszukiwań.

- Cześć. Jestem Kristen - przedstawia się nowo przybyła pogodnie, jak na spotkaniu grupy studenckiej. - Co się dzieje, Mel? Pomóc ci w czymś?

Isabel wciąż trzyma w ręku szminkę.

- No dobrze... to ja już pójdę - mówi.

W drzwiach pojawia się pielęgniarzka z nocnej zmiany. W ręku trzyma latarkę, choć w pokoju pali się górne światło. Na identyfikatorze ma wypisane imię: Connie. To ta sama, która kilka godzin wcześniej namówiła Isabel na pozostanie w Three Breezes przynajmniej przez dobę. Isabel przygląda jej się uważniej. Twarz Connie jest wyostrzona przez lata opalania, głos pogrubiał od lat palenia.

*Wreszcie! Niech ktoś odtransportuje tę kobietę do izolatki!*

Connie jednak przysiada na podłodze i przyłącza się do poszukiwań bransoletki. Melanie zaczyna drżeć. Głowa jej się trzęsie i oddech bardzo przyśpiesza. Nikt nie potrafi jej uspokoić. Mówi tak szybko, że potyka się o własne słowa.

- Ma dopiero dwa miesiące. Elwin nie będzie chciał ze mną gadać - wyrzuca z siebie między kolejnymi spazmatycznymi oddechami - tyle już musiał znieść.

Urodziłam ją. Potem dostałam depresji poporodowej, odstawiłam leki i teraz on sam musi się nią zajmować. Oczywiście są jeszcze jego rodzice. Im w to graj. Mają dowód, że nie pomylili się co do mnie. Nie nadaję się dla ich syna. Mam nadzieję, że nie zapomniał kupić jedzenia dla psa. Jagnięcina z ryżem. Coco nie znosi wołowych puszek. Gdy byłam mała, uwielbiałam wbiegać pod zraszacze. Fajne uczucie, prawda?

*To wszystko nie może być prawdziwe. Gdybym coś takiego zobaczyła w filmie, uznałabym, że to zbyt grubymi nićmi szyte.*

Connie pociąga Melanie za rękę i prowadzi ją do dyżurki pielęgniarek, żeby jej dać środek uspokajający. Kristen i Isabel pozostają na podłodze, Kristen wciąż szuka bransoletki Melanie, a Isabel słucha dobiegających z korytarza ech irytującej gadaniny.

Zerka na prawe ramię Kristen. Jest zabandażowane. Potem się dowie, że Kristen cierpi na nerwicę natręctw, która każe jej rozdrapywać skórę aż do krwi. Kristen chyba wyczuwa spojrzenie Isabel, bo jej dłoń wędruje do zabandażowanego miejsca, a potem szybko się cofa. Zapada niezręczne milczenie. Isabel wbija wzrok w podłogę.

*Jak mam się z tego wyplątać?*

Melanie wraca w chwili, gdy Kristen zauważa pudełko po cygarach i otwiera je. *Voilà!* Bransoletka jest w środku, między starymi listami i fotografiami. Melanie chwyta ją, krzycząc z radości.

- Dobranoc - mówi i wspina się na łóżko. Zastrzyk, który przed chwilą dała jej Connie, zaczyna już działać na jej drobne, roztrzęsione ciało. - Dzięki za pomoc.

Gdy żadna z kobiet się nie porusza, dodaje jeszcze:

- Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Kristen i Isabel wychodzą na korytarz i wracają do swoich pokoi. Łóżko szeleści, gdy Isabel wspina się na nie; zamiast miękkiego pokrowca materac przykryty jest cienkim papierowym prześcieradłem, pod którym znajduje się arkusz grubej folii na okoliczność, gdyby komuś, na dodatek do wszystkich innych nieszczęść, nie udało się zapanować nad fizjologią.

Co piętnaście minut drzwi się otwierają i światło latarki uderza Isabel prosto w twarz. Nawet kiedy uda jej się zapaść w płytką drzemkę, światło znów ją budzi i w rezultacie przez całą noc przewraca się z боку na bok. To obserwacja potencjalnych samobójców. Kontrole z latarką są tu symbolem statusu. Wszyscy wiedzą, kto jest sprawdzany co kwadrans, a kto zasłużył na bardziej pożądane półgodzinne odstępy. Isabel wie już o tym dlatego, że gdy przeglądały rupiecie Melanie, Kristen zapytała ją prosto z mostu o częstotliwość kontroli. Gdy Isabel przyznała, że pielęgniarzka zagląda do niej co kwadrans, na twarzy Kristen odbiła się ulga. Kristen jest w Three Breezes już od dłuższego czasu, ale widocznie jeszcze jej się nie udało wyjść z grupy „kwadransiarzy”.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Po linii zaprawy łączącej betonowe bloczki ściany przy łóżku maszeruje mrówka. Isabel ma wrażenie, że mrówka, tak samo jak ona, pragnie jak najszybciej wydostać się ze szpitala. Jeszcze raz próbuje szarpnąć dolną krawędź okna, ale ta ani drgnie. Okna w Three Breezes są zabite gwoździami. Nie mogąc uwolnić mrówki, Isabel z melancholijną rezygnacją obserwuje jej drogę w dół.

Isabel zawsze omijała mrowiska. Wiosną i latem, gdy przyroda zajęta była odkrywaniem na nowo swoich możliwości, te wymowne oznaki przedsiębiorczości mrówek - minipiramidki ziemi - wyrastały gęsto w pęknięciach nierównego chodnika, między cegłami i przy słupkach ogrodzeń. Isabel zawsze starannie obchodziła je dokoła. Robiła tak do tej pory, choć dawno przestała być małą dziewczynką z Connecticut.

Z kolei jej bracia z równą uporczywością rozdeptywali wszystkie ślady działalności mrówek.

- Nie! - krzyknęła mała Isabel do Owena, który rozgniatał właśnie czwarte z dwunastu miniaturowych mrowisk przy krótkiej ścieżce prowadzącej do drzwi ich domu.

Podbiegła do siedmioletniego brata i próbowała go odepchnąć, ale było już za późno. Wyobraźnia malowała jej obraz setek mrówek duszących się z braku powietrza pod cementową nawierzchnią.

- Jeśli jeszcze raz to zrobisz, to powiem mamie!

Przyklękła na kolana, gorączkowo próbując oczyścić ścieżkę, którą mrówki mogłyby wydostać się z ruin swojej budowli, ale jej dziewięcioletni umysł zdawał sobie sprawę, że to próżne wysiłki, sięgnęła więc po patyk i zaczęła wiercić dziurę w ziemi, żeby przynajmniej zapewnić im dopływ powietrza.

- Jeśli jeszcze raz to zrobisz, to powiem mamie - przedrzeźniał ją brat. - Ależ ty masz długi jęzor!

Miał rację. Isabel jednak nie uważała się za skarżypytę. Po prostu nie mogła znieść, gdy komukolwiek działa się krzywda. Nawet mrówkom.

- Co się tam dzieje? - zawołała mama przez drzwi z siatki prowadzące na werandę wokół domu.

- Nic! - odkrzyknęli chórem bracia Isabel i natychmiast zniknęli w swoim forcie na tyłach podwórka.

- Co ty robisz, Isabel? - zapytała Katherine, podchodząc do skulonej nad ziemią córki.

Isabel desperacko wierciła patykiem w ziemi, robiąc tylko krótkie przerwy na otarcie łez, które przeszkadzały jej w wypełnianiu misji ratowniczej.

- Znowu te mrowiska?

- Nie rozumiem, dlaczego oni to robią – szlochała Isabel, przykucając nad piątym z kolei rozgniecionym mrowiskiem. - Przecież tam w środku są całe rodziny. One teraz umierają!

- Och, na litość boską. Co za bzdura! Spójrz na mnie.

Isabel posłusznie podniosła głowę, wycierając nos rękawem.



- Tym mrówkom nic nie będzie. Przecież już o tym rozmawiałyśmy. One lubią kopać w ziemi. Poradzą sobie.

Dziewczynka znów spuściła wzrok. Z wygrzebanych przez nią otworów nie wyszła ani jedna mrówka.

Po chwili wróciła wzrokiem do twarzy matki.

- Musisz wreszcie przestać się tym tak przejmować. Uważasz, że to smutne? To poczekaj, aż naprawdę dostaniesz po tyłku od życia. Ludziom nikt nie wierci takich dziurek. Chodź do domu, przejrzymy zamówienia na ciastka dla harcerek.

Podnosząc się z ziemi, Isabel rzuciła ostatnie spojrzenie w stronę swych skazanych na zagładę przyjaciół. Przełknęła jednak łzy i pobięła za matką.

W miarę jak stawała się coraz starsza, jej współczucie dla istot wszelkich kształtów i rozmiarów przekształciło się w trudny do rozproszenia smutek, a ten z kolei prowadził do poczucia wyobcowania. Isabel przez cały czas miała wrażenie, że jest kimś z zewnątrz, kto zagłada do środka, jak lunatyk, który nie do końca uczestniczy w codziennym życiu. Choć sprawiała wrażenie dobrze wychowanego, najstarszego dziecka w rodzinie, obdarzonego przerostem ambicji, jej prawdziwa osobowość jeszcze nie miała okazji się ujawnić. To wszystko tylko pogłębiało poczucie oddzielenia, spowijające ją niczym gruba zasłona.

Gdy w takim odrętwieniu dryfowała przez szkołę podstawową, jej fizyczna postać zaczęła nabierać wyrazistości. Często słyszała, że jest ładna, i po jakimś czasie, może dlatego że w środku czuła się zupełnie pusta, komplementy zaczęły przynajmniej częściowo wypełniać tę

próżnię. Karmiła się uwagą, jaką na siebie zwracała. Nikt nie chciał słuchać o jej cierpieniu, nikt nie chciał widzieć jej smutnej.

Stała się ekspertem w odczytywaniu ludzi. Szybko nauczyła się, że poczucie humoru przynosi lepsze rezultaty niż złość i łzy, że uwagę zwracają na siebie ci, którzy są atrakcyjni, i że ludzie z natury są egoistami: każdy lubi mówić o sobie. Pielęgnowała więc swoją umiejętność słuchania i uczyła się, jak przetrwać, odgrywając role kształtnej piękności, klasowego klauna, uważnej słuchaczki. Doskonale potrafiła się wcielić w każdą postać, jaką ktoś inny chciał w niej widzieć.

- Isabel, co mogę dla ciebie zrobić?

Isabel odchrząknęła.

- Mhm. Proszę pana? Mhm, zastanawiałam się, czy dałby mi pan jeszcze jedną szansę.

Nauczyciel lekko przechylił głowę na bok.

- Jeszcze jedną szansę - powtórzył.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

- Wiem, że zaniemówiłam w zeszłym tygodniu. Zupełnie mnie sparaliżowało. Zawaliłam wszystko. Po prostu nie byłam przygotowana na improwizację. Ale teraz już jestem. Umiem to zrobić. Mogę zagrać wszystko, co pan zechce. Jeśli tylko da mi pan jeszcze jedną szansę...

Pan Ciulów opuścił wzrok na blat biurka pokryty papierami, a potem znów spojrzał na nią.

- Isabel, dlaczego zapisałaś się na te zajęcia z dramatu? Co cię pociąga w teatrze?

- Co mnie pociąga?

- Tak. Widzisz, dla niektórych ludzi jest to najlepszy sposób, by odkryć twórczą stronę własnej osobowości. Dla innych wymarzony sposób samoekspresji. Zastanawiam się, co pociąga ciebie.

Isabel spuściła wzrok i nie patrząc na nauczyciela, wymamrotała:

- Chyba to, że... chyba po prostu podoba mi się bycie kimś innym.

Pan Ciulów uniósł brwi, jakby złapał ją w pułapkę.

- Więc nie podoba ci się bycie sobą?

- Nie! - odpowiedziała zbyt głośno. - To znaczy, podoba mi się. Tylko że... - Zająknęła się, wiedząc, że pan Ciulów dokładnie przeanalizuje jej następne zdanie. - Chodzi o to, że... hm...

- Panno Murphy - odrzekł nauczyciel tonem nagany. - Za pięć minut zaczynam następną lekcję, więc może wyduś wreszcie to, co chciałabyś powiedzieć. - Niecierpliwie postukał palcem w ołówek i spojrzał za okno. - Hm?

- Bardzo pana proszę...

- No dobrze, dostaniesz jeszcze jedną szansę. Chociaż nie powinienem tego robić. Nie robię tego dla innych uczniów, którzy nie wytrzymują napięcia. Skoro tak się denerwujesz podczas przesłuchania, to jak się zachowasz na scenie, mając przed sobą setki ludzi? Nie... nie odpowiadaj. To było pytanie retoryczne. Przyjdź jutro po lekcjach do sali gimnastycznej. Spróbujemy jeszcze raz.

- Dziękuję! Och, bardzo panu dziękuję! – zawołała Isabel, wycofując się z małego gabinetu.

Była ósma wieczorem i matka Isabel wpadła w furję.

- Myślałam, że próby nie trwają dłużej niż dwie godziny po lekcjach!

- Mamo, zbliża się premiera, a nikt jeszcze nie umie swojej roli. Musieliśmy zostać dłużej! Pan Ciulów powiedział...

- Pan Ciulów powiedział, pan Ciulów powiedział. Nic innego teraz od ciebie nie słyszę. Tylko w kółko: pan Ciulów powiedział to, pan Ciulów powiedział tamto. No więc pan Ciulów mówił też, że próby nie będą zajmować tyle czasu w dni powszednie!

- Nie mam dzisiaj dużo lekcji do odrobienia. Tylko historia i angielski, to wszystko.

- A matematyka? A przyroda?

- Nie. A z angielskiego mam przeczytać tylko jeden rozdział. To mi zajmie najwyżej piętnaście minut.

- Ojciec jest w domu, a nie widział cię już od tygodnia. Nie było cię na kolacji, a on o dziewiątej ma konferencję, więc nie wiem, kiedy wreszcie uda wam się spotkać.

- Ale przyjdzie na przedstawienie, prawda? Proszę, powiedz, że tym razem nie wyjedzie!

- Oczywiście, że przyjdzie.

- Bo... - Isabel zawiesiła głos.

- Bo co?

- Nic. Nic takiego.

- Co chciałaś powiedzieć? Nie cierpię, kiedy zaczynasz coś mówić i nie kończysz!

- Nic! Naprawdę. Zapomniałam, co chciałam powiedzieć. Po prostu... jego nigdy nie ma.

- Nie mów głupstw, Isabel - odrzekła matka ostro. - Przecież wiesz, że ojciec musi pracować. Kocha cię, ale praca...

- Wiem, wiem. Jego praca wymaga częstych wyjazdów. Słyszę to od urodzenia. Rozumiem.

- Ale stara się!

- Ale stara się - powtórzyła Isabel.

TLR

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Kurwa! Kurwa, kurwa, kurwa!

Isabel idzie powoli w stronę, skąd dobiegają wrzaski, choć wcale nie jest pewna, czy chce się przekonać, kto tak krzyczy.

- Zabierzcie ode mnie te ręce, skurwysyny! Przez okno we frontowej ścianie budynku widzi, jak dwóch pielęgniarzy usiłuje obezwładnić młodą czarną dziewczynę. Gdy wreszcie udaje im się owinąć jej wątłe ciało pasami, dziewczyna wydaje z siebie przenikliwy pisk:

- Zabiję was, kurwa! Słyszycie mnie? Zabiję was! Jest tak młoda i wątła, że te słowa zdumiewają w jej ustach.

W końcu pasy znajdują się na miejscu. Dziewczyna sprawia wrażenie, jakby uszła z niej cała para. Leży na ziemi i szlocha z głową odwróconą na bok i twarzą pokrytą kropelkami potu.

Ponad głowami pielęgniarzy, którzy ją gdzieś zabierają, Isabel patrzy na krętą drogę dojazdową - jedyną, którą można się stąd wydostać.

*Wyjdę na główną drogę, poczekam na jakąś ciężarówkę i wyskoczę przed maskę.*

Ta myśl ją uspokaja. Planowanie ostatecznej ucieczki łagodzi cierpienie.

*Najpierw muszę zdobyć przywileje.*

Kristen, dziewczyna poznana poprzedniego wieczoru, rzuca „dzień dobry” i wychodzi za drzwi budynku. Drżącymi rękami próbuje zapalić papierosa za pomocą urządzenia przypominającego samochodową zapalniczkę, zamocowanego na stałe w skrzynce na ścianie. Zapalki i zapalniczki konfiskowane są zaraz po przybyciu do szpitala.

Grubas, obok którego siedziała poprzedniego dnia, również przetacza się obok i przyłącza do Kristen za drzwiami. Isabel odwraca głowę z nadzieją, że przez szybę uda jej się podsłuchać ich rozmowę. Szyba pokryta jest tłustymi śladami palców; Isabel bardzo się stara nie zbliżyć do niej ucha bliżej niż na dwa centymetry.

- Co jest z tą nową? - pyta Kristen grubasa. - Widziałeś ją wczoraj?

Widok pacjenta w pasach albo w kaftanie, krzyki protestu i opór wytrącają wszystkich z równowagi. Nowa dziewczyna staje się głównym tematem dnia. Słyszeliście, jak ta nowa krzyczała dziś rano? Widzieliście, ile czasu zabrało sanitariuszom, żeby nałożyć jej kaftan?

- Ma na imię Keisha - odpowiada olbrzym konspiracyjnym tonem. - Przeszła zbiorowy gwałt.

- Zbio-ro-wy gwałt? - powtarza Kristen powoli, jakby dyktowała to słowo komuś, kto ma kłopoty z ortografią.

- Tak - odpowiada mężczyzna, zadowolony, że znalazł się w centrum uwagi. Isabel, stojąca w miejscu, w którym ci dwoje nie mogą jej dostrzec, czuje, że jej głowa przykleja się do lepkiej szyby. - Gwałcono ją przez cztery godziny czy coś takiego. Opiekowała się swoim małym siostrzeńcem, a oni zabili to dziecko. Zabili jej siostrzeńca, którym się opiekowała, i zwali. A jej odbiło. Zupełnie oszalała. Kiedy ją znaleźli, błąkała się po ulicach.

Za plecami Isabel odzywa się jakiś głos:

- Ten dupek nie ma pojęcia, o czym mówi.

- O mój Boże! - Isabel aż podskakuje z wrażenia i odsuwa się o krok od szyby. - Przestraszyłaś mnie!

Keisha spokojnie odrywa spojrzenie od Kristen i Bena i przenosi je na Isabel. Wygląda jak dziecko z plakatów akcji społecznej na rzecz śródmiejskiego getta. Na oko można jej dać nie więcej niż czternaście lat. Ma długie, chude kończyny, a na głowie krótką szopę dreadów. Ubrana jest w same sportowe rzeczy: buty Air Jordans, model sprzed pięciu lat, ale w nieskazitelnym stanie, nylonowe legginsy Adidasa, które świszcząby przy chodzeniu, gdyby jej chude nogi miały kiedykolwiek okazję otrzeć się o siebie, i o cztery numery za dużą bluzę z kapturem. To jej mundurek, dobierany bardzo starannie, choć sprawia wrażenie, jakby Keisha w ogóle nie zwracała uwagi, co na siebie wkłada.

- Tylko posłuchaj. Gadają i gadają, jakby cokolwiek wiedzieli - mówi, wskazując podbródkiem przystań palaczy, gdzie stoją Kristen i Ben.



Isabel wie, że Keisha czeka na pytania, ale nie czuje się na siłach wdawać w jakąkolwiek rozmowę, a szczególnie na taki temat. Odwraca się do okna z nadzieją, że uda jej się wykręcić od wszelkich sytuacji, które mogłyby grozić koniecznością nawiązania kontaktów towarzyskich.

- To zupełnie nie tak! - mówi Keisha do okna po wysłuchaniu kolejnego fragmentu paplaniny Bena.

- No dobra, chcesz wiedzieć, jak to było naprawdę? - Spogląda na Isabel.

*Czy ja powiedziałam, że chcę wiedzieć?*

Jednak, pomimo niechęci, coś ją przyciąga do kanciastej nastolatki.

- Po pierwsze, nie znaleźli mnie na żadnej ulicy - zaczyna Keisha bez żadnej zachęty. - Policja przyjechała i zabrała mnie z domu mojej siostry, bo sąsiedzi zadzwonili pod 911. Cztery godziny, jakie tam godziny. To wcale tyle nie trwało. Parę minut. Może pół godziny, ale na pewno nie więcej. Nie tyle godzin! Co za głupoty oni wygadują! - Wskazuje na plotkujących pacjentów.

- No, no - mówi Kristen, wydmuchując dym, ze wzrokiem wbitym w ziemię. - Hej, Ben, a skąd ty to wszystko wiesz?

Ben wydyma usta.

- Kristen, ty mnie uważasz za jakiegoś wariata. Myślisz, że tylko ty jesteś tu normalna. Wcale nie. Ja też wiem różne rzeczy.

Isabel spogląda przez ramię, ponad głową Keishy, na dyżurkę pielęgniarek. Chce sprawdzić, czy ich podsłuchiwanie nikomu nie przeszkadza.

- Ben - mówi Kristen uspokajająco. – Jesteśmy kumplami, prawda? Po prostu... hm... jestem trochę zdziwiona, skąd tak dużo wiesz o tej dziewczynie. Ciekawa jestem, co dokładnie wiesz.

Isabel nie może się nadziwić, że obydwójce, Ben i Kristen, nie uważają najważniejszego elementu w tej historii. Znowu spogląda tęsknie na drogę.

- Teraz mnie podpuszczasz, Kristen? Tak? Teraz mnie, kurde, podpuszczasz? - Ben czerwienieje i gniewnie obraca się do drzwi.

Isabel pośpiesznie sięga po stary egzemplarz „National Geographic” ze sterty leżącej na narożnym stoliku przy oknie.

Kristen rzuca niedopałek papierosa na ziemię i przydeptuje. W tej samej chwili pielęgniarka z tekturową podkładką do pisania wymija Isabel i otwiera drzwi na werandę.

- Dzień dobry, Kristen - mówi, zaznaczając coś w swoich papierach. - Zwykły obchód.

Kristen z uśmiechem wyciąga następnego papierosa.

- Dzień dobry.

Pielęgniarka przemyka drzwi i spogląda na Isabel i Keishę. Kolejne znaczki w dokumentach.

- Dzień dobry. To zwykły obchód.

Isabel i Keisha znowu skupiają się na Kristen, która teraz rozmawia z Melanie.

- Powiedział, że ona ma na imię Keisha i że gwałcono ją przez wiele godzin. Znaleźli ją nagą na ulicy. To znaczy policja. I tak wylądowała tutaj. Chyba trafiła pod stałą obserwację...

- Do zobaczenia później - mówi Isabel, prześlizgując się obok Keishy, która gwałtownie potrząsa głową i mruczy:

- Ta suka nie ma pojęcia, o czym mówi.

W kilka minut później Isabel marzy tylko o tym, by sen nawiedził jej duszną klitkę na końcu korytarza.

TLR

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Erin Hayes wyczerpała już wszystkie możliwości apelacji i teraz czeka na decyzję gubernatora Teksasu w sprawie odroczenia wyroku. Jednak, biorąc pod uwagę dobrze znane statystyki dotyczące wstrzymania egzekucji w tym stanie, jej prawnicy nie są najlepszej myśli. Dokoła więzienia stanowego w Huntsville zgromadził się już tłum. Niektórzy palą świece, inni twierdzą, że przyszli tu po to, by świętować chwilę, gdy Hayes usiądzie na krześle elektrycznym. Z Huntsville w Teksasie dla Wiadomości ANN mówiła Isabel Murphy.

Przejrzały banan był jedyną jadalną rzeczą, jaką dało się kupić w sklepie 7-Eleven w Huntsville. Isabel wzięła go do ręki, poczuła, że miąższ wzdłuż grzbietu banana zaczyna się już rozplýwać pod palcami i zastanowiła się, czy udałoby jej się obgryźć owoc dokoła zepsutej części.

- To wszystko? - zapytała kasjerka.

- Tak - odrzekła Isabel i odłożyła banana z powrotem do koszyka przy kasie. - To wszystko.

- Trzy siedemdziesiąt osiem.

Zajrzała do portmonetki, szukając ćwierćdolarówek, ale przypomniała sobie, że wykorzystowała wszystkie w pralni automatycznej.

- Papierosy są tu bardzo tanie - zauważyła.

- A skąd pani jest? - zapytała kasjerka uprzejmie, choć Isabel wyczuła w jej głosie lekkie politowanie.

- Z Nowego Jorku.

Dziewczyna uśmiechnęła się, jakby wygrała zakład, i wydała jej resztę z pięciodolarowego banknotu.

- Życzę miłego dnia.

- Dziękuję - odrzekła Isabel, potrząsając butelką z napojem. - Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak daleko jest stąd do Motelu 6?

- To jakieś cztery mile od więzienia. Za drugimi światłami - odpowiedziała kasjerka, podliczając już następnego klienta.

Isabel przystanęła przy wypożyczonym samochodzie, odkręciła butelkę snapple'a i pociągnęła duży łyk, a potem odstawiła napój na dach samochodu, otworzyła paczkę marlboro lights i ustawiła się tyłem do autostrady, żeby zasłonić się przed podmuchami powietrza, które wzbudzały przejeżdżające ciężarówki. Po kilku próbach udało jej się wreszcie zapalić pierwszego papierosa tego dnia.

Śniadanie.

- Co za pipidówka - skrzywił się Tom, wytaczając się ze sklepu. Kamera objęła mu się o plecy. - Jak to możliwe, żeby w 7-Eleven nie mieli mrożonych koktajli?

- Myślę, że właściwe pytanie brzmi: kto ma ochotę na mrożony koktajl o szóstej rano?

- I to mówi dziewczyna, która kupiła snapple'a i papierosy.

- Snapple przynajmniej jest zrobione z owoców!

- Że co?

- Mrożona herbata o smaku malinowym. A maliny są bardzo odżywcze. Mają mnóstwo witaminy C. A może A. Chyba A. Tak, na pewno mają witaminę A.

- Powinnaś zostać dietetyczką, a nie reporterką. Wyglądasz na okaz zdrowia.

- I to mówi facet, który właśnie pożera zawał serca za dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Sądząc po tych tłustych hieroglifach na papierze, zapewne tam w środku jest jakaś kiełbasa?

- Oczywiście, przecież to bułeczka kielbasiano-serowa - odrzekł Tom z pełnymi ustami. – Chcesz ugryźć?

Wsunął się do samochodu. Isabel przydeptała papierosa i usiadła za kierownicą.

- Tom? - zapytała poważnym tonem.

- Isabel? - odpowiedział żartobliwie.

- Mówię poważnie. Chodzi mi o wczorajszy wieczór - poruszyła się niespokojnie.

- Nie ma o czym mówić.

- Nie, chcę ci powiedzieć, że... - Odchrząknęła. - Wypiłam o wiele za dużo. Wiem o tym. Tylko że... To znaczy... Ja naprawdę... och, Boże.

- Hej. Spokojnie. To tylko ja.

- Wiem, wiem. Tylko że wszystko w moim życiu dzieje się o wiele za szybko. I od czasu do czasu czuję taki ucisk tutaj, w skroniach, przed oczami zaczynają mi migać czarne punkty i film mi się urywa.

Tak jakbym wpadała w jakiś wir... Masz czasem takie wrażenie? Nie masz nigdy ochoty trochę zwolnić, żebyś mógł pomyśleć, przez chwilę spokojnie się zastanowić? Nigdy nie robię tego specjalnie. Nie chcę tracić kontroli nad sobą. Och, Boże. Posłuchaj... chcę ci powiedzieć, że naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna za to, że się mną zająłeś. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Gdyby mnie tam nie było, to barman nie miałby kogo zawołać, żeby cię zabrał do domu, i to wszystko.

Isabel skrzywiła się boleśnie.

- Wierz mi, ja też przez to przechodziłem – mówił Tom. - Więc nie będę się wymądrzał. Ale Iz, musisz bardziej uważać. Kobieta, która traci przytomność w barze, to nie jest najpiękniejszy widok na świecie, wiesz?

- Wiem, wiem - westchnęła, zdając sobie sprawę, że jej głos przybiera obronny ton. - Po prostu przechodzę przez taki etap...

- Tak, tak, tak. Za każdym razem to powtarzasz.

*Naprawdę?*

- Ta twoja faza trwa już trochę za długo, a to staje się niebezpieczne, rozumiesz?

Isabel spojrzała na niego tak, jakby uderzył ją w twarz.

- Hej, słuchaj - dodał Tom łagodniej. - To, co dzieje się podczas wyjazdu, zostaje między nami. Przyjęłaś? Zakodowałaś? Zawsze będę cię asekurował w takich sytuacjach.

Po dłuższej chwili Isabel podniosła na niego wzrok.

- Hej, Tommy, dzwonili z lat dziewięćdziesiątych. Chcą, żebyś im zwrócił wszystkie powiedzonka ze „Świata Wayne'a”.

- Co?

- Już od dawna nie słyszałam słowa „przestraszam”...

- Bardzo śmieszne. Jedźmy już, dobra? Zjadłbym frytki do tej bułeczki. Odebrałaś? Frytki? Egzekucja? Odebrano?

W pięć minut później reporterka i fotograf z trudem wcisnęli samochód na parking za więzieniem, zastawiony wozami transmisyjnymi stacji telewizyjnych i talerzami anten satelitarnych, które uśmiechały się do słońca. Przegrzane generatory blokowały przejścia między furgonetkami, producenci jak nakręceni wbiegali do swych prowizorycznych biur i z nich wybiegali, reporterzy skrobali coś w notatnikach i rozmawiali z każdym, kto się do nich zbliżył.

- Ile jeszcze zostało do magicznej godziny? - zapytał Tom.

- Sześć godzin. Wystarczy. A co, śpieszy ci się do hotelu?

- Masz na myśli Motel 6? Absolutnie nie.

W siedem godzin później Isabel padła na schludną narzutę motelowego łóżka, zbyt wyczerpana, by się choćby rozebrać.

Piip, piip.

- Mamo, zaczekaj! - woła Isabel poprzez zatłoczoną ulicę. - Tato? Poczekajcie na mnie!

Piip, piip. Samochody próbują zwrócić na siebie uwagę. Piip, piip.

Rodzice Isabel obejrżeli się na córkę, która desperacko macha do nich z odległości jednej przecznicy, ale niewzruszenie idą dalej.

*Dlaczego mnie nie słuchają?*

- Mamo! - krzyczy Isabel coraz głośniejszym głosem. - Tato!

Piip, piip.



Trąbienie klaksonów rozległo się tak blisko, że Isabel odwróciła wzrok od majaczących w oddali postaci rodziców i spojrzała na samochód, który pędził prosto na nią. Ogarnęła ją zgroza, ale ciało odmówiło posłuszeństwa, jakby było sparaliżowane. Samochód był już o kilka metrów od niej i wcale nie zamierzał się zatrzymać.

Trzy metry. Piip, piip. Dwa. Piip, piip. Metr.

Krzyknęła i usiadła na łóżku. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, że to był tylko koszmary sen. Przyłożyła dłonie do piersi, chcąc uspokoić rozszalałe serce.

Piip, piip.

Zdumiona spojrzała na nocną szafkę. Uparty klakson ze snu miał postać pozornie nieszkodliwego czarnego pagera. Natychmiast rozpoznała numer, krzyczący do niej jaskrawozielonymi cyframi z wyświetlacza, i sięgnęła po telefon.

- Tu Isabel. Dostałam powiadomienie - powiedziała, starając się nie okazywać paniki.

- Dzwoniliśmy do ciebie, ale telefon nie odpowiadał. - To był Rob, redaktor wydania.

- Och, Boże. - Isabel przypomniała sobie, że wyłączyła telefon zaraz po powrocie do hotelu. - Nie spałam trzy dni i chciałam...

- Jesteś nam bardzo pilnie potrzebna - przerwał jej Rob. - Musisz jak najszybciej polecieć do Atlanty. Zadzwoń do linii lotniczych i zaraz potem daj mi znać, na który lot masz bilet, OK? A prawda, nie masz tam faksu. Dobra, przefaksuję wszystkie depesze do biura Avisu na lotnisku w Atlancie. W ten sposób po przylocie od razu będziesz miała wszystko na miejscu. Tak chyba będzie najszybciej.

Rob zamilkł, jakby zastanawiając się nad lepszym rozwiązaniem.

- A co się dzieje? - Isabel pracowała w stacji od niedawna, ale miała niemal stuprocentową pewność, że pytanie o cel podróży nie zostanie poczytane za nie- stosowne.

- O Jezu - westchnął Rob. - Worek się tu dzisiaj rozwiązał. Przepraszam. Dostaliśmy wiadomość, że z samego rana może zostać ogłoszony werdykt w tej sprawie o brutalne zachowanie policji i chcemy, żebyś na wszelki wypadek była na miejscu.

- Dobrze. Zadzwoń do linii lotniczych i dam ci znać.

Wystarczyło kilka miesięcy, by podniecenie, jakie Isabel odczuwała tamtej nocy, odkładając słuchawkę, zmieniło się w dojmujące rozgoryczenie, wyczerpanie i strach. Wszystkie te uczucia zżerały ją powoli, aż wreszcie nie zostało nic oprócz pustej skorupy, mechanicznie przemierzającej ścieżki niegdyś pasjonującego życia.

- Isabel! Czas na spotkanie!

Na dźwięk stukania do drzwi i ostrego głosu żołądek Isabel ścisną się ze strachu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Uwielbiam skrzydełka z kurczaka - zwierza się Ben najzupełniej poważnym tonem. - Wszystkie, ale najbardziej lubię te z baru Bobby D koło mojego domu.

- Ben zupełnie nie przejmuje się smugą jakiejś czekoladopodobnej na prawym szkłe grubych okularów. Ma na sobie workowate wojskowe spodnie w panterkę i tradycyjnie mocno wycięty podkoszulek, który nie całkiem zakrywa owłosienie na piersiach. - Gdybym mógł cię zabrać do Bobby D, tobyś zobaczyła, o czym mówię.

- Jego spojrzenie wlepione w Isabel jest tak intensywne, że ta czuje się nieswojo i nieustannie przerzuca wzrok z szerokiej twarzy Bena na swoje kolana.

*Tak wygląda piekło. Jestem w piekle.*

- Trzydzieści sekund minęło - oznajmia z podnieceniem beziemienna pielęgniarka. - Osoby z grupy B, proszę przejść na prawo i usiąść z nowymi partnerami z grupy A. Proszę pamiętać, grupa A nie rusza się z miejsc, grupa B zmienia partnerów tak, żeby do końca zajęć każdy miał okazję porozmawiać z każdym.

Isabel kipi ze złości.

*Przecież dopiero cztery minuty temu dokładnie wyjaśniali, o co chodzi w tym kretyńskim ćwiczeniu grupowym. Czy wszyscy są tu tak przymuleni prochami uspokajającymi, że nic nie pamiętają już po czterech minutach?*

- Nasz nowy temat to zwierzęta domowe. Proszę pamiętać, nie przerwamy mówiącemu partnerowi. Start! - Prowadząca ćwiczenie niemal dostaje orgazmu.

Ben odtacza się powoli, a na krześle naprzeciwko Isabel siada smutna kobieta imieniem Lark. Ma niewiele więcej niż czterdzieści lat, ale ponieważ zawsze wygląda tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem, sprawia wrażenie znacznie starszej, i choć jest za młoda, by cierpieć na osteoporozę, przejawia już pierwsze jej symptomy: zgarbiona sylwetka wygląda na bardzo kruchą, jakby mogła się połamać przy zbyt mocnym uścisku.

*Zwierzęta domowe. Hm. Buck. I moje kociaki.*

W umyśle Isabel jeden za drugim migają obrazy zwierząt, które mieli wspólnie z Alexem.

*Nie mogę na ciebie patrzeć.*

*Przestań. Po prostu przestań.*

Isabel jest tak zajęta uciszaniem głosów w swojej głowie, że nie potrafi wyjaśnić, że straciła prawo do opieki nad swymi dwoma kotami i psem na rzecz męża, który już wkrótce stanie się byłym mężem. Prowadząca znów każe im zmienić partnerów.

*Wspaniale. Teraz wiem, że Ben uwielbia grilla i że ja sama publicznie wybucham płaczem przy każdej okazji.*

Lark jeszcze przez chwilę patrzy Isabel prosto w oczy. Wycierając nos, Isabel zauważa, że Lark patrzy nie na nią, lecz poprzez nią i że po jej opuchniętej twarzy spływa pojedyncza łza. Po chwili podnosi się z widocznym wysiłkiem, robiąc miejsce dla kolejnego partnera Isabel.

- My się jeszcze nie znamy. - Kobieta, która pierwszego dnia po przybyciu Isabel do szpitala była w kaftanie, teraz z uśmiechem wyciąga do niej rękę. – Mam na imię Regina.

Isabel przenosi wzrok z twarzy Reginy na jej dłoń i z powrotem na twarz. Ta spokojnie cofa rękę i zajmuje miejsce naprzeciwko.

- Rybki.

- Co?

- Rybki - powtarza Regina i czeka, aż Isabel zrozumie.

- Nie rozumiem.

- Mam w domu rybki - tłumaczy Regina z desperacją. - Lubią ze mną jeździć na rowerze. No, właściwie w koszyku doczepionym do roweru. Na wszelki wypadek przywiązuję akwarium smyczą...

*Dwa tygodnie temu relacjonowałam z Białego Domu rozmowy na szczycie dotyczące pokoju na Bliskim Wschodzie. Tylko dwa tygodnie temu.*

- ...ludzie w ogóle nie zatrzymują się na światłach, więc zawsze powtarzam, że nigdy dosyć ostrożności. Dzięki tej smyczy mam spokojną głowę.

- Przepraszam. Regina, tak? - pyta Isabel.

Regina kiwa głową, czekając na komentarz.

- Regino, chciałabym ci coś powiedzieć.

Regina przesuwa się na sam brzeżek krzesła.

- Nic mnie nie obchodzą twoje rybki - mówi Isabel.

*Gównu mnie obchodzą twoje rybki, a do tego myślę, że jesteś wariatką. Jak się zastanowić, to tutaj są sami wariaci. Nie mam ochoty wysłuchiwać o ulubionych zwierzętach ani jak się ma sos do grilla, który podają tutaj, do tego, którym karmią w jakiejś dziurze na zadupiu w*

*Minnesocie czy gdzie tam jeszcze matka porzuciła takiego świra we wczesnym dzieciństwie - a swoją drogą jestem pewna, że będziemy bardzo obszernie przerabiać ten temat podczas terapii grupowej.*

- Naprawdę nic mnie nie obchodzą twoje rybki - powtarza.

Regina sztywnieje na swoim krześle.

- Po prostu chcę się stąd wydostać, rozumiesz?

- ciągnie Isabel. - Znalazłam się tu tylko dlatego, że spieprzyłam sprawę i wzięłam za mało tylenolu, a nie dlatego, że chcę rozmawiać o swoim dzieciństwie albo o rybkach.

Wyczerpana opada na krzesło i patrzy w okno. Regina beznamiętnie idzie do kolejnego wolnego krzesła po drugiej stronie sali.

- Sukanya, zauważyłam, że nie bierzesz udziału w tym ćwiczeniu. - Bezimienna pielęgniarka patrzy na młodą kobietę z długimi, brudnymi włosami, która w milczeniu siedzi w kącie sali. - Czy możesz nam powiedzieć, dlaczego zdecydowałaś się nie brać w nim udziału?

Isabel spogląda na Sukanyę, która od początku jej pobytu w Three Breezes przez cały czas zachowuje się jak katatoniczka. Jedyne słowa, które dotychczas wypowiedziała i które wzbudziły w Isabel niezdrową fascynację, to: „Wolę nie mówić”. I teraz też, jak za przyciśnięciem guzika, Sukanya wbija wzrok w tryskającą entuzjazmem pielęgniarkę i cicho powtarza swoją mantrę:

- Wolę nie mówić.

Pielęgniarka milknie na chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, czy powinna wgłębić się w enigmatyczną odpowiedź Sukanyi czy też machnąć ręką i zająć się resztą grupy.

- Zdaje się, że nasz czas dobiegł końca – mówi w końcu i przerzuca uwagę na pozostałych uczestników ćwiczenia. - Spotkamy się tu znów za dwie godziny. Dwie godziny, czy wszyscy mnie słyszą?

*Na pewno zamiast kropek nad i rysuje uśmiechnięte buźki. I stawia te irytujące, odwrócone bokiem uśmiešky w e-mailach.*

Cała grupa wychodzi z sali, która pełni również funkcję pokoju dziennego. Wszyscy oprócz Sukanyi, która potrafi przesiedzieć cały dzień na tym samym krześle. Sesje terapii grupowej zaczynają się i kończą, a ona wciąż tam siedzi.

*Ciekawe, czy ludzie, którzy tak siedzą, mają coś w rodzaju odleżyn. Odsiedziny?*

Isabel, która dowiedziała się przed chwilą, że wolno jej wyjść z budynku na piętnaście minut dziennie podczas przerwy, popycha drzwi i ustawia się w kolejce do zapalniczki. Kristen już tam jest. Zaciąga się papierosem tak głęboko, jakby jej życie od tego zależało. Lark też tu jest, choć lekarze ostrzegali ją, by nie paliła, cierpi bowiem na zaawansowaną astmę.

- O co właściwie chodzi z tą Sukanya? - Isabel pyta Kristen, zaciągając się papierosem.

Chyba obydwie wyczuwają w sobie jakieś podobieństwo, może wynikające z podobnego wychowania albo typu mentalności. Wyglądają podobnie - obie są po trzydziestce, w typie kobiet skupionych na karierze, i również zachowują się podobnie. Isabel ma wrażenie, że mogłaby się zaprzyjaźnić z Kristen, gdyby spotkały się w jakimś innym miejscu, w innych okolicznościach.

- Nie wiem - odpowiada Kristen. - Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co musiało się jej przydarzyć. Albo co jest z nią nie tak.

- Czy ktoś ją w ogóle odwiedza?

- Raz widziałam jej rodziców. W każdym razie przypuszczam, że to byli rodzice. Przywieźli jej pluszowe maskotki Beanie Babies, chyba ze dwadzieścia, każda zawinięta w osobną bibułkę, w pięknej torbie na prezenty, i to wszystko leżało na kolanach Sukanyi, dopóki sami nie poodwijali. Zupełnie jakby była niemowlęciem. A potem rozpływali się nad każdą maskotką, jakby pierwszy raz w życiu widzieli je na oczy. Tak jakby jej miały się spodobać dopiero wtedy, gdy zobaczy, że im się p dobają. Sama nie wiem, dziwne to było. Smutne.

- Jak wyglądali ci rodzice?

- Normalnie. Tak jak ty i ja albo jak nasi rodzice. Rozumiesz - wyjaśnia Kristen tonem osoby wtajemniczonej.

Isabel doskonale rozumie, co tamta ma na myśli. Zna ten ton wtajemniczenia.

- Myślę, że gdyby ktoś popatrzył z boku na naszych rodziców, to pomyślałby, że są zupełnie normalni, prawda? - ciągnie Kristen. - Moi na przykład sprawiają bardzo dobre wrażenie. Moja matka jest kompletnie walnięta, ale wygląda normalnie.

Kristen śmieje się nerwowo, zaniepokojona, że przekroczyła niewidzialną granicę i zbyt wcześnie powiedziała za dużo o sobie.

*Powinnam teraz szybko coś powiedzieć, żeby oszczędzić jej zażenowania. Znam zasady. Ale nie jestem w stanie tego zrobić.*

Ogarniają kompletne wyczerpanie i rozmowa utyka w miejscu. Isabel zmusza się do uśmiechu i odchodzi ze świadomością, że Kristen czuje się urażona. Przecho- dząc obok salonu, widzi Keiszę, która kiwa



głową w rytm muzyki sączącej się do jej uszu ze słuchawek wielkości małych talerzyków.

*W tych słuchawkach wygląda jak czarna księżniczka Leia.*

TLR

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Na wieczornej sesji Isabel i Kristen siedzą obok siebie. Wszyscy pacjenci z oddziału tworzą krąg, pośrodku którego stoi puste krzesło.

- O co chodzi z tym krzesłem? - szepcze Isabel do Kristen, która wciąż trochę się boczy z powodu jej wcześniejszego zachowania.

- Zobaczysz - odpowiada krótko. - On to powtarza co jakiś czas.

Isabel jest wystarczająco bystra, by się domyślić, że ktoś usiądzie na tym krześle, ale bez względu na cel tego siadania ma nadzieję, że tym kimś nie będzie ona.

- Mam na imię Larry - oznajmia duży mężczyzna, cicho zamykając za sobą drzwi.

Gdyby Larry był stanem, byłby Vermontem: solidny, samowystarczalny, pozbawiony agresji, nierzucający się w oczy. Jest prawie zupełnie siwy i wydaje się, że jego broda starzeje się szybciej niż cała reszta. Eklektyczny strój przywodzi na myśl epokę hippisowską i zapach konopi.

- Ponieważ widzę, że mamy tu dzisiaj kogoś nowego, to chciałbym, żeby na początek każdy powiedział coś o sobie. Zacznijmy stąd, od mojej prawej strony.

Isabel orientuje się, że będzie druga, i serce zaczyna bić jej szybciej.  
*O Boże, nienawidzę takich sytuacji.*

- Mhm, jestem Kristen. Znalazłam się tutaj z wielu powodów. Cierpię na chorobę dwubiegunową i zaburzenia kompulsywno-obsesyjne. Między innymi.

Wszystkie oczy skupiają się na nowej uczestniczce zajęć.

- Mam na imię Isabel - mówi głosem o oktawę wyższym niż za-  
zwyczaj.

- Dlaczego się tu znalazłaś, Isabel? – podpowiada Larry.

- Nie wiem - mówi i czuje, że czerwieni się jeszcze bardziej. - To  
znaczy, chyba dlatego że lekarze uznali, że powinnam się tu znaleźć.

*Proszę, przejdź już do następnej osoby.*

- Witaj, Isabel - uśmiecha się Larry. - Szybko się zorientujesz, o co  
w tym wszystkim chodzi.

Olbrzym już nie może doczekać się swojej kolejki.

- Jestem Ben. Znalazłem się tu, bo lekarz mi kazał.

- Jestem Melanie. Mam manię. To znaczy, jestem maniakalno-  
depresyjna. To znaczy dwubiegunowa. - Zwraca się wprost do Isabel: -  
Ludzie przeważnie jeszcze nie za bardzo rozumieją, o co chodzi z tą  
dwubiegunowością, dlatego zawsze na początku mówię, że jestem ma-  
niakalno-depresyjna. Właściwie to na jedno wychodzi. Ludzie uważają,  
że nie ma takiej choroby, chociaż jest. Lekarze o tym wiedzą, ale więk-  
szość zwykłych ludzi nie wie, to znaczy, jeszcze nie zdaje sobie z tego  
sprawy. I tyle mogę o tym powiedzieć.

- Dobrze, Melanie - przerywa jej Larry łagodnie. - Dziękuję. Kto  
następny?

- Jestem Lark.

- Lark? Czy chcesz powiedzieć Isabel, dlaczego się tutaj znalazłaś?

- Nie.

- No dobrze.

Larry uprzejmie czeka, aż Sukanya się przedstawi, ale gdy staje się jasne, że dziewczyna nic nie powie, przechodzi dalej. Opiera się o puste krzesło pośrodku kręgu i obiega wzrokiem całą grupę. Zauważa, że Keisha jest nieobecna, zagląda do notesu i kiwa głową.

*Jak jej się udało od tego wykręcić?*

Isabel uświadamia sobie, że jej przerażenie odbija się na twarzy. Larry wskazuje na nią ręką.

*Oni zawsze wyczuwają zapach strachu.*

- Isabel - zaczyna Larry - jesteś w tej grupie nowa, więc pozwól, że wyjaśnię ci, co tu robimy. Celem tego spotkania jest intensywna praca. Przeznaczaliśmy na tę sesję aż dwie godziny, bo przekonaliśmy się już, że mając więcej czasu, jesteśmy w stanie sięgnąć głębiej. To krzesło symbolizuje kogoś lub coś, jakiś problem czy sprawę, na której chciałabyś się skupić. Może to być ktoś, na kogo jesteś zła. Może coś, co spowodowało twój ból i cierpienie. Tylko ty wiesz, co oznacza to krzesło.

Larry milknie i cierpliwie czeka, aż Isabel zacznie mówić.

- Uhm - odchrząkuje Isabel. - Nie wiem. Nie czuję żadnej złości - kłamie.

- Na pewno nie? - dopytuje Larry z kpiącym niedowierzaniem w głosie. - Żadnej złości? To trochę dziwne. Nie chciałbym tu nadmiernie uogólniać, ale większość pacjentów Three Breezes nigdy by się tu nie znalazła, gdyby nie przeżywała złości w jakiejś postaci. Hm. Zobaczmy.

Zagląda do teczki, która do tej pory leżała obok na stoliku.

- Isabel, a może na początek opowiesz grupie, dlaczego połknęłaś te wszystkie tabletki?

Isabel czuje, że jej policzki płoną. Żołądek podchodzi jej do gardła, które z kolei raptownie się zaciska. W uszach słyszy dudnienie.

*Nie mogę uwierzyć, że ten człowiek, którego pierwszy raz w życiu widzę, chce, żebym mówiła o tak osobistych sprawach przed tymi ludźmi. A do tego jeszcze sam wygląda jak Obi-Wan Kenobi.*

W milczeniu wpatruje się w Larry'ego Birkenstocksa.

- Naprawdę nie mam ochoty teraz o tym mówić - udaje jej się w końcu wykrztusić. Walczy z łamiącym się głosem i przetyka łzy.

-A jak sądzisz, kiedy będzie na to lepszy moment?

Isabel zdaje sobie sprawę, że pytanie Larry'ego jest czysto retoryczne.

- Dobrze, rozumiem. Rozumiem. Tylko że w tej chwili naprawdę nie czuję żadnej złości i nie mam nic do powiedzenia.

*Przyczep się do kogoś innego, ty stary hippisie.*

- Isabel, wiem, że za pierwszym razem bardzo kusi, by się wycofać - mówi Larry już łagodniej. - Tylko że na samym początku, gdy wszystko jest jeszcze bardzo świeże i bolesne, zwykle jest najlepszy moment, by porozmawiać o emocjach w ogóle, a szczególnie o złości.

- Nie mam ochoty rozmawiać - powtarza Isabel ostrzegawczo i mocno zaciska zęby. - Proszę przejść do kogoś innego.

- Isabel, dlaczego tak się złościysz?

*Niech to szlag.*

- Isabel?

*Niech to jasny szlag.*

- Akurat w tej chwili jestem zła na ciebie, Larry - odparowuje, starając się naśladować równy ton głosu prowadzącego grupę.

- Dlaczego na mnie? - pyta Larry z kpiącym wyrazem twarzy.

- Bo po pierwsze, co chciałeś osiągnąć, podając całej grupie szczegóły z mojej osobistej dokumentacji medycznej?

- Isabel, to jest terapia grupowa-uspokaja ją Larry. -Właśnie takimi rzeczami tu się zajmujemy. Rozmawiamy o trudnych sprawach.

Isabel przełyka ślinę i po chwili szepcze ze znużeniem:

- Bo już nie mogłam tak dłużej.

- Czego nie mogłaś dłużej robić? - łagodnie poddaje Larry.

- Widziałeś kiedyś taką karuzelę, jakie wkłada się chomikom do klatek? - zaczyna Isabel, patrząc mu prosto w twarz. - Ja byłam takim chomikiem. Nie mogłam już dłużej tak się kręcić. Nie mogłam dłużej żyć, ciągle sprawiając wszystkim zawód.

- Komu? Kogo zawiodłaś?

Isabel znów milknie na chwilę, a potem powoli zaczyna wybierać czerpakiem zalewającą ją wodę.

- Moje małżeństwo się rozpadło, więc jestem pewna, że rozczarowałam męża. Moi rodzice zawsze, odkąd pamiętam, czuli się mną rozczarowani. W pracy nawaliłam na całego, więc wiem na pewno, że zawiodłam szefa... - Urywa, zdając sobie doskonale sprawę, że zaledwie musnęła problem.

- Mów dalej, Isabel. Słuchamy.

- To trudno wyjaśnić.

Odwraca głowę i spogląda na puste krzesło. Patrzy na nie przez długą chwilę.

- Dla mnie to krzesło symbolizuje wszystko, czego oczekiwałam od siebie - mówi ze smutkiem. – Miałam być doskonała.

TLR

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Isabel przyjaźniła się z Casey od trzeciej klasy. Ich relacja przypominała związek róży i podtrzymującego ją palika. W miarę upływu czasu łodyga róży i palik splatają się ze sobą coraz ściślej; jedno podtrzymuje drugie, przy każdym porywie wiatru wspierają się nawzajem.

Gdy Casey odkryła, że ma guza w piersi, pierwszą osobą, do której zadzwoniła, była Isabel.

- Pójdiesz ze mną na zabieg?
- Oczywiście. - Isabel przełknęła łzy i pokiwała głową do słuchawki.
- Płaczesz? - zapytała Casey.
- Nie - skłamała Isabel. - Chyba jestem przeziębiona.
- Nie płacz. Teraz nie wolno ci płakać. Potrzebuję tego, żebyś była silna. Jeśli ty będziesz płakać, to ja zacznę panikować. A już miałaś okazję widzieć, jak to wygląda. Nic ciekawego.
- Dobrze, dobrze. - Isabel udało się odzyskać trzeźwość umysłu. - Na kiedy jesteś umówiona?
- Na wtorek. Mam tam być o ósmej rano. Mówili, że to potrwa tylko kilka godzin.
- Zostaniesz potem w szpitalu?
- Nie, to się robi ambulatoryjnie. Będziesz musiała mnie przywieźć do domu i położyć do łóżka. Ostrzegali, że będę otępiała.



- Wtorek. Nie ma problemu. Będę u ciebie z samego rana. Gdzie będziesz miała ten zabieg, w klinice uniwersyteckiej ?

- Tak.

- A co robisz dzisiaj wieczorem? Masz ochotę pójść do kina? Możesz wybrać film!

Casey zaśmiała się.

- Nie, dzięki. Ghyba wezmę kąpiel i posiedzę w wodzie tak długo, aż palce mi się pomarszczą.

- Zaraz do ciebie przyjadę.

- Dobrze. To do zobaczenia.

- Na razie.

- Isabel? Zakładam, że już jesteś w drodze. Jest siódma pięćdziesiąt. A jeśli jeszcze tu nie jedziesz, to masz poważne kłopoty. Chyba usłyszałam trzaśnięcie drzwi. To pewnie ty. Na razie.

- No dobra, jest pięć po ósmej. Gdzie ty się podziewasz?

- Zadzwoiłam po taksówkę. Mam nadzieję, że miałaś jakiś wypadek albo coś w tym rodzaju. Bo jeśli nie, to zamorduję cię przy najbliższej okazji i nic mnie nie powstrzyma.

- Po katastrofie samolotu rejsowego linii TWA, lot numer 800, FAA zwiększyła kontrolę centralnych zbiorników paliwa nie tylko w boeingach 747, ale również w innych starszych samolotach o podobnej konstrukcji. Doprowadziło to do niepokojącego odkrycia. W niedzielę firma Boeing powiadomiła FAA, że niedawne kontrole wykryły znaczne zużycie okablowania wewnątrz i na zewnątrz zbiorników paliwa w trzech boeingach 737. Linie lotnicze mają siedem dni na kontrolę i

wymianę instalacji w niektórych partiach sprzętu, a sześćdziesiąt dni na pozostałe samoloty. Z San Francisco dla KXTY mówiła Isabel Murphy.

- Świetna robota, chłopaki! - zawołała Isabel, rozcierając zmarznięte ręce. - Wracam do stacji na połączenie konferencyjne.

- Dobra - skinął głową kamerzysta Mike. - Ale nie musisz się tak śpieszyć. Połączenie konferencyjne będzie dopiero jutro.

- O czym ty mówisz? Przecież zawsze jest w środy. Od kiedy to się zmieniło?

- Nic się nie zmieniło, tylko dzisiaj jest wtorek.

- Dzisiaj jest wtorek?!

*Boże drogi. Casey.*

TLR

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Casey na wpół leżała, a na wpół siedziała na łóżku, wsparta na poduszkach. Przepęlniona wstydem Isabel ukryła twarz w dłoniach.

- Casey, strasznie cię przepraszam. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak głupio się czuję. Po prostu...

- Po prostu zadzwonili z pracy, że masz robić temat - westchnęła Casey. - Znam to już na pamięć. Zrobiłam błąd, prosząc cię, żebyś mnie tam zawiozła.

Isabel zapalczywie potrząsnęła głową, nie pozwalając przyjaciółce skończyć.

- Nie mów tak! Czuję się okropnie, rozumiesz? Nic już nie jest w stanie sprawić, żebym poczuła się gorzej. Powiedz, jak mogłabym ci to wynagrodzić.

- A jak niby miałabyś mi to wynagrodzić? Jezu! Nie było cię przy mnie, gdy usuwano mi guza z piersi, a teraz zastanawiasz się, jak mi to wynagrodzić? Wystawiłaś mnie do wiatru w dzień operacji! Co mogę innego pomyśleć niż to, że nic cię nie obchodzą przyjaciele? Zawsze kariera stała dla ciebie na pierwszym planie i potrafię to zrozumieć. Ale to było dla mnie ważne! Chodzi o operację! A ty zupełnie zapomniałaś! I to nie zdarzyło się pierwszy raz. Nie ma tygodnia, żebyś nie wystawiła kogoś do wiatru. W zeszłym tygodniu rozmawiałam z Nancy. Mówiła, że czekała na ciebie w kawiarni czterdzieści pięć minut, zanim wreszcie zrezygnowała i poszła. A Paula trzy tygodnie temu musiała

sama iść do kina, chociaż kupiła bilet dla ciebie i czekała przed wejściem prawie przez połowę filmu. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo stracisz wszystkich przyjaciół! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? I nawet nie zapytałaś mnie o operację!

- Bo nie miałam kiedy. Od progu na mnie naskoczyłaś.
- A winisz mnie za to?
- Nie. Nie mogę cię za to winić.

Popatrzyły na siebie.

- Jak poszła operacja? - zapytała Isabel.
- Paskudztwo, jeśli chcesz wiedzieć. A teraz bolą mnie obie piersi.

Nie wiem dlaczego, bo pocięli tylko jedną. Ale dzięki, że zapytałaś.

- Casey, wiem, że nawaliłam. Zawiodłam cię i czuję się z tym fatalnie. Masz pełne prawo być na mnie wściekła. Ja sama jestem na sobie wściekła. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowuję wobec przyjaciół. Nie robię tego celowo. Kocham cię jak siostrę. Zrobiłabym dla ciebie wszystko - nie krzyw się tak. Naprawdę wszystko. Tylko że gdy dzwonią z pracy, dzieje się ze mną coś dziwnego. Nie umiem tego wyjaśnić. Tak jakby praca zajmowała cały mój mózg i nie zostawiała mi już na nic więcej. Wcale tego nie chcę, ale tak jest.

Isabel zaczęła płakać i ciągnęła przez łzy:

- Tak mi przykro. Nie mogę znieść myśli, że cię zawiodłam. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Tego wszystkiego. Proszę, wybacz mi. Proszę!
- Oj, Iz. Nie płacz - powiedziała Casey z łóżka. - Uścisnęłabym cię, gdybym mogła, ale obawiam się, że wytrysnęłaby ze mnie ropa.

Casey chciała ją rozśmieszyć, ale osiągnęła przeciwny skutek: Isabel rozszlochała się jeszcze bardziej.

- Wiem, że ci przykro - westchnęła Casey. - Przepraszam, że tak na ciebie nakrzyczałam. Rozumiem, jak ważna jest dla ciebie praca. Zawsze wiedziałam, że cierpisz na przerost ambicji. Jeśli chcesz znać moje zdanie, masz to po ojcu. Zawsze starałaś się pracować tyle co on. Taki model odziedziczyłaś. I jeszcze twoja matka. Powiem tylko, że rozumiem, skąd wzięłaś ten perfekcjonizm. I nie zrozum mnie źle, szanuję to. Ale kiedyś w końcu musisz się zatrzymać i zorganizować sobie jakieś życie poza pracą. Twój ojciec nigdy tego nie zrobił, więc możliwe, że i ty nie wiesz, jak się do tego zabrać. Ale spróbuj, dobrze? Zrób to dla mnie.

- Obiecuję, że spróbuję. Kocham cię, Casey.

- Ja też cię kocham, głupia.

TLR

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- O czym teraz myślisz?

Doktor Seidler została lekarką prowadzącą Isabel przed trzema dniami, zaraz po przybyciu tej drugiej do Three Breezes. Choć sztywno wyprostowana sylwetka i prosto obcięte włosy sugerują chłodną, zdystansowaną osobowość, dłonie lekarki w zupełności niwelują to wrażenie. Są długie i delikatne, poznaczone ciemniejszymi wstążeczkami żył, co tylko dodaje im charakteru i wdzięku. Isabel nie może oderwać od nich wzroku.

- Isabel?

Milczenie.

- Wiem, że trudno jest ci się przyzwyczaić do życia tutaj w szpitalu, dlatego nie naciskałam na ciebie podczas dwóch naszych poprzednich spotkań. Uznałam, że masz prawo spokojnie pomyśleć – ciągnie doktor Seidler. - Ale będziemy razem pracować - ty i ja - i jeśli mam ci pomóc, to musisz się trochę przede mną otworzyć, Isabel.

- Czego pani ode mnie chce? - pyta Isabel, niechętnie odrywając wzrok od dłoni lekarki.

- Nic od ciebie nie chcę. Chcę ci pomóc. Może na początek zastanówmy się, dlaczego się tutaj znalazłaś.

*Jezu. Dlaczego się tu znalazłaś? Dlaczego się tu znalazłaś? Niedobrze mi się już robi, gdy słyszę to pytanie! Nie wiem, dlaczego się tu znalazłam, to nie jest miejsce dla mnie! Popatrz tylko: czy noszę na*

*ramieniu bandaż, żebym się nie drapała do krwi? Czy nieustannie papłam o niczym? Czy siedzę przez cały dzień nieruchomo, patrząc w przestrzeń? To nie jest odpowiednie miejsce dla mnie! Rany boskie, po prostu przyznajcie mi przywileje i pozwólcie wyjść na drogę!*

Doktor Seidler patrzy na nią nieruchomo.

*No dobra. Mogę mrugnąć pierwsza, jeśli ci na tym zależy.*

- Jestem tutaj, bo chcę się zabić. - Wzrusza ramionami.
- Dlaczego? Dlaczego czujesz, że nie możesz już dłużej żyć?
- Hm, nie wiem - odpowiada Isabel jak trzecioklasistka.
- To nie jest żaden konkurs. Nie ma dobrej ani złej odpowiedzi na to pytanie. Po prostu chciałabym wiedzieć.

Lekarka zagląda do papierów i czyta.

- Zaraz po przyjeździe tutaj powiedziałaś, że jesteś dla wszystkich rozczarowaniem. Że nie mogłaś już znieść karuzeli w pracy i zadowolić wszystkich. Czy tak właśnie czujesz? Chcesz się zabić, bo nie potrafisz zadowolić wszystkich?

- To brzmi idiotycznie, kiedy pani mówi to w ten sposób - odpowiada Isabel. - I pewnie o to właśnie chodzi. Ale to nie takie proste. Mam wrażenie, jakbym była ciągnięta we wszystkie strony naraz.

- A dzisiaj? Czy dzisiaj też miałabyś ochotę się zabić?

*Przywilej wyjścia. Droga dojazdowa.*

Isabel czuje się rozdarta między chęcią, by powiedzieć prawdę i zażytkować, że lekarka zabroni jej wychodzenia z budynku, a ochotą, by skłamać i dzięki temu wyrwać się z tego miejsca.

- Hm, chyba nie. Nie tak bardzo jak wcześniej.
- Co to dokładnie znaczy: „nie tak bardzo“?

- No, nie myślę już o tym przez cały czas, tak jak kilka dni temu, gdy tu przyjechałam - brnie Isabel. – To znaczy, jestem w stanie wyobrazić sobie przyszły tydzień, a wtedy nie potrafiłam wybiec tak daleko w przyszłość. Byłam pewna, że za tydzień już nie będę żyła.

*Powiedz jej. Opowiedz o tym, że kupowałaś po jednej rolce papieru toaletowego, bo kupowanie większego opakowania byłoby marnotrawstwem. Powiedz jej.*

- To znaczy, że teraz jesteś w stanie wyobrazić sobie, że będziesz żyła dalej? Przynajmniej jeszcze tydzień albo kilka dni?

- Tak, chyba tak. Kilka dni...

*Powiedz jej.*

- A co z Bożym Narodzeniem?

- Tym, które będzie? - Isabel zdaje sobie sprawę, do czego lekarka zmierza, i znów zastanawia się, czy powiedzieć prawdę.

- Tak. Z tym Bożym Narodzeniem, które będzie za kilka miesięcy. Czy potrafisz sobie wyobrazić siebie podczas tych świąt?

*Tu mnie ma.*

- Nie.

- Nie potrafisz sobie wyobrazić świąt?

- Nie.

- W porządku, Isabel. Nie musisz się z tego powodu załamywać. Jesteś tu zaledwie od kilku dni. Nie oczekujemy cudów. Jest mało prawdopodobne, by pacjent przeszedł w tak krótkim czasie od wyobrażeń samobójczych do długoterminowych planów. Nie ma w tym nic złego.



Isabel zaczyna płakać.

- Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego płaczesz?

- Chcę się stąd wydostać - odpowiada Isabel przez łzy łamiącym się głosem.

- Widzę, że ta rozmowa bardzo cię rozstraja – mówi doktor Seidler łagodnie. - Ale tak jak już mówiłam ci wczoraj, zamierzam zalecić kolegom, żeby zostawili cię z nami trochę dłużej. Na dłuższą metę tak będzie lepiej dla ciebie.

Isabel prawie jej nie słyszy. Jej depresja ulatuje gdzieś i znika jak taca przy fotelu w samolocie, która, gdy nie jest już potrzebna, składa się i niknie w schowku pod podłokietnikiem i tam czeka cierpliwie, by znów się pojawić podczas następnego lotu. Łzy przestają płynąć.

- Isabel? Isabel, o czym myślisz w tej chwili?

- Nie wiem. Mam pustkę w głowie.

- Spróbuj. Jeśli potrafisz, spróbuj mi powiedzieć, o czym teraz myślisz. Masz dziwny wyraz twarzy. Wyglądasz na przestraszoną.

- Co takiego? Och. Nie. Nie jestem przestraszona.

- Gdy cię proszę, żebyś coś powiedziała, to jakie słowo pierwsze ciśnie ci się na usta?

Isabel skupia wzrok na twarzy lekarki.

- Nie ma takiej możliwości, żebym jeszcze żyła w najbliższe Boże Narodzenie. W żaden sposób.

- Dlaczego? Isabel? Zatrzymaj się na tej myśli... dlaczego? Słyszysz mnie?

Ale Isabel już odpłynęła. Oczami wyobraźni widzi ciężarówkę, najeżdżającą prosto na nią. Słyszy pisk hamulców, ale koła ciężarówki

zatrzymują się za późno. Zamyka oczy i czuje siłę uderzenia, dotyk płyt chodnika pod swoim zakrwawionym ciałem, ulgę.

*Nie będę kimś, kto przez całe życie błąka się po szpitalach psychiatrycznych. Nie będę Zeldą Fitzgerald.*

- Isabel, posłuchaj mnie przez chwilę. – Terapeutka próbuje skupić na sobie jej uwagę. - Podczas twojego pobytu tutaj musimy popracować nad twoimi mechanizmami radzenia sobie w różnych sytuacjach. Widzę, że życie trochę cię przytłacza. Potrzebujesz się nauczyć, jak sobie radzić z wyzwaniami, które na ciebie spadają. Gdy się tego nauczysz, nie będziesz musiała się od nich odcinać, tak jak to robisz teraz.

- Trochę mnie przytłacza? - prychna Isabel i znów zaczyna płakać. - Trochę mnie przytłacza? To bardzo delikatnie powiedziane!

- Dobrze, opowiedz mi o tym.

- Po pierwsze, nie mam w ogóle żadnej kontroli nad własnym życiem i nad tym, co z nim robię. ANN wymaga ode mnie dyspozycyjności dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu. Potrafią zadzwonić o trzeciej nad ranem i powiedzieć, że mam natychmiast jechać na lotnisko. Czasami nawet nie wiem, dokąd lecę, dopóki nie zadzwonię z taksówki. Przez cały czas muszę mieć spakowaną torbę, żebym w każdej chwili mogła rzucić to, czym się akurat zajmuję, i jechać do pracy. Jestem w trakcie rozwodu. Nawet nie mam czasu pójść na terapię małżeńską... chociaż to akurat nie jest wielka strata...

- Zanim ruszymy dalej - przerywa jej terapeutka - przyjrzyjmy się temu, co powiedziałaś, punkt po punkcie. Niektóre z tych punktów są

bardzo istotne. Zaczniemy od rozwodu. Co się stało z twoim małżeństwem?

Isabel przycicha i zapada się głębiej w krzesło.

- Z moim małżeństwem?
- Myślę, że to może być dla nas dobry punkt wyjścia.
- Alex. On ma na imię Alex. - Isabel znów zaczyna szlochać.
- Opowiedz mi o Aleksie.

TLR

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Co mam podać? - zapytał barman, kładąc przed Isabel papierową serwetkę.

- Poproszę greyhounnda - odpowiedziała, szukając drobnych w torbie. - A właściwie może być podwójny?

- Nie ma problemu - odpowiedział barman, chociaż wyraz jego twarzy świadczył o czymś przeciwnym.

- A gdzie jest Stu? Przecież wtorek to nie jest jego wolny dzień.

- Dzisiaj tak - westchnął barman, wpatrując się w kratę z butelkami. Ostrożnie wziął jedną do ręki, popatrzył na etykietę i wsunął ją z powrotem do przegródki. - Jest chory.

- Czy mogę jeszcze zmienić zamówienie na dżin z tonikiem, czy też już na to za późno? - Wiedziała, że nie jest za późno, gdyż barman właśnie szukał hasła „greyhound” w „Przewodniku barmana”.

- Nie - rzekł z wyraźną ulgą. - To umiem zrobić. Isabel zaciągnęła się papierosem.

- Jak masz na imię?

- Alex.

- A ja Isabel.

- To na koszt firmy - powiedział, stawiając przed nią drinka. - Za to, że darowałaś mi tamto zamówienie.

- To nie jest konieczne, ale dziękuję. – Ponieważ miała publiczność, nie wypić drinka jednym haustem, tylko sączyła go powoli. - Mały ruch dzisiaj, prawda?

- Nie za wielki. Ale nie narzekam. Nie jestem właściwie barmanem, jeśli jeszcze nie zauważyłaś.

- To widać - uśmiechnęła się Isabel.

- Jak ci się udało przejrzeć ten sekret?

- No wiesz - mruknęła, mieszając drinka pałeczką. - Przede wszystkim nie masz pod ręką gazety rozłożonej na stronie z ogłoszeniami o pracę. Chyba nie słyszałeś, że to obowiązkowa lektura wszystkich barmanów.

Alex roześmiał się.

- Ooo ! Masz zęby jak Kennedy - zauważyła Isabel.

- Co to znaczy?

- Wydaje się, jakbyś miał ich więcej niż inni ludzie. Niesamowity widok. Otwórz usta, chciałabym to zobaczyć jeszcze raz!

Alex mocno zacisnął wargi.

- Proszę cię - nalegała Isabel kpiąco. - Pozwól mi tylko szybko zerknąć!

Alex potrząsnął głową i zapytał, starannie zakrywając usta ręką:

- Który Kennedy, ten dobry czy ten zły?

- Który jest dobry, a który zły? - roześmiała się Isabel.

- No wiesz: JFK Junior czy ten od wypadku z Chappaquiddick?

Isabel pociągnęła kolejny łyk drinka.

- O, nie. Nie dam się złapać w tę pułapkę.

- W jaką pułapkę?

- Jeśli powiem, że chodzi mi o JFK Juniora, to woda sodowa uderzy ci do głowy i przez resztę wieczoru będę musiała ściągać na ziemię twoje wygórowane mniemanie o sobie...

- A tak, bo mój duch dostaje skrzydeł tu za tym barem...

- ...a jeśli powiem, że ten od Chappaquiddick, to usłyszę długą listę szczegółowych uzasadnień, dlaczego jesteś fajnym facetem...

- Ta lista nie musi być długa, skoro za rywala miałbym tylko cudzołożnika, który dopuścił do tego, by jego kochanka utonęła...

- ...więc cokolwiek zrobię, będę gorzko żałować.

- I pomyśleć, że to wszystko zaczęło się tylko dlatego, że mój ojciec był dentystą...

- Aha! Czyli masz nieuczciwą przewagę nad innymi. To znaczy pod względem stomatologicznym.

- Przejrzałaś mnie na wylot.

Na chwilę zamilkli.

- Co robisz normalnie? To znaczy - poprawiła się Isabel ze śmiechem - czym się normalnie zajmujesz?

Zdawała sobie sprawę, że flirtuje, ale w uszach już pojawiał się znajomy, przyjemny szum i było jej wszystko jedno.

- Obsługuję stoliki. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej cię tu nie widziałem? Na pewno bym cię zapamiętał.

- Nie jadam tutaj. Wpadam tylko na płyny.

- Zawsze przychodzisz tak późno?

- Dopiero wyszłam z pracy. Właściwie tak. Zawsze tak późno.

- To znaczy, że obydwójce jesteśmy nocnymi markami.

- Chyba tak.

- Przepraszam na chwilę - powiedział Alex i podszedł do pary, która czekała na obsługę.

Isabel przyglądała się, jak kładzie przed nimi serwetki.

Dżin powoli osiadał w żołądku, wypełniając go ciepłem.

- Przepraszam jeszcze raz - uśmiechnął się, wracając za mahoniowy bar naprzeciwko Isabel. - Obowiązki służbowe.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Strzelaj.

- Mówię poważnie.

Alex z wysiłkiem powściągnął uśmiech, zmieniając go w grymas.

- Pytaj.

- Lubisz tę pracę?

- Chodzi ci o to, co robię dzisiaj? Obsługa baru? Czy kelnerowanie?

- Kelnerowanie.

- Nie jest zła - rzekł i zastanawiał się jeszcze przez chwilę. - Podoba mi się w niej to, że zostawia mi pełną kontrolę nad własnym życiem. Nie lubię mieć szefów, a tutaj sam mogę decydować o tym, kiedy pracuję i jak długo. No, prawie sam. Mam wolne dni, mogę robić, co mi się podoba, a potem przychodzę tu, popracuję trochę i zbieram majątek w napiwkach. Chyba pomaga mi świadomość, że nie będę się tym zajmował do końca życia.

- Dlaczego? Co będziesz robił za kilka lat? I czy zanim odpowiesz, mógłbyś mi nalać jeszcze raz to samo?

- Jasne. - Zabrał pustą szklankę i zapytał: - Jeszcze raz podwójny?

Przez chwilę zastanawiała się, czy jego spojrzenie było potępiające, czy tylko pytające. Uznała, że było potępiające, i skinęła głową.

- Chcę otworzyć własną knajpę.

- Ooo. Świetny pomysł.

- Wiem, co myślisz.

- Nic nie myślę.

- Owszem, tak. Myślisz sobie: „Tylko tego jeszcze brakuje w San Francisco - kolejnej restauracji”. Ale nie przejmuj się, już do tego przywykłem. I w zupełności się z tobą zgadzam.

- Wcale tak nie myślałam.

- Myślałaś. Ale nic nie szkodzi. Bo moje miejsce będzie zupełnie inne.

- Naprawdę w ogóle mi to nie przyszło do głowy.

Postawił przed nią drinka i pochylił się nisko nad barem.

- W takim razie... co myślałaś? Że masz ochotę wybrać się ze mną na kolację? W sobotę wieczorem?

Isabel z uśmiechem sięgnęła po szklanekę.

- O tym myślałaś, prawda?

Alkohol dodawał jej odwagi.

- Trafiłeś w dziesiątkę.

- Spotkamy się tutaj? O ósmej?

- Znowy trafiłeś.

Alex uśmiechnął się i poszedł wypisać rachunek parze siedzącej o kilka miejsc dalej.

- Case, on jest niesamowity - opowiadała Isabel, rozkładając koc na piknik.

- Tam na środku jest kamień, przesuń ten koc bardziej w swoją stronę. Teraz dobrze. W porządku. A wracając do pana Niesamowitego. Co w nim jest takiego niesamowitego?



- On jest taki... cały tu i teraz. Rozumiesz? Trochę dominujący, ale po dwóch ostatnich porażkach chyba nawet bardzo mi to nie przeszkadza. Umie słuchać. To taki facet, który otwiera ci drzwi, odprowadza do wyjścia, dzwoni następnego dnia...

- No, no. Jestem pod wrażeniem! Zaraz, niech sobie przypomnę, kiedy Michael ostatni raz przytrzymał mi drzwi... jak się zastanowić, to wydaje mi się, że nigdy tego nie zrobił. Chociaż zaraz... Nieprawda! Przytrzymał mi drzwi, kiedy wносиłam do domu drewno do kominka. A mówią, że dżentelmenów już nie ma na świecie. - Pokiwała głową. Odwinęła kanapkę z folii i podała ją Isabel. - Ta jest twoja. Podaj mi moją.

Isabel przytrzymała kanapkę przyjaciółki w ręku, żeby jeszcze przez chwilę utrzymać jej uwagę.

- Myślę, Casey, że to może być właśnie Ten.

- Jeśli natychmiast czegoś nie zjem, to zaraz umrę z powodu spadku poziomu cukru we krwi – odrzekła Casey.

Odebrała Isabel kanapkę, rozwinęła i odgryzła wielki kęs.

- Powiedz mi, jak przy takich manierach udało ci się przekonać Michaela, żeby się z tobą ożenił? Sama popatrz. Nie miałam pojęcia, że możesz tyle naraz wepchnąć do ust! Chociaż trzeba przyznać, że usta masz duże, panienko!

- Właśnie moje wielkie usta Michaelowi podobają się najbardziej. Rozumiesz - wymamrotała Casey między jednym kęsem a drugim. - A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to jaki ten twój jedyny jest w łóżku?

Isabel delikatnie skubnęła swoją kanapkę i odwróciła wzrok. Casey obserwowała ją uważnie.

- Och, nie... Aż tak źle?

- Myślę, że... po prostu... no wiesz, chyba oboje byliśmy bardzo zdenerwowani. To tak jak u fryzjera... nie podoba ci się sposób, w jaki ułożył włosy przy suszeniu, chociaż wiesz, że są dobrze obcięte i wszystko jest w porządku, tylko musisz je sama wymodelować w domu.

- Nie owijaj w bawełnę. Albo jest dobrze, albo nie. A sądząc po tej metaforze z fryzjerem, nie jest dobrze.

- Sąd wydał wyrok. Ale nie zgadzam się. Nie wszystko jest czarno-białe, dobre albo złe. W seksie jest miejsce na mnóstwo odcieni szarości. Ty może sobie tego nie uświadamiasz, bo i tobie, i twojemu panu Macho szaleją hormony.

- Nie umniejszaj znaczenia szalejących hormonów. Tylko dzięki nim nie zostałam jeszcze samotną matką. Mogę ci powiedzieć tylko jedno - jeśli seks nie jest dobry, no to nie jest właściwy facet. Wierz mi. Jeśli związek ma przetrwać dłużej, seks musi być dobry. A tak w ogóle, to czy pan Niesamowity ma jakieś imię, czy też za każdym razem mówiąc o nim, mam wystawiać palec wskazujący?

- Alex. Ma na imię Alex.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Isabel? Tu Alex. Jeśli tam jesteś, to odbierz, dobrze? No dobra, to zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz. Nadal jesteśmy umówieni na jutro, tak? Zarezerwowałem stolik w tej nowej restauracji, o której wspominałaś w zeszłym tygodniu. Przyjadę po ciebie o siódmej, dobrze? Już się nie mogę doczekać, kiedy cię zobaczę. Przez cały tydzień myślałem o tobie. Zadzwoń.

*Co się ze mną dzieje? To wspaniały facet, ale wolalabym, żeby zostawił mnie w spokoju.*

- Isabel, mówi twój ojciec. Ja, hm, chciałem cię przeprosić za to, co powiedziałem wtedy wieczorem. Może trochę za dużo wypłem. Możliwe, że nie rozumiem twojej pracy, ale to nie...

- Isabel, mówi twój ojciec. Ja, hm, chciałem cię przeprosić za to, co powiedziałem wtedy wieczorem. Może trochę za dużo wypłem. Możliwe, że nie rozumiem twojej pracy, ale to nie...

- Isabel, mówi twój ojciec. Ja, hm, chciałem cię przeprosić za to, co powiedziałem wtedy wieczorem. Może trochę za dużo wypłem. Możliwe, że nie rozumiem twojej pracy, ale to nie...

Isabel odtwarzała tę wiadomość nieskończenie wiele razy, zastanawiając się, co powiedziałby jej ojciec, gdyby automatyczna sekretarka nie rozłączyła go w pół słowa.

*Trochę za dużo wypilem.*

Skrzywiła się na myśl o kompletnie pijanym ojcu. Wydawało jej się, że powinien być dumny z jej pracy, zaangażowania i oddania, z pierwszej posady w sieci telewizyjnej. Nie była przygotowana na pogardliwy ton. Telewizja to bzdura, stwierdził. Samochody to konkret. Każdy chce zobaczyć nowy model. Sprzedawcy z całego świata ustawiają się w kolejce na spotkanie z nim, cedził niewyraźnym, pijackim bełkotem.

Isabel od czterech dni nie była pod prysznicem. Bokserki i koszulka, które wkładała na noc, zaczęły już śmierdzieć, bo miała je na sobie przez dwie ostatnie doby. Straciła apetyt i całą energię. Czuła pustkę w sercu. Żaluzje w oknach były zaciągnięte. Leżała w łóżku, odsłuchując kolejną wiadomość od Alexa - jego głos unosił się w przestrzeni jej malutkiego mieszkanca w San Francisco niczym piankowa kamizelka ratunkowa, której tonący nie jest w stanie dosięgnąć.

*Jestem taka zmęczona. Nie mogę dzisiaj nigdzie wyjść.*

- Isabel? Cześć, to ja, Alex. Hm, czy powinienem już popadać w paranoję? Jeśli nie chcesz się ze mną więcej widzieć, to po prostu mi powiedz, a nie będę ci więcej zawracał głowy. Tylko że, hm, wydawało mi się, że dobrze nam idzie. Ale jeśli tylko mi się tak wydawało, to powiedz mi o tym. Twoja sekretarka zaraz mi pewnie przerwie... i dobrze, bo zaczynam już być natrętny. Chciałbym się z tobą znowu zoba-

czyć, gdy poczujesz się lepiej. Zadzwoń, kiedy będziesz miała ochotę. Na razie.

- Isabel? Cześć, tu Alex. Daję słowo, że nie będę cię prześladował, ale pomyślałem, że zadzwonię jeszcze raz. Posłuchaj, mam bilety na mecz Giants w najbliższy weekend. Jeśli już czujesz się lepiej, to może miałabyś ochotę się wybrać? Nie można mieszkać w San Francisco i nie chodzić na mecze Giants. To jest zabronione prawem. No, dobrze. Oddzwoń, kiedy odsłuchasz tę wiadomość. Na razie.

- Cześć, tu Alex, dostałem twoją wiadomość! Dzwoniłem, bo... halo? Och, wydawało mi się, że podniosłaś słuchawkę. W każdym razie bardzo się ucieszyłem, że zadzwoniłaś. Bardzo bym chciał gdzieś się z tobą wybrać dziś wieczorem. Zresztą chyba wiesz. W końcu dzwoniłem do ciebie prawie codziennie przez jakieś trzy tygodnie. No dobra. To zadzwoń do mnie, jak odsłuchasz wiadomość, i ustalimy, gdzie pójdziemy i o której się spotkamy. Hej, Isabel? Dzięki, że oddzwoniłaś. Na razie.

- Sama nie wiem, Alex. - Isabel nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Ale czego nie wiesz? Czego? - Jego błagalny ton wpędzał ją w jeszcze większe przygnębienie. - Kochasz mnie. Ja kocham ciebie. Dlaczego nie możemy wziąć ślubu?

Isabel zebrała siły.

- Dla mnie to za szybko. Spotykamy się dopiero od sześciu miesięcy. Nawet nie wiem, gdzie będę pracować. Jeszcze nie wygrzebałam się z tego dołka...

- Nie, tylko nie to! Nie chcę znowu słuchać tej samej śpiewki, że twoje życie nie ma żadnego celu. Mogę ci powiedzieć, jaki jest cel twojego życia. Celem twojego życia jest to, żeby być ze mną. Ja jestem celem twojego życia!

Wzięli ślub w sześć miesięcy później.

TLR

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Po ostatnich przepychankach na Wzgórzu Kapito- lińskim Dzień Inauguracji stał się doskonałą okazją do pojednania. Podczas uroczystego lunchu dla członków Kongresu na polecenie speakera Izby Reprezentantów na kopułę Kapitolu wciągnięto flagi dla uczczenia prezydenta i wiceprezydenta. Prezydent zamierza bezzwłocznie wrócić do pracy. Już na pierwszy dzień swego urzędowania w drugiej kadencji zaplanował spotkanie z członkami Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej. Po piętnastu dniach bankietowania, które przeciągało się do wczesnych godzin rannych, wygląda na to, że dla prezydenta Clintona będzie to kolejny wyczerpujący dzień pracy. Dla Wiadomości ANN mówiła Isabel Murphy.

Isabel przyłożyła rękę do czoła.

- Alex, mówiłam ci przecież, że jestem zupełnie wykończona. Wiedziałeś, że nie będę miała czasu dla ciebie. Uprzedzałam, że przyjeżdżam tu po to, żeby zrobić relację z inauguracji.

- Może nie zauważyłaś, ale inauguracja już się skończyła - odparował Alex. Wygładził sportową kurtkę i starannie odwiesił ją do hotelowej szafy. - A w Nowym Jorku musisz być dopiero jutro.

- Nie spałam od dwudziestu czterech godzin. Mam potwornego kaca. Marzę tylko o jednym: żeby się położyć.

- Możesz spać w samolocie w drodze powrotnej. Za godzinę jest śniadanie dla mediów, na które chciałbym z tobą pójść. Isabel, cichych wspólników nie znajduje się na każdym rogu ulicy. Jennings właśnie podpisał lukratywny kontrakt i może w przypływie hojności zechciałby zainwestować w mój pomysł.

- Spędziłam cały tydzień w towarzystwie tych ludzi i nie mam najmniejszej ochoty oglądać ich jeszcze dzisiaj. Chcę się tylko przespać, spakować i wrócić do domu.

- Spotykasz się z kimś.

- Znów to samo...

- Spotykasz się z kimś, prawda? Nie chcesz iść na tę imprezę, bo on tam będzie. Kto to taki?

- Alex, tyle razy już to przerabialiśmy. Nie mam ochoty zaczynać od początku.

- Nie wiem, kto mógłby cię jeszcze zechcieć. Niedobrze mi się robi, gdy na ciebie patrzę. Sama zobacz, wyglądasz jak siedem nieszczęść. Obrzydliwie.

- Alex...

- Dlaczego kłamiesz? Po prostu powiedz mi prawdę.

Nabrzmiała żyła na czole Alexa zaczęła przypominać niebieską kreskę rzeki na mapie.



- Przecież mówię ci prawdę. Chcę wrócić do domu.
- Nie. - Jego głos miał nienaturalnie równe brzmie- nie. -Nie o taką prawdę mi chodzi. Zdradzasz mnie czy nie? - zapytał, podnosząc się z łóżka, na którym siedział.
- Nie zdradzam cię, Alex. Ale ty mi i tak nigdy nie wierzysz - westchnęła, wycofując się w stronę mini barku.
- Och, bardzo chciałbym ci wierzyć. Ale po prostu nie potrafię. Nie potrafię ci uwierzyć.

TLR

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Isabel? Czy możesz pójść ze mną na dyżurkę?

To ta bezimienna pielęgniarka, która zawsze ma zmianę o świcie.

Isabel posłusznie idzie za nią.

- Co się stało?

- Chcieliśmy ci powiedzieć - pielęgniarka przebiega wzrokiem notatki przypięte do podkładki, jakby coś sprawdzała - że otrzymałaś prawo do wyjścia z budynku.

*No, nareszcie.*

- Co to dokładnie oznacza? - pyta Isabel, mając przed oczami obraz kamiennej bramy na końcu drogi dojazdowej.

Pielęgniarka odkłada podkładkę, pochyla głowę i patrzy na Isabel sponad okularów.

- Do tej pory wolno ci było wychodzić tylko na taras przy budynku. Od dzisiaj możesz poruszać się po całym terenie wokół szpitala, ale - wyraźnie podkreśla to „ale”, jakby miała przed sobą Ptasznika z Alcatraz - ale masz się pokazywać tutaj, na dyżurce, i zaznaczać swoją obecność na tablicy co-pół go-dzi-ny. Czy to jasne?

- Owszem, zupełnie jasne - odpowiada Isabel z nieskrywanym sarkazmem.

Uważa jednak, żeby nie posunąć się za daleko, bo boi się, by nie stracić świeżo zdobytego przywileju.

- To jeszcze raz. Wolno ci poruszać się po całym terenie szpitala, ale musisz się pokazywać tutaj na oddziale co pół godziny i na tej tablicy zapisywać, gdzie jesteś. Oznacza to również, że teraz już nie musisz czekać, żeby ktoś cię zaprowadził do jadalni - możesz iść tam sama i jeśli zechcesz, możesz też wyjść, gdy skończysz jeść. Ale...

*Jezu.*

- ...obowiązują cię te same godziny posiłków co dotychczas. Masz jeść wtedy, kiedy wszyscy jedzą. To duży szpital i każdy oddział ma dostęp do jadalni o określonej porze. Czy to jest dla ciebie jasne?

- Zrozumiałam. - Isabel kiwa głową i wycofuje się do drzwi. -  
Dziękuję.

Od razu podchodzi do metalowej tablicy i zaznacza swoje wyjście, starannie, wielkimi literami kaligrafując słowo „spacer”. Na przekór dzieciennym instrukcjom pielęgniarki pisze „p” odwrócone.

Ciepłe i lepkie powietrze na zewnątrz budynku wydaje jej się niebiańskie.

*Wolność.*

Idzie stromą drogą dojazdową, która zakręca w stronę jej oddziału, i zatrzymuje się na szczycie wzgórza.

*Tylko idiota od razu rzuciłby się pędem w dół. Na pewno wszędzie tu są kamery... szczególnie przy drodze.*

Pamiętając o półgodzinnym ograniczeniu, idzie dalej. Wymija niski budynek, podobny do budynku jej własnego oddziału. Ten nazywa się Southgate. O kilka metrów dalej zauważa kolejną identyczną budowlę.

Oddział Opieki Medycznej.

Szpital Three Breezes jest dziwną składanką budynków z lat pięćdziesiątych, umiejscowionych gwiazdźście wokół centralnego placu,

na którym stoi olbrzymia budowla z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Tu mieści się administracja i rejestracja pacjentów. Okazały gmach ludzi pacjentów iluzją, że oni również zostaną zakwaterowani w podobnym luksusie; jednak z tyłu za nim, niewidoczne na pierwszy rzut oka, stoją pudełkowate, parterowe pawilony oddziałów.

- Proszę się ustawić w pary.

Wyrwana z zamyślenia Isabel spogląda w kierunku, skąd dobiega głos. O dziesięć metrów od niej z jednego z nieatrakcyjnych budynków wysypuje się grupa dzieci.

- Nie pójdziemy na lunch, dopóki wszyscy się nie ustawią. Ramon, gdzie masz swoją parę?

Isabel chowa się za wielkim dębem i patrzy na dzieci.

*Jezu, jakie one małe. Mogą mieć najwyżej po siedem, osiem lat. Skąd się tu, do diabła, wzięły?*

- No dobrze. Idziemy!

Isabel spogląda na koniec szeregu i widzi blondynka w okularach, który uważnie wpatruje się w ziemię pod swoimi stopami.

- Pośpiesz się, Peter - woła pielęgniarka przez ramię.

Chłopiec imieniem Peter mruczy coś do siebie.

Pielęgniarka zatrzymuje całą grupę i znów woła:

- Peter! Nie śpij! Chodź już!

Po chwili Peter odkrzykuje cienkim głosem:

- Czy może pani powiedzieć Ramonowi, żeby przestał rozdeptywać mrowiska?

Isabel jest wstrząśnięta.

*Mrowiska.*

Ze łzami w oczach patrzy, jak mały Peter idzie za grupą, ostrożnie stawiając stopy na płytach chodnika.

TLR

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jest jedenasta i prawie wszyscy już śpią. Ale nie Sukanya. Wciąż siedzi w świetlicy i patrzy przed siebie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, jakby oglądała telewizję, bo patrzy w kierunku odbiornika. Bliższa obserwacja ujawnia jednak, że Sukanya nie patrzy na ekran telewizora, lecz ponad nim.

Isabel staje w drzwiach.

- I ostatnia z dzisiejszych wiadomości. Ogromny pożar, który zgromadził jednostki ratownicze z kilku miast, został przed chwilą ugaszony. - Przejęty ton prezenterki przyciąga Isabel o kilka kroków bliżej ekranu. - Dla strażaków był to wyjątkowo ciężki dzień. Niektórzy z nich wciąż przebywają w szpitalu St. Luke, gdzie trafili z powodu zatrucia dymem...

Isabel opada na fotel obok Sukanyi. Kraciasta tapicerka jest wytarta, ale miękka i wygodna. Sukanya w żaden sposób nie reaguje na jej obecność. Mijają kolejne minuty.

- A teraz, w naszym cyklu „Odkrywamy okolicę”, historia chłopca - prezenterka leciutko zwróciła się w prawo i dokładnie w tej samej chwili na jej ustach pojawił się cień uśmiechu; doskonała synchronizacja wskazująca na to, że już za moment na ekranie ukaże się wzruszająca opowieść ku pokrzepieniu serc – który rzucił wyzwanie olbrzymowi... i zwyciężył!

Głos z telewizora obmywa Isabel jak strugi wody. Spogląda na Sukanyę, a potem znów skupia wzrok na ekranie i czuje, jak rozluźniają się wszystkie mięśnie jej twarzy, karku, pleców i nóg. Po chwili wzdycha głęboko i zapada w odrętwienie.

Obrazy rozzłoszczonych mieszkańców pikietujących ratusz miejski, na początku ostre, zaczynają się zacierać i rozlewać w przynoszący ulgę, nic nieznaczący kalejdoskop barw. Kakofonia głosów zlewa się w symfonię dźwięku i staje kołysanką dla dwóch kobiet, siedzących obok siebie późnym wieczorem w świetlicy przybytku dla umysłowo chorych.

Każdego wieczoru Isabel i Sukanya siedzą nieruchomo przed telewizorem. Dla Isabel wiadomości, które zaledwie przed kilkoma miesiącami przypominały swą precyzją szwajcarski zegarek, teraz stały się rozplywającymi się zegarami, rozrzuconymi chaotycznie po pustej przestrzeni snów. Programy, które kiedyś wzbudzały chęć rywalizacji, teraz są tylko chaotycznym zbitkami słów, połączonych ze sobą przez infantylne sygnały dźwiękowe.

- Isabel? - woła Connie, pielęgniarzka z nocnej zmiany. Stoi w progu i zagląda do świetlicy bez większego przekonania, zaintrygowana jednak widokiem dwóch stojących obok siebie foteli. - Isabel, kochana, jesteś tutaj?

*Idź sobie.*

Ale głos pielęgniarzki przywołuje ją z powrotem do rzeczywistości. Urok odrętwienia znika.

*Nie. Idź stąd.*

Connie obchodzi fotel dokoła i na widok Isabel robi zdziwioną minę.

- Chyba nie słyszałaś wezwania po leki - mówi. - Przyniosłam ci je.

Isabel bez słowa wyciąga do niej otwartą dłoń. Z białego papierowego kubka na środek tej dłoni wysypują się małe pigułki. Bierze od Connie drugi kubek, z napojem, i patrzy nań bezmyślnie.

- Wszystko w porządku, skarbie? - Twarz Connie marszczy się w uśmiechu. Isabel patrzy na jej poruszające się usta. - Dobrze się czujesz?

Isabel przenosi wzrok z jednej swojej dłoni na drugą. W końcu jednym gładkim ruchem wrzuca pigułki nasenne do ust, popija hawajskim ponczem i połyka. Connie waha się jeszcze przez chwilę, po czym wychodzi.

Isabel znów zwraca się w stronę ekranu. Sukanya nie odwróciła od niego wzroku nawet na chwilę.

Dobrze, że wreszcie dali jej spokój. W ogarniającym ją odrętwieniu jest coś dziwnie znajomego.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Chodzi mi o to, że oni po prostu chcą tobą zawładnąć, rozumiesz?  
- mówi Keisha. - Chcą przejąć nad tobą kontrolę, tak jakbyś była ich własnością.

- Więc uważasz, że jeśli otworzysz się przed kimś, porozmawiasz z kimś, to ten ktoś będzie miał nad tobą kontrolę? - pyta Larry.

Isabel pochyla się do przodu na swoim krześle i wpatruje w Keishę intensywnie.

*Daj jej skończyć.*

Keisha drapie się po głowie.

- No, coś w tym rodzaju. Ale nie chodzi tylko o to, żeby się otworzyć. Mówię o gadaniu, o takim kłapaniu.

- O kłapaniu?

- O kłapaniu. Kłapaniu szczękami. Gadaniu. Rozumiesz? Opo-  
wiadaniu o swoich sprawach. Ludzie wtedy myślą, że mają cię już w rękę. Należysz już do nich, a nie do siebie. Nienawidzę tego. Tak jak te plemiona, które uważają, że jeśli zrobisz im zdjęcie, to zabierasz im kawałek duszy. To coś takiego. Opowiadasz komuś o sobie, a ten ktoś kradnie ci duszę. Dlatego ja nie chcę z nikim rozmawiać. Bo chcę zachować swoją duszę.

- Mów dalej - zachęca Larry.

- I tak zresztą nikogo nie interesują moje sprawy - ciągnie Keisha. -  
Do kogo mam niby pójść, do mojej siostry? Ha! - Wydaje się szczerze rozbawiona tą niedorzeczną myślą.

- Dlaczego zawsze musisz to robić?

- Co?

Alex opuścił wzrok na narzutę łóżka i przesunął palcem po szwie.

- Zawsze, gdy masz jakiś problem, dzwonisz do Casey. - Rzucił jej szybkie, ostrożne spojrzenie. – Albo do matki...

- I co z tego?

- A nigdy nie przychodzisz najpierw do mnie - wyjaśnił. - Nie pozwalasz, żebym najpierw ja spróbował ci pomóc. W końcu jestem twoim mężem. Mężowie po to właśnie są.

Isabel przeszła przez pokój i stanęła naprzeciwko niego.

- Bardzo przepraszam - powiedziała, całując go w policzek. - Mogę ci - pocałunek - obiecać - pocałunek - że następnym razem - pocałunek – przyjdę najpierw do ciebie. - Pocałunek.

Alex odsunął głowę i popatrzył jej prosto w oczy.

- Tylko do mnie.

- Tylko do ciebie? - powtórzyła Isabel z uśmiechem i jeszcze raz pocałowała go w policzek.

- Tylko do mnie - powtórzył.

Gdyby słuchała go uważnie, zauważyłaby, że wyraźnie podkreślił pierwsze z tych trzech słów. I nie uśmiechał się przy tym.

- Każdy potrzebuje mieć kogoś, z kim mógłby porozmawiać - mówi Larry.

*Zdaj się na Larry'ego Birkenstocksa, coś w tym rodzaju śpiewał Dylan.*

Keisha potrząsa głową.

- Nie ja, stary. Nie ja. - Wydaje się dumna ze swojego stoicyzmu. - Poza tym ludzie, których znam, nie wywnętrzają się tak. Kiedy się spotykamy, gadamy tylko o tym, kto się z kim przespał, kto się jak ubiera, kto ma jakie płyty... i tak dalej. Nikt nie rozwodzi się nad tym, jak bardzo skrzywdziła go matka.

*Amen.*

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że potrzebujesz czegoś więcej? - pyta Larry. - Szczególnie teraz?

- Coś ci powiem, Larry - odpowiada Keisha i jej dziecinna twarz nagle poważnieje. - W całym tym szpitalu nie ma nikogo czarnego. Ani jednej osoby. Tylko ja. A czarni, tacy jak ci, o których mówię, nie gadają o takich psychobzdurach. I nie ma ich tutaj. Więc tak sobie myślę, że może coś w tym jest, rozumiesz?

*Ona ma rację. Ma absolutną rację.*

- Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć? - pyta Larry.

- Mówię, że może właśnie o to chodzi - oświadcza dziewczyna z dumą - może właśnie w tym jest sedno. Gadanie o takim gównie robi z ludzi psycholi. Jak się o tym nie gada, to nie ma się problemów. Problemy zaczynają się wtedy, kiedy zaczyna się w tym za bardzo grzebać. - Keisha objawia swoją teorię z triumfującą miną.

Larry natychmiast przeciwstawia jej swoją teorię:

- A może dzięki takiemu grzebaniu dochodzimy do głębszego zrozumienia nas samych i dzięki temu potrafimy bardziej cenić własne życie?

*Bardziej mi się podoba filozofia Keishy niż twoja, ty palancie.*

- Moja filozofia bardziej mi się podoba - odpowiada Keisha.

Gdyby w tej chwili spojrzała na Isabel, zapewne zauważyłaby zdumienie na jej bladej twarzy.

TLR

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kobieta, która siedzi przycupnięta na brzeжку krzesła, dotychczas nie otworzyła się przed grupą. Jednak w przeciwieństwie do Sukanyi Lark jest „obecna”, bardzo dobrze świadoma tego, co się dookoła niej dzieje, i bardzo smutna. Jej zaniedbane ciemne włosy są źle obcięte, jakby ostrzygła się sama. Twarz ma opuchniętą i zaczerwienioną.

Całe ciało ma opuchnięte: ślubna obrączka zatopiona jest w fałdach skóry i najwyraźniej nigdy niezdejmowana. Według wszelkich kryteriów Lark jest w okropnym stanie. Rozmawia z kimś tylko wtedy, gdy pali na tarasie. W tym miejscu nikotyna osłabia jej zapory obronne i rozluźnia język.

- Czy mogę cię o coś prosić? - zwraca się do Isabel. - Lekarz zabrał mi cały karton papierosów - wyznaje, spoglądając na budynek oddziału z lekkim prychnięciem - i zastanawiałam się, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić. - Mówi z ciężkim brooklyńskim akcentem.

Isabel, która właśnie zapaliła papierosa, przysuwa się do niej razem z plastikowym krzesłem.

- A co mam zrobić?

- Wiem, że to dziwnie zabrzmiało - mówi Lark tonem, który w jej ustach ma mieć przepraszające brzmienie - ale już tak kiedyś robiłam, jeszcze zanim tutaj trafiłam. Gdy się zaciągniesz i będziesz wydumchiwać dym... to dmuchaj w moją stronę, żebym mogła go wciągnąć.

Lark jeszcze nigdy nie wypowiedziała tylu słów naraz. Isabel jest zaintrygowana.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, o co ci chodzi.
- Ja ci pokażę. - Kristen też przysunęła swoje krzesło bliżej.

Zaciąga się teraz papierosem i gdy przygotowuje się do wydmuchnięcia dymu, Lark pochyla się w jej stronę, jakby chciała ją pocałować. Kristen wypuszcza dym, a Lark bierze głęboki oddech.

- Naprawdę coś ci to daje? - pyta Isabel, nieco zdegustowana.
- Mhm. - Na twarzy Lark pojawia się cień uśmiechu. - Przede wszystkim mam tę satysfakcję, że nikt mi nie może zabronić palić. To ważniejsze niż ten używany dym.

Astma i potężne zapalenie oskrzeli zakwalifikowały Lark na listę zagrożonych pacjentów, toteż personel musiał podjąć drastyczne środki, by zabronić jej palenia, przynajmniej na czas pobytu w szpitalu.

- Więc mówisz, że byłaś tu już wcześniej? – pyta ostrożnie Isabel.

Lark wyczuwa początek przesłuchania, ale nie może odmówić odpowiedzi, jeśli chce wdychać dym z papierosów Kristen i Isabel. Nie ma wyjścia.

- Tak. - Nałóg bierze górę nad skrytością. - To mój czwarty raz.
- Och. - Teraz to Isabel znalazła się w ślepym zaułku. Przekonała się już o istnieniu niepisanej zasady, zgodnie z którą gdy pozwoli się komuś powiedzieć, dlaczego znalazł się w szpitalu, to nie wolno potem zmieniać tematu. W głębi serca wciąż jednak pozostała reporterką i dobrze wie, jak się przeprowadza wywiady. - Czy powroty tutaj są trudne?

- Nie. - Lark patrzy jej prosto w oczy. - Tym razem staram się być aktywna. Jutro jest Dzień Ojca. To dla mnie najtrudniejszy dzień w całym roku.

Przez chwilę patrzą na siebie. Kristen wstaje, by zapalić następnego papierosa, i Lark opuszcza wzrok na swoje kolana.

Doniczka miała kształt kota. Jego oczy lśniły jak szklane kulki.

- Ale dlaczego? - zapytała Isabel, przesuwając palcem po linii ogo-  
na.

- Jesteś jeszcze za mała. - Matka szybkim ruchem odgarnęła włosy z jej twarzy, ale kilka kosmyków przykleiło się do mokrych od łez policzków.

- Powiedział, że mogę z nim pojechać. Tak powiedział.

W ziemię w doniczce wbity był plastikowy widelec, a między jego zęby wsunięta karteczka: „Przepraszam cię, mała. Zobaczymy się niedługo. Całuję, tato”.

- Wiem, że tak powiedział, ale okazało się, że będzie miał więcej spotkań, niż myślał. Ten nowy model samochodu, który tato teraz prezentuje, bardzo się wszystkim podoba. To wspaniale, prawda? W każdym razie powiedział mi przez telefon, że na pewno zabierze cię ze sobą następnym razem.

- Ale ja chciałam pojechać teraz - szlocha Isabel. - Dlaczego nie mogę? Mogłabym czekać na niego w hotelu, aż skończy te swoje spotkania. Mogłabym tam siedzieć i czekać!

- Przestań lamentować. Koniec tej dyskusji. Masz dopiero osiem lat. Jesteś za mała, żeby siedzieć przez cały dzień sama w hotelu. Zgłodniałabyś...

- Mogłabym zamówić jedzenie do pokoju. Tak jak Eloise. Mogłabym sobie coś zamówić i czekać na niego.

- Co ci przed chwilą powiedziałam? Będiesz mogła pojechać z nim innym razem. Wtedy, kiedy nie będzie miał tak dużo zaplanowanych spotkań.

- On zawsze ma za dużo spotkań - odrzekła Isabel żałośnie, podnosząc się.

- Nie zapomnij zabrać swojego kwiatka. Tak ładnie wygląda w tej doniczce.

Isabel sięgnęła po kota z błyszczącymi oczami.

- Tato, pomogę ci się położyć.

Kolana Isabel uginały się pod jego ciężarem, choć próbowała rozłożyć obciążenie bardziej równomiernie, mocniej zarzucając sobie jego ramię na barki.

- Bardzo cię przepraszam - mruczał niewyraźnie, powtarzając te słowa któryś już raz.

- Wszystko w porządku, tato - skłamała. – Spróbuj teraz wejść po tych schodach. To tylko sześć schodków.

- Masz tylko jednego ojca - wymamrotał.

- I całe szczęście - mruknęła do siebie. - No chodź, tato. Jeszcze trzy schodki. No, już. Dasz radę.



- Po co sobie zawracasz tym głowę? - zapytał po raz pierwszy od chwili, gdy córka ściągnęła go z barowego stołka w salonie, usiłując utrzymać się na nogach o własnych siłach.

- Co? Chodź, tato. Jeszcze trzy schodki. – Isabel spojrzała wzdłuż długiego, ciemnego korytarza w stronę sypialni rodziców, a potem znów skupiła uwagę na schodkach, które jeszcze pozostały im do przebycia.

- Po co sobie zawracasz głowę. - Tym razem to nie było pytanie. - Przecież wiesz, że nie masz żadnej rodziny.

Ostry ból przeszył jej plecy.

- Co powiedziałaś?

- Nie masz rodziny - powtórzył ojciec wyraźnie, niedobrym, zimnym głosem.

- Sam nie wiesz, co mówisz - odrzekła z nadzieją, że się nie myli i że jej pijany ojciec znów bełkocze o niczym.

- Nie masz żadnej rodziny.

Isabel, stojąca już na najwyższym stopniu schodów, skrzywiła się boleśnie.

- Nie masz rodziny.

Nigdy się nie dowiedziała, że ojciec mówił do siebie, nie do niej.

- Kolacja za dziesięć minut - mamrocze Lark. - Chcesz, żebym zapisała twoje wyjście?

Isabel otrząsa się ze wspomnień jak pies wracający do domu z deszczu i patrzy na nią.

- Tak, dziękuję. Jeśli chcesz, to możemy iść do jadalni razem.

Przyjaźń wykuta przy substancjach rakotwórczych. Lark idzie na dyżurkę pielęgniarek, gdzie wisi biała metalowa tablica.

- Lark? - woła do niej Kristen. - Możesz mnie też zapisać? - i dodaje do Isabel: - Nie będziecie miały nic przeciwko, jeśli pójdę z wami?

*Znów jesteśmy w podstawówce i właśnie tworzymy paczkę.*

- Jasne, dlaczego nie - odpowiada Isabel, przydeptyując papierosa.

- Skąd właściwie jesteś? - pyta Kristen, gasząc swojego. - Właśnie przyszło mi do głowy, że nie wiem, gdzie mieszkasz.

- A ja nie znam tu niczyjego nazwiska. Wychowałam się w Connecticut, ale teraz mieszkam na Manhattanie.

- Ja też się wychowałam w Connecticut! Gdzie dokładnie? - pyta Kristen z podnieceniem.

- Greenfield.

- A ja jestem z Winsford. - Kristen promienieje.

Winsford leży zaledwie o kilka minut drogi od Greenfield.

*Proszę, tylko nie zaczynajmy zabawy w nazwy.*

Isabel cofa się o kilka kroków i spogląda na oddział, sprawdzając, czy wszyscy już gromadzą się przed wyjściem do jadalni. Ma nadzieję, że język jej ciała uciszy Kristen.

- Gdzie ta pielęgniarka? - mówi Kristen, chwytając sygnał. - Jestem okropnie głodna. Nie cierpię, kiedy prowadzą nas z opóźnieniem.

- Chcesz jeszcze jednego papierosa?

Kristen kiwa głową z wdzięcznością. Isabel uśmiecha się i wyciąga do niej paczkę marlboro lights.

- Jesteśmy bandą chorych - mówi, podchodząc do zapalniczki na ścianie. - Bandą chorych.

Kąciki ust Lark, stojącej za jej plecami, wyginają się w górę w lekkim uśmiechu.

- Masz zupełną rację - stwierdza.

TLR

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- A teraz, kochani, bierzemy pisaki!

Larry, który zwykle prowadzi terapię grupową, jest chory i zastępuje go terapeutka; wygląda, jakby dopiero skończyła studia i życie jeszcze nie zdążyło podciąć jej skrzydeł. Ma na imię Rita.

Nikt się nie porusza. Wszyscy patrzą na Ritę.

- No, ludzie. - Rita trzepocze rzesami w sposób, który Isabel uznaje za żalostną, godną licealistki mani- pulację.

*Nie ma żadnego doświadczenia. Gdyby miała chociaż cień inteligencji, nie marnowałaby swoich kokieteryjnych sztuczek na grupę wariatów. Poza tym zanosi się na jakąś formę terapii sztuką, a jeśli tak, to ja stąd spadam.*

- Wyjaśnię wam, co będziemy dzisiaj robić. – Rita próbuje teraz przemówić do grupy racjonalnie. - Będziemy malować na tym arkuszu tektury. Proszę, żeby każdy z was wziął pisak i narysował tu siebie, tak jak sami siebie widzicie.

Grupa nadal nie reaguje.

*To jest żenujące. Jak obserwowanie aktora na scenie, który zapomniał swojej roli.*

- Słuchajcie, ja mówię zupełnie poważnie – brnie dalej Rita. Sprawia to wrażenie, jakby wśród personelu szpitala istniała rywalizacja o to, kto przeprowadzi bardziej przełomową sesję. Rita wydaje się prze-

konana, że jej metoda przebije inne. - Po prostu spróbujcie. Jeśli nie będziecie chcieli kontynuować, to wszystko w porządku.

- Wszystko w porządku? - chrypi Lark. - A co, jeśli nam się to nie podoba? To na tym zakończymy dzisiejsze zajęcia?

To wyraźna prowokacja wobec Rity. Wszystkie oczy skupiają się na Lark. Nawet Sukanyi.

- Hm, Lark, nie, prawdę mówiąc nie. Jeśli nikt nie będzie miał ochoty rysować, to możemy robić coś innego. Ale naprawdę uważam, że powinniście chociaż spróbować.

- A co ty w ogóle wiesz? - Isabel wpatruje się w Lark, która z niewiadomych powodów rzuca Ricie rękawicę. - Nie masz ochoty słuchać o prawdziwych problemach. O tym całym gównie. O tym, co spieprzyło nam życie. Mam rację? Chcesz tylko, żebyśmy rysowali ładne obrazki. - Lark podnosi ton głosu, naśladowując intonację Rity.

Rita kurczy się w sobie. Cała grupa patrzy na Lark z fascynacją.

- Rita, mój ojciec zgwałcił Lark, kiedy miała osiem lat. A matka patrzyła, jak to robił. Chcesz, żebym ci to narysowała? Ona nigdy nie powiedziała o tym ani słowa. Ani jednego słowa.

*Co tu się, do diabła, dzieje? Lark nigdy się nie odzywała na tych spotkaniach. A teraz nagle wyrzuca wszystko z siebie w trzeciej osobie?*

- Wiesz, co kochany tatuś zrobił, kiedy Lark dostała pierwszej miesiączki? Powiem ci co. Wetknął jej dośrodką rozgrzaną lokówkę. Powiedział, że musi to z niej wypalić. Mówił, że ona już nie jest czysta. Pieprzona mała Lark jest taką pieprzoną beksą - ciągnie Lark. Rita patrzy na nią wraz ze wszystkimi.

- Prosiła tatusia, żeby przestał. Możecie uwierzyć? Naprawdę prosiła, żeby przestał... jakby to mogło w czymś pomóc. Ona jest niewiarogodna.

Lark wyciągnęła z kieszeni koszuli paczkę papierosów. Isabel ze zdumieniem zauważa, że to jej papierosy

- Lark musiała je podkraść z komody w jej pokoju. Zapala jednego - co na oddziale jest surowo zabronione - używając do tego zapalek, które musiała podwędzić z dyżurki pielęgniarek, kiedy nikt nie patrzył.

Rita nie ma już żadnej kontroli nad grupą.

- Lark, myślę, że nie powinnaś tego robić – mówi nerwowo Ben, wzrokiem szukając aprobaty Rity.

Melanie zaczyna się śmiać. Keisha odchyła się do tyłu razem z krzesłem. Wygląda, jakby dobrze się bawiła, obserwując ten konflikt. Sukanya nie wychodzi ze swojego stanu katatonii.

Lark zaciąga się. Zarzuca ramię na oparcie krzesła i zakłada nogę na nogę, co przy jej bardzo grubych udach nie jest łatwym zadaniem. Musi przytrzymywać prawą nogę, żeby nie zsunęła się z lewej.

Rita wygląda na spanikowaną. Wstaje i zamiast zwrócić się do Lark bezpośrednio, ogłasza grupie, że czegoś zapomniała i za chwilę wróci, po czym pędem wybiega z sali.

Lark zwraca się do Isabel i Kristen.

- Mała przestraszona Rita. - Wybuchła śmiechem i zaciąga się jeszcze raz. - Chyba ją wystraszyłam na dobre!

Zupełnie teraz nie przypomina milczącej kobiety, która na tarasie wdycha dym.

Po chwili do sali wpada pielęgniarka w towarzystwie dwóch sanitariuszy, a za nimi Rita, która wykazała przynajmniej tyle inteligencji, by uświadomić sobie, że wpadła jak śliwka w kompot. Lark spogląda na nich wyczekująco, świadoma tego, co się za chwilę stanie. Powoli wrzuca niedopałek papierosa do na wpół opróżnionej puszki z dietetyczną colą i wstaje, by ich powitać, jakby była na przyjęciu koktajlowym.

- Dobry wieczór, chłopcy - oznajmia wesoło, opierając dłoń na biodrze.

Isabel patrzy, jak sanitariusze wykręcają jej ręce za plecy i wyprawdzają z sali. Przechodząc obok Rity, Lark pluje jej w twarz.

- Pieprzony dzieciak! - wrzeszczy. - Prosiła tatusia, żeby przestał...

W progu wybucha niekontrolowanym śmiechem.

Gdy podwójne drzwi zamykają się za nimi, wyraźnie wstrząśnięta Rita wyciera twarz zwiniętą w kulkę chusteczką higieniczną, którą wyjęła z kieszeni, a potem spogląda na grupę i mówi:

- No dobrze. Na czym to skończyliśmy? Wszyscy biorą pisaki. Chodźcie.

Tym razem jest to rozkaz.

Po jakiejś minucie Melanie podnosi się, podchodzi do pudełka i wybiera fioletowy pisak. Ben przygląda się temu, a potem też wstaje i bierze żółty. Kristen z westchnieniem idzie w ich ślady. Isabel spogląda na Keiszę, która przewraca oczami, wzrusza ramionami, wstaje i przeciąga się.

*Kim są ci ludzie?*

Isabel podnosi się z miejsca i cicho wychodzi z sali. Niezatrzymana przez nikogo, wraca do swojego pokoju i wspina się na niewygodne łóżko.

TLR



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Poszukiwania dwudziestosiedmioletniego Anrew Cunanana objęły już teren całego kraju. Policja uważa, że Cunanan może być seryjnym mordercą odpowiedzialnym za cztery zabójstwa popełnione na obszarze od Minneapolis do Chicago. Ktokolwiek ma jakieś informacje na temat mężczyzny ze zdjęcia, proszony jest o skontaktowanie się z najbliższym komisariatem. Mężczyzna prawdopodobnie posiada broń. Z Chicago dla Wiadomości ANN mówiła Isabel Murphy.

- Ale dlaczego?

- Jeszcze nie znaleźli tego faceta. Mam doniesienia, że być może kieruje się na południe. Przepraszam, mam, muszę już kończyć.

- Przecież są urodziny twojego ojca. Nie możesz sobie wziąć nawet jednego wolnego wieczoru?

- Przykro mi, mam. Naprawdę nie mogę. Złóż tacie ode mnie życzenia wszystkiego najlepszego. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Wpadnij chociaż na kawę.

- Mam, ja nie piję kawy.

- Od kiedy?

- Nigdy nie piłam. Miło, że to zauważyłaś.

- Przecież wszyscy piją kawę!

- Niektórzy nie. Mniejsza o to. Wołają mnie już do samolotu. Muszę iść.

- Dokąd tym razem lecisz?

- Miami - westchnęła Isabel.

- Dobra ta twoja praca. Tam na pewno jest trzydzieści stopni ciepła i świeci słońce.

- Mamo, ja nie jadę na wakacje, tylko do pracy.

- Wiem, wiem. Zawsze jedziesz do pracy. Nigdy nie masz wolnego?

- Właściwie nie.

- To co ja mam powiedzieć tacie? W końcu to jego urodziny.

- Nie wiem - odpowiada Isabel, ale dodaje po krótkim namyśle: - Zaczekaj. Powiedz mu, że jego syn wdał się w niego. Tak jak w tej piosence.

- Co ty za bzdury opowiadasz, Isabel - mówi matka z irytacją.

- W piosence Harry'ego Chapina. Znasz ją. „Mój syn wdał się we mnie. Jest taki sam jak ja”.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Po raz ostatni jem to nędzne gównno!

Uśmiech Keishy jest tak szeroki, że jej twarz przypomina przeronięty słonecznik z targu.

- O czym ty mówisz? - pyta Isabel z ustami pełnymi sałatki.

- Wybywam z tej piekielnej dziury!

Wszyscy przy stole są zaskoczeni, z Sukanyą włącznie, która na chwilę zatrzymuje widelec w bezruchu, zanim wbije go w następny kęs przygotowanego specjalnie dla niej koszernego lunchu.

- Dostałam dzisiaj papiery do wypisu i wreszcie stąd spadam!

Isabel czuje ucisk w żołądku.

*Jak to możliwe, że Keisha już wychodzi? Dopiero zaczęła otwierać się podczas terapii.*

- To dzięki mojej firmie ubezpieczeniowej. Całkiem jakby czytali w moich myślach. Akurat wtedy, kiedy zaczęłam rzygać tym miejscem, przysłali lekarzowi list, że nie będą dłużej za mnie płacić. No i idę do domu, kochani. Nie ma to jak w domu. - Keisha mówi tak głośno, że grupa siedząca przy sąsiednim stole przestaje jeść.

Wszystkich pacjentów wytrąca z równowagi informacja o tym, że ktoś zamierza opuścić Three Breezes. Wielu z nich jest tu już od dawna i wiadomość, że ktoś spośród nich wychodzi, działa na nich tak, jak na żołnierzy wiadomość o dezercji kolegi.

- Keisha, wiem, co odpowiesz, ale jednak posłuchaj mnie przez chwilę. - Isabel sama właściwie nie wie, co chce powiedzieć. - Grupa właśnie zaczęła się docierać i może twoja firma ubezpieczeniowa zgodziłaby się pokryć osiemdziesiąt procent kosztów. Twój lekarz na pewno może się z nimi skontaktować w tej sprawie.

Keisha rzuca jej ponure spojrzenie, ale Isabel wie, że dziewczyna jest zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę, że nawet tak okropne miejsce jak szpital psychiatryczny może wyjść człowiekowi na dobre. Wie również, że Keisha tęskni za domem, jest zmęczona własnymi wybuchami wściekłości i następującymi po nich okresami zamknięcia w sobie. Chce wrócić do mamy i do własnego łóżka.

- Nic z tego, kochana. Wybywam stąd. Mam już dość tych sałatek, które tu stoją chyba od czasów, gdy nosiłam pieluchy. Dość zamykania moich rzeczy na klucz. Dość tej sali wyłożonej gąbką. Wolność, kochana!

Isabel kurczy się na krześle, przytłoczona goryczą.

- Jak się dostaniesz do domu? Kiedy przyjadą twoi rodzice?

- Ju-tro wie-czo-rem - odpowiada Keisha, dzieląc sylaby. - Zostałam wiadomość mojej siostrze Mo i ona powie mamie, żeby przyjechała zaraz po pracy.

- To znaczy o której?

- Koło dziewiątej. A co ci do tego, chcesz to zapisać na tablicy czy jak? O właśnie, i od jutra nic już nie będę musiała zapisywać!

- Dobrze, dobrze. Jak Boga kocham, daj już spokój.

- To pierwsze słowa, jakie Lark wypowiedziała po wyjściu z izolatki.

- Muszę wziąć z pracowni wazon, ten, co zrobiłam dla mamy.

Idziesz ze mną? - Keisha zwraca się do Isabel.

- Nie, dzięki.

Isabel starannie unika pracowni plastycznej. Pierwszego dnia w Three Breezes poczuła przerażenie, gdy usłyszała, że naprawdę jest tu pracownia, w której można pleść koszyki, i obiecała sobie, że nigdy nie upadnie tak nisko. Nie chciała mieć stąd żadnej pamiątki.

- To do zobaczenia na ranczu - woła Keisha przez ramię.

- Wiem, jak się czujesz - mówi pocieszająco Kristen. - Ciężko jest, gdy wychodzi ktoś, kogo lubisz. Ja już widziałam to tyle razy, że mam wrażenie, jakbym tu była od zawsze.

*Zupełnie nic o mnie nie wiesz. Gównu mnie wszyscy obchodzie, taka jest prawda. A ty myślisz, że się przyjaźnimy.*

Isabel idzie przed siebie w milczeniu.

- Jeśli cię to pocieszy, to z czasem jest coraz łatwiej.

- Kristen klepie ją po ramieniu. - Coraz łatwiej.

Następnego dnia Kristen podchodzi do Isabel, która czyta i pali na tarasie.

- Cześć - mówi.

Isabel podnosi wzrok.

- O. Cześć.

- Co czytasz? - pyta Kristen, przechylając głowę na bok, żeby zobaczyć okładkę książki.

- „Annę Kareninę”.

Kristen wyraźnie ma ochotę porozmawiać, ale rosyjska powieść to dla niej ślepy zaułek. Isabel wyczuwa to, zamyka zatem książkę i pyta o zabandażowane ramię Kristen.

Kristen odpowiada, że nie wie, dlaczego lubi krwawić, ale odrywa skórki przy paznokciach, aż całe palce ma pokrwawione. Lubi też mieć brudne włosy, bo wtedy może się drapać po głowie aż do krwi. Ma takie miejsce na samym czubku głowy, które nie goi się już od dwóch lat. Za każdym razem, gdy postanawia przestać to robić, zablizniająca się rana zaczyna swędzieć, więc znów ją drapie, zwykle wyrywając sobie przy okazji kilka włosów. To boli tak bardzo, że aż jest przyjemne.

Kristen mówi, że już od wczesnej młodości wiedziała, że to nie jest normalne, a potem potwierdził to jej pierwszy chłopak w liceum. Billy miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, niemal o trzydzieści centymetrów więcej niż Kristen, toteż widział czubek jej głowy i zauważył zakrwawioną ranę przy przedziałku. - „Co ci się stało w głowę?” - zapytał piętnastolatkę z obrzydzeniem w głosie. Kristen szybko przesunęła ręką po gęstych włosach i zasłoniła bolesne miejsce, które chwilę wcześniej rozdrapała do świeżej krwi.

- Powiedziałałam, że komar mnie ugryzł – wyjaśnia Isabel. - Było mi wstyd, gdy to zauważył, więc powiedziałam mu, że drapałam, bo swędziało.

Billy odrzekł tylko: „Au” - i na tym rozmowa się zakończyła. Kristen przesunęła przedziałek w inne miejsce, żeby nie zauważył, że rana się nie goi.

- Czy twoi rodzice go lubili? - pyta Isabel.

- Taaak. Na początku wręcz go uwielbiali - odpowiada Kristen ze znużonym uśmiechem, który bardzo szybko gaśnie. - Dopóki nie odkryli, że sypiamy ze sobą.

TLR

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Myślę, że mamy dzisiaj dużo do omówienia, więc zacznijmy od razu - obwieszcza Larry, zanim jeszcze zdążył zamknąć za sobą drzwi.

- Chciałbym zacząć od tego, co zaszło podczas wczorajszej sesji. Lark? Czy możemy zacząć od ciebie?

Larry obraca puste krzesło pośrodku kręgu przodem do Lark, która porusza się niespokojnie.

- O czym myślałaś wczoraj po południu, zanim zaczęła się sesja?

Lark patrzy na Larry'ego.

- Lark, czy możesz z nami porozmawiać? Powiedz nam, co przeżywałaś wczoraj...

- Ja chciałbym ci powiedzieć, Larry.

To Ben.

- Dobrze, jeśli Lark nie ma nic przeciwko oddaniu ci głosu, to może ty nas wprowadzisz w temat, Ben.

- Larry, ja się bardzo zdenerwowałem tym, że Lark tutaj zapaliła. No bo nie wolno palić wewnątrz budynku. Myślę, Larry, że powinieneś wiedzieć o tym, że Lark tu paliła.

Milczenie.

- Hm. Masz rację, Ben. Nie wolno palić wewnątrz budynku. Zapalek też nie wolno mieć przy sobie. Lark, czy słyszysz, że Benowi przeszkadzało to, że tutaj paliłaś?

Znów milczenie.



- Co ta sytuacja wzbudziła w tobie, Ben?
- Co? - Ben wyraźnie nie rozumie pytania.
- Dlaczego cię to zdenerwowało?
- Bo zasady to zasady, Larry. Jest taka zasada i nie podoba mi się, że Lark ją złamała.

*Ludzie, czy możemy wreszcie przejść do tematu?*

- Ben, znowu masz rację. Lark? Masz ochotę coś dodać? Dlaczego zdecydowałaś się zapalić w tym pomieszczeniu?

Lark wygląda na otepiałą od leków. *Pewnie jest.*

- Co mam ci powiedzieć, Larry? - Wymawia słowa trochę niewyraźnie, ale ton jej głosu jest jednoznacznie konfrontacyjny. - Mam przeprosić czy coś w tym stylu? O to ci chodzi?

- Lark, chcę, żebyś porozmawiała z nami o tym, co wczoraj działo się w twojej głowie. Czy czułaś się czymś zdenerwowana albo zaniepokojona?

Lark wygląda przez okno i chyba zastanawia się nad pytaniem.

- Interesuje mnie, co doprowadziło do twojego wczorajszego załamania. Bo to było załamanie. Lark, kto rozmawiał wczoraj wieczorem z Ritą? Kto to był?

Lark znów zwraca się twarzą do pustego krzesła.

- Nie pamiętam.
- Och, myślę, że pamiętasz. Ale na wszelki wypadek pozwól, że ci pomogę. Mówiłaś o tym, że twój ojciec dotykał cię, kiedy byłaś małą dziewczynką. Pamiętasz? Mówiłaś o lokówce. Kim była ta osoba, która opowiadała o małej Lark?

Milczenie.

- Lark?
  - Donna - mówi Lark cicho.
  - Donna? Kim jest Donna? - pyta Larry, obrzucając wzrokiem całą grupę. - Lark, kim jest Donna?
  - Ona jest po stronie Lark. Czasami próbuje ją ochronić - mówi Lark dziecinnym szeptem. – Ale czasem nią pomiata.
  - Na przykład kiedy?
  - Larry? - To Keisha.
  - Tak, Keisha?
  - Myślę sobie, że może Donna pojawia się wtedy, kiedy Lark nie potrafi się obronić.
  - Ciekawa uwaga. Powiedz mi o tym coś więcej.
  - No na przykład, no może, kiedy Lark przywiązują pasami albo coś w tym rodzaju, jak wtedy z ojcem, Donna pojawia się jak zapaśnik i próbuje być silna za Lark wtedy, gdy Lark nie potrafi być silna za siebie.
  - Dlaczego tak pomyślałaś, Keisha? To bardzo cen- na uwaga.
- Keisha odchyła się do tyłu tak mocno, że jej krzesło zaczyna się niebezpiecznie chybotać na tylnych nogach.
- Nie wiem.
  - Na pewno?
  - Nikt mnie nie będzie przytrzymywał za ramiona przy ziemi, rozumiesz? Nikt. Kiedy wreszcie stąd wyjdę. Nikt już nigdy nie będzie mnie przytrzymywał. O, nie.

*Mnie też nie.*

- Keisha, wiem, że wychodzisz, i za chwilę chciałbym o tym powiedzieć. Ale na razie pozostajemy przy temacie. Dlaczego przeszkadza ci, gdy ktoś cię przytrzymuje za ramiona?

Keisha odwraca się i również patrzy przez okno.

- Bo właśnie tak to robili - mówi. - Prawie nic nie pamiętam, ale moja terapeutka tutaj powiedziała mi, że tak było napisane w raporcie policyjnym. Że trzymali mnie za ramiona.

- Wtedy, kiedy cię gwałcili?

- Tak.

- Czy pamiętasz cokolwiek z tamtego popołudnia?

- Nie - mruczy dziewczyna, znów spoglądając na grupę. - I Bogu dzięki, wiesz?

Lark wciąż wpatruje się w puste krzesło.

- Lark? Co myślisz o tym, co właśnie powiedziała Keisha?

- Też bym chciała nie pamiętać.

Milczenie.

- Mów dalej - łagodnie zachęca Larry.

- To wszystko. Chciałabym nie pamiętać.

- Czy często o tym myślisz?

- Nie.

- Nie?

- Nie.

- A czy masz wrażenie, że gdy o tym myślisz, to ktoś inny przychodzi i walczy w twoim imieniu, i dlatego te wspomnienia nie mogą cię zranić? Tak jak Donna? Może ona pojawia się wtedy, kiedy zaczy-

nasz o tym myśleć, i bierze na siebie to co najgorsze? Lark, czy wiesz, jaki dzień był wczoraj?

- Wczoraj?

- Wczoraj był Dzień Ojca, Lark.

Isabel spogląda na Lark, która kiwa głową.

- Wiem.

- Może dlatego był to taki trudny dzień dla ciebie. Może wytrąciła cię z równowagi myśl, że wczoraj wszyscy myśleliśmy o naszych ojcach, oddawaliśmy im hołd. Wiem, że to nie mogło być łatwe dla ciebie.

Znów milczenie.

- Trzeba bardzo dużo wysiłku, aby kobieta - ktokolwiek zresztą - przewyciężył uraz powstały z powodu nadużycia siły przez mężczyznę - mówi Larry. – Takie przeżycia zabarwiają wszystko, czym się stajemy i co napotyamy. Jest niewiarygodnie trudno wyjść z tego i znowu komuś zaufać. A nawet wtedy zaufanie nie jest pełne. Powstają wzorce, które powtarzamy, bo są znajome. W twoim wypadku, Lark, uraz zaczął się od własnego ojca i od tamtej pory - popraw mnie, jeśli się mylę - tworzyłaś podobnie destrukcyjne związki.

- Co to jest? - Katherine wskazuje trójkątną grzanką na ślad na nodze Isabel.

- Co? Nic. Nie wiem. - Isabel lekceważąco wzrusza ramionami.

- To wielka szrama - stwierdza matka, przeżuwając grzankę. - Naprawdę nie wiesz, skąd się wzięła?

- Maa-mo - jęknęła Isabel, wiedząc, że nie będzie zbyt trudno odwrócić uwagę matki od tego tematu, jako że rodzice przywykli już do

jej gwałtownych zmian nastroju związanych z wiekiem dojrzewania. Gdy zaczynała dzielić słowa na sylaby, szybko się wycofywali i nie naciskali za mocno. - Przecież mówię, że musiałam się gdzieś uderzyć... nie pamiętam. Po co zaraz takie śledztwo?

Siniak wyglądał brzydko, ale jej zdaniem sprawiał gorsze wrażenie, niż był naprawdę. Rozcięta skóra i czarnogranatowy strup dodatkowo powiększały efekt.

Isabel i David spotykali się od sześciu miesięcy - od pierwszego tygodnia pierwszej klasy liceum. Któregoś wieczoru, pomiędzy pocałunkami, David zaczął nalegać na seks. Delikatna odmowa Isabel doprowadziła do kłótni. David z frustracją uderzył pięścią w siedzenie samochodu, a potem wysiadł, zatraskując za sobą drzwi. Nie trafił jednak w siedzenie, lecz w nogę Isabel. Później, gdy próbowała odtworzyć tę scenę w wyobraźni, nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, by trafił w jej nogę zamiast w siedzenie. W żaden sposób nie wydawało się to prawdopodobne. David jednak twierdził, że był to chybiony prawy sierpowy. Przełknęła jego wyjaśnienie i nie wracała więcej do tego tematu. Siniec łatwo było ukryć, bo szkolna spódnica zasłaniała kolana, a matka zauważyła go tylko dlatego, że tego dnia Isabel miała na sobie strój do tenisa.

Związek z Davidem przypominał lekki wiosenny deszczyk. Pierwsze pojedyncze krople wydają się chłodne, nawet orzeźwiające. Isabel nigdy jeszcze nie знаła mężczyzny, który chciałby i potrzebowałby wiedzieć o niej wszystko, i pławiła się w jego uwadze. Gdy ojciec nie przyszedł na szkolne przedstawienie, nie miało to już znaczenia, bo David tam był. Gdy ojciec odwołał umówioną kolację, David zawsze

znajdował się pod ręką, gotów ją zabrać na pizzę. Ale ten lekki deszczyk po jakimś czasie przemoczył ją do szpiku kości.

David opowiedział Isabel, że jego ojciec podczas miesiąca miodowego obdarzył matkę sześcioma szwami. Przeraziło ją to, ale jednocześnie czuła dziwne przyciąganie do tego chłopaka z problemami, który musiał przedwcześnie dorosnąć. Uwielbiała czuć się potrzebna, a od jego nienasyconej fascynacji równowagą wewnętrzną i stabilnością, jaką Isabel reprezentowała w jego oczach, szumiało jej w głowie. Obydwoje uzależnili się od siebie. Smutne opowieści Davida o rodzinie, problemach, jakie musiał przezwyciężyć, i o cierpieniu, jakie wskutek tego przechodził, poruszały Isabel bardzo głęboko. W jego oczach jej życie rodzinne było sielanką; wisiało przed jego zdesperowanym spojrzeniem jak marchewka przed głodnym królikiem.

Ale miłość tylko rozniecała płomień jego gniewu. Z czasem zmęczyło go przyciskanie głodnej twarzy do szyby i gniew przeszedł w przepelnioną goryczą niechęć. Isabel zaczęła odczuwać, że jego nienawiść kieruje się w jej stronę. Ona sama symbolizowała wszystko, czego jemu odmówiono.

Gdy uderzył ją po raz pierwszy, była wstrząśnięta, on jednak przeprosił i wkrótce o tym zapomniała. Następnym razem dostała w twarz z rozmachem. Ten cios był już znacznie silniejszy. A potem, pośród przeprosin, zabrzmiała nuta subtelnego obwiniania: Tak mi przykro, bardzo cię przepraszam, kocham cię, ogromnie mi przykro, ale naprawdę wykręciłaś mi nadgarstek, gdy się mocowaliśmy, i to bolało jak diabli. Ale bardzo mi przykro. Proszę, wybacz mi.

Było to bardzo sprytne: powoli, lecz skutecznie David wpajał Isabel przekonanie, że zasługuje na to, by ją bić. Odcięła się od przyjaciół i

pozwoliła, by związek z Davidem pochłoniął ją bez reszty. Siniaki stały się częścią jej tożsamości; zaakceptowała to z pewnym trudem.

- Keisha, wiem, że już pakujesz się do wyjazdu i chciałbym ci powiedzieć, że wszyscy w tej grupie wspieramy cię i życzymy ci jak najlepiej. Czy ktoś chciałby dodać kilka słów pożegnania dla Keishy?

- Do widzenia, Keisha - mówi posłusznie Ben.

- Tak, powodzenia - dodaje Regina.

- Wszyscy trzymamy za ciebie kciuki. - To Kristen.

Isabel milczy, ale gdy sesja dobiega końca, przesuwa się na krzesło obok Keishy.

- Żałuję, że już odchodzisz - mówi.

TLR

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- **O** czym myślisz, Isabel?

Isabel podnosi głowę.

- **O** niczym.

- **O** niczym?

- Tak. **O** niczym.

- To znaczy, że masz pustkę w umyśle? - podpowiada doktor Seidler.

- Nie - odpowiada Isabel z lekkim zniecierpliwieniem, jakby musiała wyjaśniać coś dziecku. – Myślę o niczym. Nie mam nic. W moim życiu nic nie ma, nic żywego. Jediną żywą rzeczą, jaka wciąż należała do mnie, był kwiatek w doniczce, ale kiedy wróciłam z ostatniego wyjazdu, był uschnięty. Nieżywy. To doskonała metafora, jeśli się nad tym zastanowić.

Łzy, które do tej pory balansowały na jej rzęsach, teraz przełamują tę zaporę i spływają po rozgrzanych policzkach.

- Isabel, czy myślisz o samobójstwie? – Lekarka wygląda na szczerze zatroskaną.

- Tak. Jeśli musi pani wiedzieć, to tak. Proszę bardzo. Powiedziałam to głośno. Wiem, że to oznacza, że nigdy stąd nie wyjdę, ale co mi tam. Tak, myślę o tym. Mogłabym pójść drogą do końca i wyjść na jezdnię tuż przed nadjeżdżającym samochodem.

- Wiesz przecież, że są i inne możliwości. – Ton głosu doktor Seidler jest bardzo przejęty. - Masz wiele powodów, żeby żyć...



- Tylko niech się pani nie zaczyna rozwodzić nad tym, jak wielu ludzi odczułoby bolesny brak, gdybym odeszła z tego świata - płacze Isabel. Lekarka nie przerywa jej. - To byłaby ulga.

- Ulga dla kogo?

- Przede wszystkim dla mnie. Nie musiałabym się codziennie zastanawiać, jak tego dokonać, żeby wstać z łóżka i wywlec się w ten nic nieznaczący świat. Nie musiałabym walczyć z tym milczącym krzykiem – zna pani ten obraz? Chyba nawet nazywa się „Krzyk” - z tym człowiekiem, który przykłada obie dłonie do przerażonej twarzy? Ludzie patrzą na mnie i widzą szczęśliwą twarz, ale w środku rozlega się krzyk. Tylko że nikt go nie słyszy.

Doktor Seidler spokojnie czeka na to, co Isabel powie dalej, a gdy ta milknie, pyta:

- Sądzisz, że nikt nie byłby smutny, gdybyś się zabiła?

- A kto? - pyta Isabel prowokacyjnie. - Moi rodzice? Już od lat nie jesteśmy ze sobą blisko.

- Katherine, powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła, dobrze? - Alex upił łyk cappuccino. - Właśnie się zdrzemnęła i nie chciałbym jej budzić, bo ostatnio ciągle czuła się zmęczona.

Kolejny łyk.

- Wiem, wiem - odpowiedział, starając się nadać głosowi takie brzmienie, jakby się uśmiechał - wiem, że ona przeważnie nie oddzwania. Ale przypilnuję, żeby zadzwoniła do ciebie w ten weekend, dobrze?

Łyk.

- Mnie też było miło z tobą porozmawiać. Dobrze, na pewno. Dobrze, do widzenia!

- Z kim rozmawiałaś? - Isabel wychodzi z sypialni, przeciera oczy i ziewa.

- Och, z nikim. Z telemarketerem. Jak ci się spało?

- Zasnęłam jak kamień. Która godzina? – Isabel obraca rękę Alexa w przegubie, żeby zobaczyć tarczę zegarka. - O, cholera! Dlaczego nie obudziłeś mnie wcześniej? Mam dzisiaj jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia!

Alex pogładził ją po włosach.

- Potrzebowałam snu, Isabel.

Usiadła na kanapie obok męża i zwinęła się w kłębek.

- Tak dobrze się mną opiekujesz - wymruczała.

- Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła.

- Nigdy nie będziesz miała okazji tego sprawdzić - rzekł bardzo poważnie. - Nigdy.

- A do tego moi rodzice mają jeszcze dwóch synów. Moi bracia są zdrowi, szczęśliwi i odnoszą sukcesy w życiu. Nie. Przez jakiś czas byłoby im smutno, ale szybko by się otrząsnęli.

- Isabel, przemawia przez ciebie depresja - odpowiada lekarka. - Wiem, że w tej chwili trudno ci nabrać dystansu do tego, co czujesz, ale gdybyś się zabiła, wielu ludzi odebrałoby to bardzo, bardzo boleśnie.

Milczenie.

- Ja po prostu chcę odejść. - Isabel jest wyczerpana. - Niech mi pani w tym nie przeszkadza.

-Dobrze wiesz, że nie mogę się na to zgodzić.

*Dlaczego? Dlaczego nie możesz pozwolić mi odejść?*

Następnego ranka Isabel nie jest w stanie zwlec się z łóżka. Leży na kołdrze i wpatruje się w pokrywające sufit płytki wyciszające, skupiając się na dziurkach wybitych w każdym kwadracie.

*Operator maszyny, która wybija te dziurki w każdym z tych idealnie równych kwadratów, ma wyjątkowo ogłupiającą pracę. Jak tacy ludzie mogą wytrzymać sami ze sobą?*

Przez embrionalny szum wydobywający się z odtwarzacza przediera się stukanie do drzwi.

-Tak?

Bezimienna pielęgniarka wtyka głowę do pokoju.

-Isabel, pora na leki.

- Dobrze, dobrze - wzdycha Isabel, nie ruszając się z łóżka. - Zaraz przyjdę.

*Biegamy w kółko jak mróweczki: „Isabel, musisz wziąć leki”; „Dzieci, ustawcie się parami”; „Czas już wypełnić deklarację podatkową”; „Na miejscu czy na wynos? ”. Każdy ma jakąś swoją działeczkę w pracy, potem idzie do domu, potem je, potem śpi, potem wstaje i następnego dnia znów zaczyna wszystko od początku. Po co to? Zajmujemy tylko miejsce. Dlaczego ludzie chcą się rozmnażać? Żeby sprowadzić więcej dzieci na ten i tak już nadmiernie zatłoczony świat, żeby te dzieci zajmowały miejsce swoją bezsensowną pracą, a potem szły do domu i następnego dnia znów powtarzały wszystko od początku? Tak samo jak te płytki na suficie.*

Pukanie powtarza się.

- Isabel?

To znowu ta pielęgniarka. Gdy widzi, że Isabel nie ruszyła się z miejsca, wydaje się zirytowana.

- Isabel, musisz przyjść po leki. Potem będziesz mogła wrócić jeszcze na chwilę do łóżka, jeśli zechcesz, ale teraz przyjdź i weź leki - mówi z naciskiem.

*Ciekawa jestem, co ona myśli o swojej pracy. Co robi, kiedy stąd wychodzi? Czy opowiada o nas swojemu mężowi?*

Zwleka się z łóżka i nakłada szorty na bokserki.

- Dobrze, dobrze - mruczy pod nieokreślonym adresem, idąc korytarem w stronę okienka, w którym wydawane są lekarstwa.

Połyka odmierzone substancje, które mają określić naturę do chwili przyjęcia następnej dawki – wszystkie mają złowróżbne nazwy, pełne spółgłosek z końca alfabetu, takie jak serzone, zyprexa, trazodone – wlecze się z powrotem do swojego pokoju i znów wpełza do łóżka, tym razem przyjmując embrionalną pozycję.

*Czy nikt więcej nie zauważa, że to wszystko jest bez sensu? Pochłonięci jesteśmy obowiązkami, które nie mają żadnego znaczenia, bo jeden ruch miotły może nas wszystkich zmieść w otchłań. Jestem w szpitalu dla wariatów i próbuję wydobrzeć po to, żebym mogła wrócić do świata i biegać z pracy do pracy, zabijając czas aż do chwili, kiedy umrę z przyczyny innej niż samobójstwo. Biorę lekarstwa, które mają mi pomóc poradzić sobie z pustką w moim życiu. Miliony ludzi muszą brać pigułki, które mają odwrócić naszą uwagę od nieznośnej nudy tego wszystkiego. Biegamy z miejsca na miejsce jak mrówki, a w końcu i tak wszyscy się podusimy.*

- Isabel. - Głos po drugiej stronie drzwi przypomina głos Kristen. -  
Zbieramy się na poranne spotkanie. Idziesz?

Isabel patrzy na zegarek. Minęła godzina.

TLR

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

*Kolejna oznaka porażki.*

Skończyły jej się czyste ubrania. Właściwie skończyły się już dwa dni temu, ale Isabel wolała odwracać bieliznę na lewą stronę niż przyznać przed sobą, że jest już w szpitalu tak długo, że dwukrotnie przebyła pełny cykl ubrań.

Pochyla się i zbiera wszystkie brudne rzeczy na stos, a potem z pełnym naręczem idzie korytarzem do wspólnej pralni. Drzwi są zamknięte. Opiera stertę ubrań na biodrze, naciska klamkę i ze zdumieniem zauważa w środku Sukanyę.

Sukanya stoi wciśnięta między obracającą się pralkę a suszarkę. W rękę trzyma otwartą książkę i mruczy pod nosem coś, co przypomina modlitwę. Przed nią, na suszarce, stoi pojedyncza zapalona świeca.

Nie odrywając wzroku od szesnastolatki, Isabel wycofuje się powoli za drzwi. Sukanya podnosi głowę, zauważa ją i znów opuszcza spojrzenie, ani na chwilę nie przerywając modlitwy. Isabel zamyka drzwi, myśląc, jak miło jest dla odmiany usłyszeć z ust Sukanyi jakieś inne słowa niż tylko: „Wolę nie mówić”.

Wrzuca brudne rzeczy do pokoju i sięga po paczkę papierosów.

- Kristen? Taras? - pyta zza drzwi pokoju Kristen, ale milknie, gdy widzi ją pochyloną nad papierami zaścielającymi wygniecione łóżko.

- Och, przepraszam - jąka.

Kristen na ułamek sekundy podnosi wzrok, a potem wraca do papierów, tak zaabsorbowana, jakby właśnie pisała jakiś bardzo ważny egzamin.

- Co to takiego? Co ty robisz?

- Aplikacje! Nie widzisz? Próbuję wypełniać druki aplikacji. Później pogadamy... - Zawiesza głos i przewraca kartkę na drugą stronę.

Isabel dostrzega logo, którego nie sposób pomylić z żadnym innym. Wielkie M złożone z dwóch złocistych łuków. McDonald's. Obok Kristen leży jeszcze cały gruby plik podobnych, chyba ze sto sztuk.

- Co się stało? Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiada Kristen nieobecny tonem, nie podnosząc głowy. - Uwielbiam wypełniać formularze. Właściwie wszystkie, ale te z McDonalda są najlepsze. Dlatego że tutaj musisz wpisać każdą literę w osobny kwadracik i trzeba się skupić. W innych formularzach jest tylko wolna linijka i to nie jest takie pasjonujące. Uwielbiam te formularze. - Kristen pochyła się nad kolejnym drukiem i litera po literze starannie wpisuje swoje nazwisko w odpowiednie kwadraciki.

- Często to robisz?

- Tak. Mam setki takich samych druków. Wszędzie je ze sobą zabieram. Chcesz sobie jeden wypełnić? - pyta z nadzieją, jakby chodziło o krzyżówkę z „New York Timesa”.

*Kristen, jakie my jesteśmy do siebie podobne.*

- Chyba... nie, dziękuję - wycofuje się Isabel. - W takim razie już sobie pójdę. Gdybyś miała ochotę wyjść, to będę na zewnątrz.

Ale Kristen chyba jej nie słyszy.

Isabel wychodzi na taras dla palaczy i siada samotnie w fotelu pomiędzy dwiema doniczkami z zasuszonym na śmierć geranium.

W pół godziny później Kristen również się tam pojawia. Na widok Isabel na jej twarzy odbija się ulga.

- Tu jesteś!

- Hej - mówi Isabel ostrożnie.

Patrzy, jak tamta zapala papierosa przy ścianie, i zauważa, że ręce mocno jej drżą.

- Cieszę się, że po mnie przyszedłaś - mówi Kristen, siadając na sąsiednim krześle. - Czasami wpadam w obsesję na punkcie tych formularzy...

*Bez żartów.*

- ...ale tylko to mnie uspokaja, gdy zaczynam myśleć o matce. Po tym, jak parę dni temu opowiedziałam ci o Billym, rozmawiałam trochę z moim lekarzem i chyba to mnie tak nakręciło.

Isabel czuje, że Kristen przygląda jej się uważnie i wie, że tamta ma ochotę na zwierzenia, ale nie robi nic, żeby ją zachęcić.

To jednak nie powstrzymuje Kristen.

- Może to zabrzmiało banalnie, ale czuję, że ty mnie rozumiesz - mówi. - Rozumiesz mnie.

- Ja tylko zapytałam, czy chcesz wyjść na papierosa.

*Nie rób tego, Kristen. Nie wciągaj mnie w swoje osobiste piekło.*



- Nie tylko o to chodzi - upiera się Kristen. – Nikt inny mnie nie rozumie. Przypominasz mi taką dziewczynę, którą znałam. Laurel. Tak miała na imię.

Kristen powiedziała tylko jednej osobie o tym, że przespała się ze swoim chłopakiem, Billym. Zawsze szukała u Laurel wsparcia i rady. Laurel przekazała jej to wsparcie podczas przerwy, w formie dziesięciostronicowego listu.

Ale pewnego wieczoru, gdy Kristen spędzała czas z Billym, jej matka, Nora, weszła do jej pokoju, by posprzątać. Po powrocie Kristen znalazła matkę w sypialni rodziców. Siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, a obok niej stała popielniczka pełna niedopałków. Kristen poczuła niepokój.

- Co się dzieje, mamó? Czy coś się stało?

Jej matka paliła, ale nigdy tak dużo. Kristen nie potrafiła oderwać wzroku od popielniczki. Kilka do połowy wypalonych papierosów nie zostało dokładnie zgaszonych i z popielniczki unosiły się w górę spirale dymu. Poczula ucisk w żołądku i wiedziała, że musiało się stać coś okropnego.

Dopiero wtedy zauważyła leżący przed matką list. Momentalnie zaschło jej w ustach.

- Powiedz mi, że to nie jest prawda. – Matka wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana. – Powiedz mi, że nie przespałaś się z Billym. Powiedz mi to.

- Co? - zapytała Kristen, grając na zwłokę. - O czym ty mówisz, mamó?

- O tym! - Nora pochwyciła list i pomachała nim gniewnie. - Mówię o tym liście! Powiedz mi, że chciałaś tylko popisać się przed koleżanką, przed tą całą Laurel! Że wymyśliłaś to wszystko, żeby zaimponować starszej przyjaciółce. Powiedz mi to, Kristen!

Kristen wiedziała, że może albo powiedzieć matce to, co ta wyraźnie chciała usłyszeć, i wrócić do stanu błogosławionego spokoju, albo też wyznać prawdę. Wzięła głęboki oddech i spróbowała przełknąć ślinę, ale usta miała suche jak opłatek komunii świętej, tak bardzo, że język przykleił jej się do podniebienia i musiała odetchnąć jeszcze raz.

-To prawda - szepnęła, nie patrząc matce w oczy.

Nora wydobyła z siebie przeciągły, gardłowy jęk, który wydawał się pochodzić z głębi trzewi, i zgięła się wzdłuż. Kristen nigdy jeszcze nie widziała jej w takim stanie. Na przemian robiło jej się niedobrze i umierała z lęku.

- Mamo, bardzo mi przykro... - Tylko tyle była w stanie z siebie wydusić.

- Jak długo? - zapytała matka zmienionym głosem.

- Co?

- Od jak dawna z nim sypiasz? - To ostatnie słowo brzmiało jak trucizna.

- Hm. Zaraz. - Prawda znów zwyciężyła. - Od trzech miesięcy. Jakos tak. Nie pamiętam dokładnie. Może krócej. Chyba krócej. Na pewno krócej. Dwa miesiące. Nie wiem.

Matka kołysała się na łóżku w przód i w tył, jednocześnie próbując zapalić następnego papierosa. Była tak wściekła, że ręce jej się trzęsły i nie mogła trafić w niego zapalniczką.

Sięgnęła po telefon.

- Mamo, do kogo dzwonisz? - zapytała Kristen w popłochu.

Nie miała pojęcia, czego ma się teraz spodziewać.

- Bob? - Matka zadzwoniła do ojca, który miał spędzić tę noc w firmowym mieszkaniu na Manhattanie, bo umówiony był na spotkanie wczesnym rankiem.

- Wracaj natychmiast do domu - powiedziała Nora do telefonu.

- Mamo, co ty wyprawiasz? Tato pomyśli, że ktoś umarł! Po co ma wracać teraz do domu? Jest dziesiąta wieczorem! Zgłupieje ze strachu!

- Trudno. - Nora siedziała teraz zupełnie nieruchomo i patrzyła córce prosto w oczy.

Kristen poczuła, że robi jej się niedobrze. We wzroku matki było coś przerażającego. Nagle Nora zsunęła się z łóżka, wypadła z pokoju, zatrzymała się przed lustrem w łazience i zaczęła krzyczeć. Kristen, która bez słowa poszła za nią, patrzyła na to z przerażeniem. Nie był to przenikliwy pisk, lecz zawodzenie przepełnione taką frustracją, żalem i złością, że Kristen podeszła bliżej i spróbowała ją objąć.

- Odejdź ode mnie! - wrzasnęła Nora, wypychając córkę z łazienki.

- Mdli mnie na twój widok! Nie dotykaj mnie!

- Mamo?! - zawołała Kristen zza drzwi. - Mamo, bardzo cię przepraszam! Tak mi przykro! Mamo, proszę. Proszę cię, wyjdź stamtąd! Wszystko ci wytłumaczę...

Drzwi otworzyły się z rozmachem i Nora stanęła tuż przed nią.

- Już ci powiedziałam. Wynoś się stąd! Nie chcę cię widzieć ani słyszeć. Wynoś się!

Kristen ze ściśniętym żołądkiem przykucnęła za znów zamkniętymi drzwiami łazienki i wsłuchując się w szloch matki, czekała. Po jakiejś

półgodzinie usłyszała zgrzyt klucza we frontowych drzwiach i w dwie sekundy później na schody wbiegł zaniepokojony ojciec. Nawet nie zdjął płaszcza.

- Co się tu właściwie stało?! - zawołał. - Kristen, co tu się dzieje?

Rzuciła się w jego ramiona i dopiero teraz wybuchnęła płaczem.

- Tatusiu, tak mi przykro - szlochała. - Proszę cię, pamiętaj o tym.

Cokolwiek się zdarzy... ja cię bardzo przepraszam!

Ojciec omal nie dostał ataku serca.

- Gdzie jest twoja matka? Nora? Nora!

Drzwi łazienki otworzyły się i Nora stanęła przed nim. W zaciśniętych rękach trzymała wielkie kłęby włosów.

- O mój Boże... - wykrztusił ojciec. - Co się stało? Czy ktoś może mi wreszcie powiedzieć, co się tu, do diabła, dzieje?

- Ja ci powiem, co się stało - odrzekła matka. Wyminęła ich i zeszła na dół do salonu. Obydwoje poszli za nią jak lunatycy. - Twoja córka pieprzyła się z Billym. - Teraz Nora kołysała się pośrodku salonu.

Kristen zatrzymała się w progu.

- I to wszystko? - zapytał ojciec z niedowierzaniem.

- Tatusiu, tak mi przykro. - Kristen podbiegła do niego i uklękła u jego stóp. - To moja wina. Tak mi przykro!

Pociągnął ją na kanapę i uścisnął. Zanim ją puścił, wyszeptał jej do ucha:

- Jakoś przez to przejdziemy.

Spojrzała na matkę i wykrztusiła przez łzy:

- Mamo, proszę, wybacz mi. Tak mi przykro!

- Przykro ci - powtórzyła matka, przedrzeźniając ją, powtórzyła te słowa jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem akcentując inne słowo: *Przykro ci. Przykro ci. Tobie jest przykro!*

- Kochanie - powiedział łagodnie ojciec do matki. Kristen jeszcze nigdy nie słyszała, by zwracał się do niej takim tonem. Brzmiało to tak, jakby próbował uspokoić dziecko. - Kochanie, chodźmy na chwilę na górę i porozmawiajmy, dobrze? Chodźmy do naszej sypialni.

Ale zanim zdążył wyciągnąć rękę i podnieść ją z podłogi, Nora znów wydała przeciągły jęk, taki sam jak przedtem, gdy Kristen powiedziała jej prawdę. Ten jęk był najstraszniejszy ze wszystkiego, przepełniony tak wielkim bólem i cierpieniem, że Kristen przysięgła sobie w duchu, że już nigdy nie zrobi nic, co mogłoby zranić albo rozczarować jej matkę.

I przez wiele lat udawało jej się dotrzymać obietnicy.

Isabel odwraca wzrok od Kristen i patrzy na krętą drogę.

*Jeden krok.*

*To wystarczy. Jeden krok i jedna ciężarówka.*

Zatrzymuje wzrok na prześwicie między dwiema kamiennymi kolumnami.

*Jeden krok.*

- Wtedy spróbowałam po raz pierwszy – mówi Kristen, zapalając następnego papierosa.

- Czego spróbowałaś? - pyta Isabel.

- Samobójstwa.

Przez cały tydzień po odkryciu przez matkę jej seksualnego sekretu Kristen pozostawała w areszcie domowym. Pierwszą noc po tym, co zaczęła nazywać w myślach Incydentem, Nora spędziła na podłodze w jej pokoju i wymogła wtedy na córce, by ta opowiedziała jej każdy szczegół swego pierwszego zbliżenia.

Kristen starała się spełnić to życzenie najlepiej jak potrafiła, choć paraliżowała ją myśl o opowiadaniu o tak osobistym, i najwyraźniej potwornym, uczynku własnej zagniewanej matce. Powiedziała całą prawdę: że ona i Billy wspólnie zdecydowali, że będą się kochać. Że Billy w żaden sposób do niczego jej nie zmuszał. Że użył prezerwatywy. Czuła się upokorzona, zdając w ten sposób relację z czegoś, co jej wydawało się pięknym doświadczeniem, a w matce wzbudzało odrazę. Nie miała pojęcia, co było takiego okropnego w jej uczynku, ale zaczęła postrzegać seks jako szokujący, brudny, upokarzający akt.

Gdy matka zapytała, gdzie się znajdowali w chwili, gdy straciła dziewictwo, Kristen skłamała. Miała zakaz odwiedzania Billy'ego w domu pod nieobecność jego rodziców (musiała również obiecać, że nigdy nie zostaną sami w jego pokoju), powiedziała więc matce, że stało się to w jego samochodzie.

W kilka dni później, wieczorem, Kristen zaszyła się w swoim pokoju, gdy rodzice zajęci byli czymś innym, i zadzwoniła do Billy'ego. Szepcząc do słuchawki, przedstawiła mu sytuację i przyznała, że skłamała co do miejsca, gdzie straciła dziewictwo („Chciałam uzgodnić z tobą wersję, na wypadek, gdyby ciebie też zapytała...”). Naraz usłyszała za drzwiami głucho uderzenie.

Ucisk w żołądku, który utrzymywał się przez cały czas, stał się jeszcze mocniejszy i Kristen błyskawicznie odłożyła słuchawkę. Otworzyła drzwi i zobaczyła matkę leżącą tuż za progiem, bezwładną jak zwinięty tłumok.

- Mamo? - zawołała, czując, że zbiera jej się na mdłości. - Mamo?

Matka podniosła się ciężko i powlokła do swojej sypialni. Kristen szła tuż za nią. Nora stanęła przed lustrem w łazience i znów zaczęła wyrywać sobie włosy całymi garściami. Kristen pochwyciła ją za nadgarstki.

- Mamo, przestań!

- Cicho! - prychnęła matka jak rozzłoszczona kotka.

- Dobrze, dobrze. - Kristen nie była pewna, czy ma dość sił, by znieść gwałtowność matki.

- Idź stąd! - prychnęła Nora i wypchnęła ją z łazienki.

Przez chwilę patrzyła na drewniane drzwi, a potem odwróciła się na pięcie i poszła do własnej łazienki. Tam starannie zamknęła drzwi na zasuwkę, otworzyła szafkę z lekami i obrzuciła wzrokiem półki. Na jednej z nich stała butelka tylenolu. Wiedziała jednak, że apteczka w łazience rodziców oferuje znacznie więcej możliwości. Możliwości, które mogły ją uwolnić od piekła poczucia winy, w które trafiła z powodu swego obrzydliwego uczynku.

Była pochwycona w kleszcze między nadzieją a strachem, między kuszącą możliwością ucieczki a niebezpieczeństwem popadnięcia w jeszcze większe tarapaty.

Postanowiła poczekać, aż matka wyjdzie z łazienki. Wróciła do swojego pokoju i nasłuchiwała dźwięku otwierających się drzwi do łazienki matki. Chciała położyć kres cierpieniu, które wirowało w jej du-

szy. Ta decyzja sprawiła, że poczuła się spokojniejsza, tak spokojna, jak nie była już od wielu dni.

Gdy wreszcie usłyszała, że matka wychodzi z łazienki, z wysiłkiem opanowała mdłości i uchyliła drzwi na korytarz. Cisza. Matki nigdzie nie było widać.

-Mamo?

Ostrożnie zeszła na dół do kuchni. Matka zajęta była zeskrobywaniem folii aluminiowej z pudełka z mrożonym zestawem obiadowym.

-Mamo? - szepnęła Kristen.

Nora nawet nie drgnęła ani nie podniosła na nią wzroku.

- Mamo? - szepnęła Kristen po raz drugi, tym razem głośniej.

Znów żadnej reakcji.

Wyszła z kuchni i skierowała się prosto na górę, do łazienki rodziców. Tam sięgnęła po butelkę lekarstwa na receptę, na którym widniało nazwisko jej ojca. Od czasu do czasu miewał silne bóle głowy, była więc pewna, że jest to środek przeciwbólowy. Plastikowa butelka w jej dłoni wydawała się ogromna, a jej pomarańczowy kolor działał na Kristen hipnotyzująco.

Puściła wodę z kranu i zaczęła, aż stanie się naprawdę zimna.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Musimy porozmawiać o lekach, które bierzesz.

- A o co chodzi?

Doktor Seidler wygląda na zatroskaną.

- Wygląda na to, że nie działają. Nadal walczysz z ciężką depresją.

*O Boże.*

Przez większą część dorosłego życia Isabel przerzucała się z jednych pigulek na inne i dobrze wie, że zmiana lekarstwa jest traumatycznym doświadczeniem.

- Ale - jęka - ale nie myślę już o samobójstwie tak często, jak na początku, kiedy tu trafiłam. Rozmawialiśmy już o tym, prawda? Chyba nie ma potrzeby niczego zmieniać.

*Efekty uboczne. Jezu, trzęsące się ręce. Kłopoty żołądkowe. A do tego, dopóki będę się „przystosowywać do nowego lekarstwa”, nie wypuszczą mnie z budynku.*

- Widzę, że bardzo się boisz zmiany, ale ona wcale nie musi być taka okropna. Opracowaliśmy ostatnio nowe sposoby wykorzystania starych metod, które pozwalają znacznie zredukować efekty uboczne.

Chciałabym porozmawiać z tobą o czymś, co moim zdaniem w twoim wypadku mogłoby okazać się bardzo skuteczne.

Isabel wiedziała, co usłyszy za chwilę. Jej terapeutka z Manhattanu uprzedzała ją, że szpital Three Breezes znany jest ze skutecznego leczenia depresji samobójczej mieszanką antydepresantów. Pacjenci nazywają to „koktajlem”. Skład jest opracowywany indywidualnie dla każdego pacjenta, tak by odpowiadał różnym warunkom fizycznym i

różnym potrzebom. Zasadniczo jest to mieszanka dwóch lub trzech najsilniejszych dostępnych na rynku antydepresantów, która ma wzmocnić ich działanie.

- Słyszałam o koktajlu - mówi Isabel, chcąc wyprzedzić lekarkę.

- Ach, koktajl - śmieje się doktor Seidler ze skrępowaniem i odchrząkuje. - Nie, prawdę mówiąc, nie o tym myślałam. W twoim wypadku braliśmy pod uwagę coś innego. Myśleliśmy o czymś, co nazywa się EW... terapia elektrowstrząsami. Wiem, że to brzmi jak ze średniowiecza - dodaje szybko, dostrzegając wyraz zgrozy na twarzy Isabel. - Ale to nie wygląda tak, jak myślisz. W wielu przypadkach jest to najskuteczniejszy sposób na zwalczenie poważnej depresji. Nie ma wcale albo prawie wcale skutków ubocznych i tak się składa, że specjalizujemy się tu w tego typu zabiegach. Widzę jednak po wyrazie twojej twarzy, że zastanawiasz się nad czymś. Może powiesz mi, co ci chodzi po głowie, Isabel?

- Frances Farmer. - Tylko tyle była w stanie powiedzieć.

Przed oczami miała Jessicę Lange w roli dawnej gwiazdy Hollywood.

- Hm, hm - odchrząknęła lekarka. - Ten film wyrządził większą szkodę terapii EW niż cokolwiek innego. Ale rozumiem, czego się obawiasz. Elektrowstrząsy sprawiają szokujące wrażenie na osobach, które nie są bliżej zaznajomione z tematem. To masz na myśli?

*U niej chyba skończyło się lobotomią, czołową lobotomią. Frances Farmer. To ją wykończyło. Chyba to była lobotomią?*

- Och Boże. - Dopiero teraz do Isabel zaczyna docierać treść słów lekarki. - O Boże, naprawdę uważa pani, że wymagam terapii elektrowstrząsami?

Zaczyna oddychać coraz głośniej.

- Chyba zaraz zemdleję - mówi i osuwa się niżej na fotelu.

- Dobrze. W porządku. Nie musimy dzisiaj więcej o tym rozmawiać. - Lekarka wydaje się bardzo zaniepokojona. - Nie przejmuj się tak. Przepraszam, że cię zdenerwowałam, Isabel. Nie miałam zamiaru...

- Czy w ogóle zdarza się, że ktoś się na to zgadza? Na te zabiegi EW?- pyta Isabel z oburzeniem. - To znaczy, czy są pacjenci, którzy mówią: „No jasne! Proszę mi przytknąć elektrody do skroni i puścić przez nie prąd! Super!".

- Słyszę, że jesteś zdenerwowana.

Isabel zaczyna płakać.

*Uspokój się. Powstrzymaj się, przynajmniej dopóki stąd nie wyjdiesz. Nie płacz. Nie płacz.*

- Isabel? Wiesz chyba, że możesz tutaj płakać. Nie musisz się powstrzymywać.

- Idę stąd - odpowiada Isabel ostrym tonem. - Chcę wziąć prysznic i zapomnieć, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce.

Doktor Seidler spogląda na zegarek, zauważa, że do zakończenia sesji pozostało jeszcze piętnaście minut, zastanawia się przez chwilę, a potem dochodzi do wniosku, że nie ma sensu namawiać pacjentki, by pozostała do końca.

- Dobrze. Niech będzie. Spotkamy się jutro. Jeśli będziesz chciała porozmawiać ze mną wcześniej, to poproś pielęgniarkę, żeby przesłała mi sygnał na pager.

Wychodząc z gabinetu, Isabel bierze głęboki oddech i prostuje ramiona, chcąc pokazać swoją determinację. Jednak przy wydechu ra-

miona znów pochylają się do przodu i całe ciało kurczy się, zupełnie niweczając pożądane wrażenie.

Wycofuje się do swojego pokoju, zabiera szampon i mydło i idzie na dyżurkę pielęgniarek.

- Tak, Isabel, czego potrzebujesz?
- Chciałabym na chwilę dostać się do moich rzeczy w szafce.
- Oczywiście - mówi pielęgniarka i sięga po wielkie kółko z kluczami, które ma przypięte do paska. Isabel podchodzi za nią do szafki.
- Co chcesz stąd zabrać?
- Właściwie... chciałabym się ogolić. Przyniosę z powrotem maszynkę, gdy tylko skończę.

Pielęgniarka już przy pierwszych słowach zaczęła potrząsać głową.

- Czy ktoś ci mówił, jak wygląda sytuacja z goleniem?
- Nie.
- Możesz to robić tylko pod kontrolą. To nie jest takie okropne, jak się wydaje. Jedna z nas po prostu musi przy tym być. Chcesz, żeby pójść z tobą teraz?

Isabel przypuszczała, że musi być jakiś przepis dotyczący golenia, ale w głowie jej się nie mieści, że miałaby robić to pod okiem pielęgniarki. Opanowuje się jednak i mówi:

- Mhm, oczywiście. Jasne. Czy możemy pójść już teraz?
- Tak, tylko wyjmemy twoją maszynkę.

Łazienki w Three Breezes są tak duże, że bez problemu mieści się w nich toaleta, umywalka i długa, wąska, plastikowa kabina prysznicowa. Isabel wchodzi do kabiny i czeka, aż woda stanie się gorąca, a potem podnosi jedną nogę.

- Proszę, Isabel. Tu jest twoja maszynka.

Isabel wyciąga rękę z za plastikowej zasłony, ale pielęgniarka odsuwa ją całkiem i pogodnie podaje jej maszynkę Lady Bic. Zbulwersowana próbuje na powrót zaciągnąć zasłonę, żeby zachować resztki godności, ale pielęgniarka chwyta ją za mokre ramię.

- Nic z tego. Musi być odsłonięte, kiedy się golisz. Mam obowiązek patrzeć na ciebie.

- Och, bez żartów! Proszę mi dać tę maszynkę i odejść stąd! - krzyczy Isabel z twarzą czerwoną ze wstydu i zażenowania.

Łzy znów napływają jej pod powieki. Pielęgniarka przez chwilę patrzy na nią ze zdumieniem, ale zaraz potem łagodnie odbiera jej maszynkę i wychodzi.

TLR

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

*Może uda się przespać ten dzień, żeby minął szybciej.*

W kilka godzin po zapadnięciu w niespokojny sen Isabel budzą mdłości. Zna ten sygnał: oznacza on, że zapomniała o czymś bardzo ważnym.

- Która godzina? - pyta pierwszą osobę, która wchodzi do jej pokoju.

- Jedenasta - odpowiada sanitariusz.

- Przed południem czy wieczorem?

- Wieczorem. - W jego głosie brzmi współczucie, jakby Isabel właśnie przebudziła się ze śpiączki.

- O mój Boże, Keisha! - woła Isabel i biegnie na dyżurkę.

Tego wieczoru dyżur ma Connie.

- O, witaj, Śpiąca Królewno - mówi na jej widok.

- Connie! Gdzie jest Keisha? Wyjechała już?

- Nie, jeszcze tu jest. Siedzi i czeka. Jej rodzice jeszcze tu nie dotarli. - Connie wymienia znaczące spojrzenia z drugą pielęgniarką.

- Gdzie ona jest, u siebie w pokoju?

- Ehm, skarbie, nie. - W głosie Connie pojawiają się przeproszające tony. - Keisha miała wyjechać wcześniej, więc oddała już swój pokój. Przyjeliśmy dziś wieczorem nową pacjentkę i łóżko Keishy było potrzebne.

- Więc gdzie ona jest? - Isabel nie rozbudziła się jeszcze całkiem, ale zaczyna już rozumieć, że coś tu jest nie tak.

- W kuchni.

Wychodzi z dyżurki i idzie do małej kuchenki. Keisha siedzi przy stole, z głową opartą na skrzyżowanych ramionach.

- Keisha? Tak się cieszę, że jeszcze cię zastałam. Zasnęłam... - Isabel uświadamia sobie, że Keisha również spała. - Och, przepraszam...

Dziewczyna prostuje się. Znowu ma na sobie swój wyjściowy strój: bluzę z kapturem oznaczoną symbolem Nike i granatowe workowate spodnie od dresu Adidas. Obok niej, jak na dworcu autobusowym, stoi spakowana walizka.

- Izzy - uśmiecha się półprzytomnie - która godzina?

- Jedenasta. Twoi rodzice nie zadzwonili? Coś ich zatrzymało?

Na twarzy dziewczyny pojawia się obronny wyraz i Isabel zaczyna się zastanawiać, czy jej rodzice w ogóle się tu pokażą. Opuszcza wzrok.

- Chcesz pooglądać ze mną telewizję? Możemy trochę razem posiedzieć, dopóki nie przyjadą.

- Dobra, może być.

Keisha potyka się, wstając od stołu, ale łapie równowagę i idzie za Isabel do salonu. Oczywiście jest tam Sukanya, wrosnięta w fotel naprzeciwko telewizora.

Isabel i Keisha siadają na kanapie. Keisha zwija się w kłębek i znowu zasypia.

Isabel patrzy na nią, tłumiąc chęć, by ją pogłaskać, poklepać po plecach, upewnić, że wszystko będzie w porządku.

Matka Keishy wygląda zupełnie jak Keisha, tylko jest bardzo gruba. Gdy Keisha i Isabel wchodzi na oddział po śniadaniu, siedzi na dyżurce, zgarbiona nad jakimiś papierami. Keisha rzuca się pędem w jej stronę i obejmuje ją mocno.

- Mama? Mama!

- Cześć, dziecino. - Matka wydaje się zmęczona i ostrożna; przez głowę Isabel przechodzi myśl, że nawet w połowie nie wygląda na tak uszczęśliwioną jak jej córka. - Jesteś gotowa?

Keisha aż drży z podniecenia.

- Gotowa, żeby się stąd wreszcie wydostać? W każdej chwili! Pójdę tylko po torbę. - Dopiero teraz, przechodząc obok smutnej matki, zauważa dwóch mężczyzn, którzy chyba z nią przyjechali, ale nie pyta, kim są, tylko biegnie do pokoju Isabel, gdzie zostawiła walizkę przed śniadaniem.

Isabel staje przy ścianie dyżurki i patrzy na całą scenę. Gdy Keisha znika z pola widzenia, podchodzi do jej matki i z uśmiechem wyciąga do niej rękę.

- Pani Jackson? Dzień dobry, nazywam się Isabel Murphy i jestem koleżanką Keishy.

- Witaj, kochana, jak się miewasz?

*Dlaczego pyta tych facetów wzrokiem, czy wolno jej ze mną porozmawiać?*

- Dobrze. Keisha tak się cieszy, że wraca już do domu. Przez cały czas tylko o tym mówi.



*Kim, do diabła, są ci mężczyźni i dlaczego tak uważnie mi się przyglądają...? Zróbcie mi zdjęcie, jest trwalsze...*

- Jesteście przyjaciółmi Keishy? - pyta ich, udając, że nie zauważyła, że Keisha wyminęła ich, nie odzywając się ani słowem.

Żadnej odpowiedzi. Na twarzy pani Jackson pojawia się nieszczęśliwy wyraz. Reporterska dusza Isabel czuje niepokój.

W końcu Keisha wraca, ciągnąc za sobą torbę, i podchodzi prosto do dyżurnej pielęgniarki.

- Zapomniałam o rzeczach w szafce! Muszę je zabrać.

Trafiła do Three Breezes nie z własnej woli, więc nie ma ze sobą wiele rzeczy. Dwaj milczący mężczyźni stają po obu jej stronach. Pielęgniarka, która właśnie podchodzi do szafki, szepcze do nich:

- Nie możecie poczekać, aż wyjdzie na parking?

Isabel słyszy ten szept.

- Keisha, co się tu dzieje? - pyta. - Kim są ci faceci?

Keisha nie przestaje się uśmiechać.

- Ci? A, nie wiem. Wiem tylko, że wracam z mamą do domu!

Jej matka sprawia wrażenie, jakby lada chwila miała się rozpląkać.

- Och, moje dziecko. Moje dziecko!

- Mamo, dlaczego płaczesz? Przecieżjadę do domu!

- Keisha Jackson? - Jeden z mężczyzn wysuwa się o krok do przodu; jego cierpliwość już się wyczerpała. - Jesteś aresztowana. Masz prawo odmówić zeznań. Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie podczas rozprawy sądowej...

Stojąc przed dyżurką, odczytuje Keishy jej prawa. Pani Jackson zaczyna głośno zawodzić i machać rękami w powietrzu. Keisha szaleje.

- Mamo? Mamo, co się tu dzieje?! - krzyczy. – Co się tu dzieje?  
Dlaczego oni chcą mnie aresztować?

Oddział pogrąża się w chaosie. Pielęgniarka, która przed chwilą mówiła policjantom, żeby poczekałi, aż Keisha wyjdzie na parking, teraz podbiega do niej, chcąc ją pocieszyć. Jeden z policjantów głośno, jakby wyzywająco, odczytuje prawa aresztowanego wynikające z piątej poprawki do konstytucji, drugi w tym czasie zakłada jej kajdanki na wykręcone za plecy ręce. Pani Jackson jęczy w kółko „moje dziecko”, a oszołomiona Keisha dopytuje się każdego, kto tylko pojawi się w zasięgu jej wzroku, o co tu właściwie chodzi. W końcu do akcji przyłącza się Ben, zasypując policjantów pytaniami o broń, którą mają przy sobie.

- Czy to kaliber 45 czy 22? Zawsze mi się mylą te czterdziestki piątki i dwudziestki dwójki... Ile macie ze sobą amunicji? I na pewno trzymacie zapas w radiowozie, tak? Mam rację?

Melanie, która właśnie wraca ze śniadania, podbiega do Keishy i próbuje ją uścisnąć na pożegnanie.

*Czy ona nie widzi, że Keisha jest skuta?*

- Nie miałam okazji pożegnać się z tobą przy śniadaniu! - piszczy Melanie.

*Po prostu dzień jak co dzień, prawda, Melanie?*

*Jeszcze jedna osoba zaaresztowana na twoich oczach?*

*To miejsce jest zupełnie nieprawdopodobne.*

- Przez cały czas nosicie kamizelki kuloodporne, prawda? Co? Zawsze musicie je mieć na sobie? Mam rację?

Gdy policja wyprowadza Keishę z oddziału w stronę radiowozu, który stoi na parkingu, Isabel podchodzi do pani Jackson.

- Proszę pani... proszę mi powiedzieć, co się tu dzieje. Może to jakieś nieporozumienie?

- Żadne nieporozumienie, dziecko. - Pani Jackson na chwilę przestaje płakać i spogląda na nią przez ramię. - Moja Keisha zabiła swojego siostrzeńca. Zabiła go na śmierć.

TLR

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Dlatego właśnie pytam o twoją reakcję na aresztowanie Keishy. - Isabel skupiła się na słowach doktor Seidler w samą porę, by usłyszeć skierowane do niej pytanie.

Wcześniej, przymrużając oczy, usiłowała odczytać przez całą szerokość gabinetu nazwy uniwersytetów, które obdarzyły jej doskonale wykształconą lekarzkę tytułami naukowymi.

- Isabel?

- Tak? - Odrywa oczy od oprawionych w ramki dyplomów. - Tak, słucham?

- Pytałam, co myślałaś, gdy twoja przyjaciółka została aresztowana.

- To było dziwne. - Wzrusza ramionami.

- W jaki sposób dziwne?

- Po prostu dziwne, i już.

*Nie chcę o tym teraz rozmawiać.*

- Rozumiem, że nie masz ochoty teraz o tym mówić, ale myślę, że dobrze byłoby, gdybyśmy jednak porozmawiały, dopóki sytuacja jest świeża.

- Keisha nie była tu zbyt długo...

Milczenie.

- ... chcę powiedzieć, że nie przyjaźniłyśmy się aż tak blisko...

Milczenie.

- ... tylko że tutaj szybko poznaje się ludzi albo przynajmniej ma się takie wrażenie, że się ich poznaje. Pewnie z powodu terapii grupowej.

- Ale żywiłaś do niej ciepłe uczucia, prawda? Wspominałaś o tym tutaj raz czy dwa.

- Tak. Chociaż właściwie nie wiem dlaczego. Było w niej coś bardzo wrażliwego. Ale potrafiła też być twarda. I to, co powiedziała... że gdy ludzie wiedzą, jaki jesteś, to chcą cię kontrolować. Była bystrzejsza, niż to się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

- Jakie uczucia to w tobie wzbudzało?

*Jakie uczucia to we mnie wzbudzało? „ Wzbudzało ”?*

- Isabel, dlaczego się uśmiechasz?

- Dlatego... no dobrze..., wzbudzało "... to jest takie słowo, o którym nam mówiono, że używa się go tylko w piśmie. Pamiętam, jak w pierwszym roku mojej pracy w telewizji dyrektor pionu informacyjnego wściekł się na mnie, bo użyłam tego słowa w skrypcie. Powiedział, że nikt normalny tak nie mówi. Ze to słowo jest zakazane, tak samo jak „ludobójstwo". A potem dodał do tej listy jeszcze słowo „zakazane".

- Aha, w takim razie przepraszam za użycie nie-odpowiedniego słowa - uśmiecha się doktor Seidler i znów wraca do Keishy. - Jak myślisz, co jeszcze w niej pociągało?

Kolejna chwila milczenia.

- Spróbuję ci pomóc, ale pamiętaj, że to tylko teoria.

Niektórzy uważają, że na przyjaciół i bliskich wybieramy sobie ludzi, którzy są podobni do nas samych. Czy myślisz, że tak mogło być w tym przypadku?

- No tak. Jestem czarną dziewczyną z getta...

- Isabel, spójrz trochę głębiej. Ty też jesteś wrażliwa, prawda? Gdyby nie to, nie znalazłabyś się tutaj. Ale ty też potrafisz być twarda, gdy musisz. Czy możliwe, że właśnie dlatego Keisha mocno cię poruszyła?

*Tak, i dlatego że ona rozumie. Wie, jak to jest, gdy ktoś ci zabiera duszę. Alex zabrał moją duszę.*

Milczenie.

- Nie wiem - mówi w końcu Isabel. – Chciałabym dzisiaj pobyć trochę sama. Naprawdę nie mam już ochoty rozmawiać.

- Isabel, nie idziesz na kolację? - Connie pojawiła się dzisiaj wcześniej niż zwykle. - Wszyscy są na zewnątrz, więc zapisz się na tablicy i dołącz do nich, bo zaraz trzeba będzie iść do jadalni.

Isabel posłusznie pisze na tablicy „kolacja” i bez słowa wychodzi z budynku.

Już w drzwiach uderza ją w twarz zapach gotowanej wołowiny. Sięga po plastikową tacę i przesuwają ją po trzech metalowych poręczach otaczających bar z sałatkami.

*Jest!*

Jej serce zaczyna bić dwa razy szybciej. W rogu sali, przy prostokątnym stoliku, siedzi samotnie mały Peter.

Peter od mrówek.

Isabel wrzuca do piankowej miseczki trochę sałaty lodowej, dodaje kilka pomidorków koktajlowych, polewa sosem Thousand Island i podchodzi do niego.

Chłopiec siedzi ze wzrokiem skupionym na ziemniaczanym puree, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

-Cześć - mamrocze Isabel. - Czy mogę tu usiąść?

Peter patrzy na nią, a potem rozgląda się na boki, jakby sprawdzał, czy te słowa rzeczywiście skierowane są do niego.

Isabel uśmiecha się.

- Zastanawiałam się, czy mogłabym usiąść obok ciebie - powtarza.

Brak odpowiedzi. Peter znów wbija wzrok w ziemniaki. Nie je ich, tylko przesuwa widelcem po talerzu.

- Nie musisz się mnie bać - zapewnia go Isabel. - Obiecuję, że cię nie ugryzę.

*Głupia uwaga! Może znalazł się tu, bo ktoś go molestował! Och, Boże, może nawet ktoś go gryzł, jakiś potworny dorosły, który wygląda tak jak ja i który zachęcał go do swojego towarzystwa... na przykład przy kolacji.*

Milczenie.

-Dobrze, w takim razie do zobaczenia.

*Doskonale, Isabel. Świetne posunięcie. Milczący dziewięciolatek utarł ci nosa.*

Przełyka przywiedłą sałatę w samotności, z dala od Bena, Melanie, Kristen i całej reszty. Pomiedzy jednym a drugim kęsem ukradkiem zerka na Petera, który wciąż grzebie widelcem w ziemniakach. Myśli o tym, co powiedziała jej wcześniej doktor Seidler, i zastanawia się, co

jest takiego w Peterze, co sprawia, że chciałyby się z nim zaprzyjaźnić. Co on w niej „wzbudza”.

Peter wrzuca teraz swój talerz z nietkniętym jedzeniem do kosza na odpadki.

*Teraz. Zrób to teraz.*

Isabel podnosi się, odczekuje chwilę i również wyrzuca resztę sałatki do kosza. Grupa Petera wysypuje się z jadalni. Isabel zrównuje się z tajemniczym chłopcem.

- Cześć, to jeszcze raz ja - mówi łagodnie, starając się nadać głosowi swobodne brzmienie, jakby nie zależało jej, czy usłyszy odpowiedź, czy nie. - Mówiłam ci, że jeszcze się spotkamy i widzisz... spotkaliśmy się!

Chłopiec przy każdym kroku uważnie wpatruje się w chodnik przed sobą.

- Mam na imię Isabel.

Nic.

- No dobrze, to było drugie podejście - mówi, naśladowując głos sędziego na meczu: druugi aut. – Do widzenia!

Podnosi wzrok i widzi tuż przed sobą miłą twarz ogrodnika.

- Smutny chłopiec. - Ogrodnik potrząsa głową, zraszając nawozem klomb głodnych nagietków.

- Mhm-hm, smutny dzieciak.

Isabel zastanawia się nad jego słowami.

- A czy wszyscy nie jesteśmy smutni?

Ogrodnik podnosi głowę, przechylają na bok i również się zastanawia.



- Chyba tak. Chyba tak. - Pssst, syczy zraszacz.
  - Ale nie można dać się załamać. Nie, proszę pani. Nie można stracić ducha. - Pssst. - Trzeba karmić ducha... użyźniać. Mhm-hm.
- Isabel odchodzi.

TLR

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Isabel! - Kristen przywołuje ją na taras dla palaczy. - Chodź tu, siadaj. Rozmawiamy o naszych chłopakach.

Isabel nic nie rozumie. Jediną osobą na tarasie oprócz Kristen jest Sukanya.

*Albo stał się pieprzony cud, albo Kristen ma gorzej w głowie, niż sądziłam.*

- Pytałam Sukanyę, czy ma chłopaka – mruczy Kristen - a potem obgadywałyśmy facetów.

Pusty wzrok Sukanyi świadczy o tym, że rozmowa była wyłącznie jednostronna. Zaciekawiona Isabel zapala papierosa i przysuwa sobie krzesło.

- Masz chłopaka? - zwraca się do Kristen, wydmuchując dym.

Ma w pamięci traumę, jaka nastąpiła po pierwszym zbliżeniu seksualnym tamtej.

- Niezupełnie - odpowiada Kristen. – Przecież wiesz, że mam chorobę dwubiegunową.

W latach, które nastąpiły po Incydencie, mania Kristen, która zaczęła się od samookaleczeń, wzmocniła się i wkrótce dziewczyna zaczęła poszukiwać zewnętrznych bodźców wzmacniających wrażenie szumu w uszach, które ją ogarniało, gdy diabelskie koło choroby niosło ją w górę.

Kristen stała się alkoholiczką.

Gdy była szczęśliwa, czuła taką euforię, że wpadała w ciąg w barze o dwie przecznice od swojego mieszkania. Wlewała wtedy w siebie wszystko, co tylko przyszło jej do głowy zamówić, a do tego stawiała kolejki drinków, na które nie było jej stać, wszystkim dokoła. Uszczęśliwianie innych tą niezdrową hojnością dawało jej samej tyle szczęścia, że mania narastała coraz bardziej i wkrótce Kristen była już tak pijana, że z trudem przypomiwała sobie, jak ma na imię. Barman dobrze ją znał i choć musiał wiedzieć, że zachowuje się nieodpowiedzialnie, pozwalając jej na takie zachowanie, to jednak wiedział także, że jej ojciec jest bardzo bogaty i pokryje rachunki córki.

Niejeden raz Kristen wychodziła z baru otepiała o alkoholu w towarzystwie mężczyzn, których twarzy nie mogła sobie potem przypomnieć. Wielokrotnie przytomniała zagubiona i rozchełstana, nie wiedząc, czyje nasienie spływa po jej udach. I wtedy rozpoczynał się zjazd w dół. Kristen czterokrotnie próbowała popełnić samobójstwo.

- Mamo, dam ci słowo, że wszystko będzie w porządku.
- Kristen, proszę cię, nie rób tego. Proszę.
- Mamo, ja mówię poważnie. Lekarz powiedział, że przecież to jest mój wybór. Mój wybór, mamó. Czuję się świetnie. Nie cierpię mieć w sobie tej trucizny, po prostu nie cierpię.
- Kristen, ta choroba jest na całe życie – tłumaczyła zdenerwowana matka. - Czy ty w ogóle zwracasz uwagę na to, co ja mówię?
- Tak, mamó. - Kristen nie zwracała na matkę żadnej uwagi. Podjęła już decyzję. Żadnych więcej lekarstw.

- Kristen, proszę, bierz te pigułki. Kochanie, bardzo cię proszę. Błagam cię.

- Dobrze, mam. Jak sobie życzysz - rzuciła w końcu Kristen, bezmyślnie wypowiadając jedyne słowa, które mogły uspokoić matkę.

Wzięła od niej butelkę z lekarstwem i udawała, że przetyka pigułki. Nie połknęła ich jednak, tylko przytrzymała pod językiem i wypluła, gdy tylko Nora znikła z pola widzenia.

I tak oto Kristen przestała brać lekarstwa, które miały uchronić ją przed nią samą.

- A jak jest u ciebie? - Kristen zdaje sobie sprawę, że ta rozmowa jest właściwie monologiem. - Na terapii wspominałaś, że jesteś w separacji. Ale nadal nosisz obrączkę. Swoją drogą, jest bardzo ładna.

Isabel spogląda na lewą rękę i obraca obrączkę na palcu.

- Dzięki.

- Jaki on jest?

- Wiesz, czego ci potrzeba? - pyta Casey, chrupiąc gorący precel.

- Czy ty w ogóle nie słuchasz, co mówię? Wiem, czego mi trzeba, tylko nie wiem, jak to osiągnąć - wzdycha Isabel.

- Trzeba ci bajerów i wodotrysków. Fajerwerków. Odrobina pikantarii jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Chodź do sklepu z bielizną, coś wybierzemy.

- I co dalej? Mam zapalić świece i puścić Yan-niego? Co za banał!

- Nie oglądasz telewizji Lifetime? Connie Sellecca wkłada seksowną bieliznę, i bum! Zaraz ją ktoś zaciąga do łóżka.

- Lifetime?! Proszę, powiedz mi, że się przesłyszałam i że nie traktujesz telewizji Lifetime jako przewodnika po udanym życiu seksualnym!

- Ty nic nie rozumiesz. Zaraz, zaczekaj chwilę - mówi Casey. Mruży oczy i wpatruje się w dal. - O trzy ulice stąd jest sklep z bielizną. Stamtąd zaczniemy. Rusz się.

Isabel wzdycha z frustracją, wlokąc się za przyjaciółką.

- To wszystko jest beznadziejne. Nie rozumiem, dlaczego mam paradować po domu w jakimś idiotycznym przebraniu, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Przecież jesteśmy świeżo po ślubie. Dlaczego czuję się tak, jakbyśmy byli parą w średnim wieku, która poszukuje utraconej magii?

Casey szła szybko przed siebie, ani słowem nie komentując tego, co usłyszała. Isabel musiała podbiec kilka kroków, żeby się z nią zrównać. Gdy zatrzymały się na krawężniku, czekając na zielone światło, odchrząknęła.

- Case, przepraszam, że do ciebie nie oddzwoniłam.

Casey nie odpowiedziała.

- Tylko że, widzisz, Alex zajmuje mi prawie cały wolny czas, a potem jest już późno i wiem, że jesteś już w łóżku, i nie chcę budzić Michaela, i...

- ...i pies zjadł zeszyt z twoją pracą domową? - przerwała jej Casey.

- Jezu, Iz, po co te wszystkie wymówki? Wiem, że on mnie nie lubi, nie musisz tak owijać w bawełnę. Nie jestem Forrestem Gumpem. Widzę to przecież!

Isabel patrzyła na światła. Podświetlona sylwetka idącego człowieka znów zmieniła się w napis „Nie przechodzić”. Musiały poczekać na następną zmianę.

- Słuchaj, wszystko jest w porządku. Nie muszę się z nim przyjaźnić. Po prostu brakuje mi ciebie, i to wszystko. Brakuje mi ciebie.

- Mnie też ciebie brakuje, Case - powiedziała Isabel błagalnie. - Tylko daj mi trochę czasu. On potrzebuje... och, sama nie wiem, czego on potrzebuje. Chyba po prostu potrzebuje mnie. Musi czuć, że jest dla mnie najważniejszy, rozumiesz? Mnie to chyba nie przeszkadza. W pewien sposób nawet mi to pochlebia.

Brwi Casey sceptycznie uniosły się do góry.

- To znaczy, on jest na mnie tak bardzo skupiony. Wie o wszystkim, co robię, co lubię, czego chcę...

- Oprócz seksu.

- Nie będę tego komentować. Ale tak jest. On jest na mnie skupiony bez reszty. Ja też chcę się na nim skupić tak, jak on tego potrzebuje, tylko że to zabiera bardzo dużo czasu.

- Skupiaj się, ile chcesz. Skoro potrzebujesz czasu, to go masz. Chcę, żebyś była szczęśliwa w tym małżeństwie.

- Od kiedy to wspierasz mój związek z Alexem? Myślałam, że nie byłaś nim zachwycona.

Casey zatrzymała się i spojrzała prosto na Isabel.

- Ale tobie zależy na tym związku, prawda?

Isabel ostrożnie skinęła głową.

- Tak.

- Więc to mi wystarczy - oświadczyła Casey i zdecydowanym krokiem przeszła przez ulicę.

Isabel przez chwilę patrzyła za nią, po czym podbiegła i znów się z nią zrównała.

- Jest jeszcze coś - powiedziała niechętnie.

- No nie. Tylko mi nie mów, że chcesz, żebym poszła z nim do łóżka zamiast ciebie?

Isabel zaśmiała się, ale znów spoważniała.

- Bo... widzisz... nie wspominaj mu, że się dzisiaj spotkałyśmy, dobrze?

- Rany boskie, Isabel!

- To nic takiego! Tylko że powiedziałam mu, że mam spotkanie służbowe w centrum. Nie mówiłam, że chcę się spotkać z tobą. I teraz nie chcę, żeby pomyślał, że go okłamuję.

- Zapomnij o tym.

- Więc nie powiesz mu?

Twarz Casey przepełniona była współczuciem.

- Isabel, nic mu nie powiem.

Stały przed wystawą butiku pełną różowych tkanin i koronek. Casey ujęła przyjaciółkę pod ramię.

- No dobrze. Dasz radę. Wyobraź sobie, że to jest „Dziewięć i pół tygodnia”, a ty jesteś Kim Basinger. Ruszaj na łowy, króliczku.

- To wszystko jest po prostu żałosne.

- Bądź dzielna. Nie łam się. Chodź.

Isabel pokręciła gałką odtwarzacza, ale urządzenie było tak delikatne, że nie mogła utrafić we właściwą głośność. Wystarczyło, że ktoś kichnął obok, a poziom dźwięku już się zmieniał. W końcu uznała, że

to jest to, o co chodzi - coś pomiędzy „Och, chyba zapomniałam wyłączyć odtwarzacz? Słuchałam wcześniej Sade” a „Hej, kochanie, chodź tu i odpręż się”. Pomiedzy oczywistością a desperacją.

Stanąła przed lustrem i nałożyła podwiązki.

Gdy usłyszała go w drzwiach, ogarnęła ją panika. Wyłączyła odtwarzacz i narzuciła na swoje półnagie ciało szlafrok.

- Wcześniej wróciłeś! - zawołała i przed wyjściem z sypialni jeszcze raz zerknęła na swoje odbicie w lustrze. - Cześć.

- Cześć - odpowiedział Alex, obrzucając ją sceptycznym spojrzeniem. - Będziesz gotowa za chwilę? Mamy stolik zarezerwowany na ósmą.

- Myślałam, że... -*Króliczek*. „*Dziewięć i pół tygodnia*”... - Moglibyśmy się trochę odprężyć... - *Zdejmij szlafrok*. *O, tak*. - Rozluźnić... - *Dlaczego on tak się krzywi?* - I zaimprovizować jakąś kolację w domu... - *Och, Boże*. - Jak myślisz?

Ale na widok jego twarzy pośpiesznie sięgnęła po szlafrok, który przed chwilą nonszalancko rzuciła na krzesło.

- Co takiego? - zapytała obronnie, zażenowana.

Alex przełknął ślinę. Wyglądało to tak, jakby zaniemówił. Po raz pierwszy widziała u niego taką reakcję.

- Zrobiłem tę rezerwację już miesiąc temu. Tam bardzo trudno się dostać. Chodźmy już, dobrze?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, był już za drzwiami.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Isabel, gdzie jesteś? - wołał Alex, wchodząc do mieszkania. - Mam nowiny!

- Tutaj - odpowiedziała.

Po jego głosie poznała, że jest w dobrym nastroju, i jej napięte ramiona nieświadomie się rozluźniły. Wróciła wcześniej z pracy i właśnie przerzucała kanały w telewizorze, porównując główne wydania wiadomości w różnych stacjach telewizyjnych.

- Znalazłem finansowanie - oznajmił.

- Co? O, Boże. - Isabel zeskoczyła z kanapy i rzuciła mu się w ramiona. - Opowiadaj !

- Jakaś godzinę temu Terry zawołał mnie do swojego biura - czy możemy to wyłączyć? - To nie było pytanie, lecz żądanie. - Powiedział, że Australijczycy się zgodzili. Wygląda na to, że są zdecydowani otworzyć lokal tutaj w Stanach i że spodobała im się moja propozycja.

- Oooh. To wręcz niewiarygodne! Tak po prostu... - Isabel była uszczęśliwiona na widok jego entuzjazmu. Już od wielu tygodni był w kiepskim nastroju.

- Tak, chyba doszli do wniosku, że to dobry pomysł. -Bardzo zadowolony z siebie usiadł na kanapie obok Isabel. - Jedyna wada to paskudne godziny pracy. Przynajmniej dopóki nie zdobędę stałych klientów.

- To znaczy, ile godzin dziennie będziesz musiał tam spędzać? Przecież będziesz szefem, właścicielem, prawda? To chyba znaczy, że możesz pracować tyle, ile zechcesz?

- Zgadzą się na finansowanie tylko pod tym warunkiem, że będę sam stał za barem. Rozumiesz, muszę być na sali i poznawać klientów.

- I to oznacza, że masz tam być co wieczór? - Wiedziała, że on oczekuje po niej radości z jego sukcesu, ale mimo to parła dalej. – W ten sposób w ogóle przestaniemy się widywać.

- Chyba znalazłem wyjście z tej sytuacji. – Alex pochylił się do niej podniecony. - Wymyśliłem, że ty mogłabyś przejść na ranną zmianę. Wtedy obydwójce pracowalibyśmy w tych samych godzinach, a resztę dnia moglibyśmy spędzać razem.

- Kochanie, bardzo się cieszę, że ci się udało. Naprawdę. Ale właśnie dostałam okienko o siedemnastej. Coś takiego doskonale wygląda w CV. Bez doświadczenia w prowadzeniu wieczornych wiadomości żadna sieć nie zechce nawet na mnie spojrzeć. Dlatego nie chcę rannej zmiany, ale to przecież nie znaczy, że ty nie możesz realizować swoich planów. Zawsze o tym marzyłeś. - Isabel starała się utrzymać lekki ton, ale nie mogła się powstrzymać, by nie dodać:

- Po prostu martwię się, że w ogóle przestaniemy się widywać.

Alex przez chwilę nic nie mówił. Przygarbił się, pochylił głowę i złożył koniuszki palców jak do modlitwy. Gdy podniósł wzrok, Isabel poczuła zimny dreszcz.

- Dlaczego ty zawsze musisz mi wszystko zepsuć? Dlaczego masz takie negatywne podejście do czegoś, co mnie sprawia wielką radość?

Ich konflikty miały pewien stały, podskórny rytm. Isabel mogła naciskać na Alexa tylko do pewnego momentu. Zawsze to ona wycofywała się pierwsza. Gdy kiedyś uparła się, że nie ma ochoty na kolację z grilla, Alex rzucił w nią płytą CD. Płyta trafiła ją w czoło i rozcięła

skórę do krwi. Toteż teraz, wyczuwając, że nadchodzi nieunikniona zmiana nastroju, czym prędzej porzuciła wątpliwości.

- Masz rację, masz rację. Bardzo cię przepraszam. Cieszę się razem z tobą. Będziemy się przecież widywać. Niepotrzebnie weszłam w rolę adwokata diabła. Taka jestem z ciebie dumna.

Uścisnęła go mocno i po chwili entuzjazm Alexa wrócił.

- Ale nie rozmawialiśmy już od wielu tygodni! - zawołała Isabel, opierając się o brzeg łóżka.

Alex zaciągnął zasłony, odcinając pokój od jasnego południowego słońca.

- Isabel, odpieprz się ode mnie! - prychnął. - Czy ty kompletnie ogłuchłaś? Powiedziałem ci, że chcę się zdrzemnąć. Wynoś się stąd!

Sięgnął na nocny stolik po opaskę na oczy i nasunął ją na głowę.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Jezu Chryste, Isabel! Jestem wykończony. Nie możesz mi dać trochę się przespać? Jezu.

- Wiedziałam, że tak będzie. - Nie chciała się poddać, chociaż on już zasłonił oczy opaską. - Wiedziałam, że w ogóle nie będziemy się widywać. Chcę tylko przez pięć minut z tobą porozmawiać. Nie jesteś nawet ciekaw, co robię w domu o tej porze? W ogóle cię to nie interesuje?

- Isabel, nie zaczynaj ze mną. - To było jego firmowe ostrzeżenie. Usiadł na łóżku i przesunął opaskę na czoło. - Teraz chcę spać. Porozmawiamy, kiedy się obudzę. Wtedy możemy nawet zatańczyć sambę, wszystko mi jedno, ale teraz chcę spać! Wynoś się z tej sypialni.

- Ale muszę ci coś powiedzieć.
- Wyjdź.

Wycofała się z nienaturalnie ciemnej sypialni do jasnego salonu i popatrzyła na kosztowne wyposażenie pokoju, na które nie było ich stać. Żyli ponad stan, a Alexa chyba to nie obchodziło. Ale teraz to będzie musiało się skończyć. Zatrzymała wzrok na wielkim komputerze typu mainframe, na który wydał tysiące dolarów, i pomyślała, że będzie musiał nauczyć się oszczędzać z czystej konieczności. Wiedziała jednak, że nie spodoba mu się to, i aż wzdrygnęła się na myśl o nowinie, jaką miała mu do przekazania.

- Co takiego?!
- Straciłam pracę - powtórzyła Isabel upokorzona.
- Co zrobiłaś? - zapytał Alex jeszcze raz oskarżycielskim tonem.

Wstrząśnięta podniosła na niego wzrok.

- Co to ma znaczyć, co zrobiłam? Alex, to nie moja wina! Stacja została sprzedana i nowi właściciele redukują zatrudnienie. Chcą wprowadzić własnych ludzi. Wszyscy o tym gadali już od miesiący, od kiedy ta sprzedaż doszła do skutku.

- No dobrze, ale dlaczego ty? Dlaczego wyrzucili właśnie ciebie? Mówiłem ci, żebyś starała się, jak możesz! Co ci mówiłem? Przez cały czas powtarzałem, że musisz dobrze wyglądać i dobrze pracować...

- Zawsze staram się, jak tylko potrafię.
- Czy ja już skończyłem mówić? Wydaje mi się, że jeszcze nie skończyłem, prawda?
- Wiesz co, Alex? Odpieprz się.

Alex znieruchomiał. Isabel przełknęła ślinę.

- Wyrzucili mnie. To nie była moja wina. Wiem, że zaraz powiesz, że znowu robię z siebie ofiarę, bla bla bla, ale wszystko mi jedno. Nie jestem ofiarą. Dobrze wiem, że nie było w tym nic osobistego. Więc spróbuj się opanować.

Alex postąpił o krok do przodu, nie spuszczać z niej oczu.

- Mam się opanować? Tak powiedziałaś? Mam się opanować? A czy mogę zapytać, co to ma dokładnie znaczyć?

Isabel cofnęła się o krok.

- Alex, nie mam teraz na to siły. Daj spokój, dobrze? Proszę cię.

On jednak zbliżył się o kolejny krok i Isabel wiedziała, że to ostatni moment, by się wycofać.

- Posłuchaj, przepraszam cię - powiedziała w zgodzie ze skryptem ich kłótni.

- Tak, przepraszasz. Przepraszasz - przerwał jej.

- Zasłużyłaś na to, wiesz? Im dłużej o tym myślę, tym wyraźniej uświadamiam sobie, że zasłużyłaś na to. Dlaczego? Bo nie jesteś głodna sukcesu. W głębi duszy wiesz, że mamusia i tatuś nie dadzą ci zgiąć, więc nie chce ci się walczyć o pieniądze. Niektórzy ludzie muszą sami zarabiać na życie, wiesz o tym?

- Alex, proszę cię...

- Prosisz? Prosisz? - Uderzył ją w twarz tak mocno, że upadła na podłogę. - Naprawdę myślałaś, że możesz mówić do mnie takim tonem i ujdzie ci to na sucho?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- W tym roku świat straci 2,3 miliona ludzi z powodu epidemii AIDS, która nigdzie nie jest bardziej dokuczliwa niż tutaj, w Afryce na południe od Sahary. Statystyki zwalają z nóg: w Zimbabwie co najmniej jeden na pięciu dorosłych jest nosicielem wirusa AIDS, w Zambii wskaźnik śmiertelności niemowląt z powodu AIDS wzrósł o dwadzieścia pięć procent, a tutaj, w Botswanie, zarażone wirusem jest prawie trzydzieści procent całej populacji.

Jeszcze bardziej zatrważające są ogłoszone w ubiegłym tygodniu szacunki Światowej Organizacji Zdrowia, według których w ciągu najbliższych dwóch lat możemy być świadkami wzrostu zachorowań na AIDS do ogólnej liczby czterdziestu milionów.

Z Botswany dla Wiadomości ANN mówiła Isabel Murphy.

- Alex, czy teraz mnie słyszysz?! - krzyczała Isabel do telefonu satelitarnego.

- Isabel, to ty? Prawie nic nie słyszę! – odkrzykiwał Alex.

- Przykro mi, kochanie, ale chyba nie mamy szans na lepsze połączenie. Będę mówić głośno.

- Dobrze. Trudno mi uwierzyć, że w ogóle udało ci się zadzwonić. Jak tam jest? Wszystko w porządku? Bardzo za tobą tęsknię!

- Wszystko w porządku. Tu jest zupełnie niewiarygodnie. Piekło na ziemi. Całkiem inna planeta. - Spojrzała w stronę daszka, pod którym cała ekipa szukała schronienia przed palącym południowym słońcem.

- Na pewno, mogę się założyć. Kiedy wracasz do domu? Powiedzieli ci już?

- Między innymi właśnie dlatego dzwonię...

- Isabel? Chyba nam przerwało. Isabel, jesteś tam?

- Alex! Jestem. Przepraszam. Będę krzyczeć. Zadzwoiłam, bo chcę, żebym jeszcze została i w przyszłym tygodniu pojechała do Zimbabwe. Świetna sprawa. Lekarze bez Granic zgodzili się, żebyśmy pojechali razem z nimi. Będą rozprawiać inhibitory proteazy w tych prowizorycznych klinikach...

- To znaczy, że znowu opuścimy terapię?

- ...ci ludzie, a w każdym razie większość z nich, nie wiedzą nawet, co to jest AIDS ani dlaczego wszyscy w ich rodzinach umierają...

- Rozumiem, że to oznacza potwierdzenie. Zadzwonię do doktor Bauman i powiem jej, że musimy znowu przełożyć termin.

- Co powiedziałaś? Nie usłyszałam.

- Powiedziałem, że zadzwonię do Pat Bauman i przełożę termin. Ty zbawiasz świat, a ja siedzę w domu... wyprowadzam psa... i czekam, aż moja żona globtroterka przypomni sobie, że ma męża.

- Och, Alex. Przepraszam. To tylko ten jeden wyjazd...

- To zawsze jest „tylko jeden wyjazd”.

- Alex? Przepraszam, ale już muszę kończyć. Lekarze, z którymi jedziemy, już tu są i muszę się z nimi przywitać. Przepraszam cię.

- Dobra, jak chcesz.

Odłożył słuchawkę, zanim Isabel zdążyła się z nim pożegnać.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Alex wyciągnął wskazujący palec w stronę Isabel.

- Przecież to ty sama chciałaś, żebym poszedł na terapię! Nie mogę uwierzyć, że teraz odmawiasz.

- Zaraz, zaczekaj! Posłuchaj mnie przez chwilę. Nie odmawiam chodzenia na terapię małżeńską, tylko mówię, że nie będę się czuła dobrze, chodząc do tej samej lekarki, do której ty chodzisz na indywidualną terapię! Dlaczego nie możemy poszukać kogoś neutralnego? Kogoś, z kim obydwójce czulibyśmy się dobrze?

- Możemy. - Alex uspokoił się trochę. - Jeśli nie spodoba ci się Pat. Ale przynajmniej spróbujmy, dobrze? Możesz to dla mnie zrobić? Cała ta terapia jest dla mnie bardzo trudna i nie chcę znowu przechodzić przez to wszystko od początku z jakąś inną osobą. Pat już mnie zna, z nią jest mi łatwiej.

Isabel spojrzała na poszarpane skórki przy swoich obgryzionych paznokciach.

- Dobrze. Spróbuję. Ale myślę, że to nie jest w porządku, i od razu ci to mówię. To nie jest dobry pomysł. Nie mogę uwierzyć, że Pat coś takiego ci zasugerowała.

- To nie ona zasugerowała, tylko ja.

- Isabel, zanim nasz czas dobiegnie końca, chciałabym ci coś zaproponować - powiedziała Pat. - Jak wiesz, już od dłuższego czasu



spotykam się z Alexem. Alex, ile to już trwa? Siedem miesięcy? Wiem, że to może trochę nietypowy pomysł, żebyście przychodzili do mnie oboje na terapię małżeńską, skoro prowadzę już Alexa indywidualnie, i słyszałam, że nie czujesz się z tym dobrze. Proponuję więc, żebyś ty również przyszła do mnie indywidualnie - tylko raz albo dwa. To pozwoliłoby mi zyskać pełniejszy obraz. Widzę, że potrząsasz głową. Czy to jest dla ciebie nie do przyjęcia?

- Myślę, że cały ten układ jest nie do przyjęcia. - Isabel próbowała mówić równie spokojnym, odmierzonym tonem jak terapeutka. - Alex, to naprawdę nie jest przyjęta metoda - dodała w stronę męża. - Pat w ogóle mnie nie zna...

- Właśnie dlatego chce się z tobą spotkać sam na sam- przerwał jej mąż. - Isabel, przecież powiedziałaś, że spróbujesz. Zgodziłaś się.

Jego spojrzenie było równie błagalne jak spojrzenie Pat.

- Dobrze - westchnęła. - Spróbuję.

- Cieszę się, że przyszłaś, Isabel. - Pat wskazała jej krzesło naprzeciwko biurka. - Naprawdę myślę, że ułatwi mi to pomoc wam obojgu w przejściu tego trudnego okresu. Jeśli pozwolisz, to chciałabym na początek zadać ci kilka pytań, a ponieważ jest to nasze pierwsze indywidualne spotkanie, to, jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę robiła notatki.

*Naraz zaczęło cię obchodzić, czy nie mam nic przeciwko temu? Po co te pozory?*

- Proszę bardzo.

- Dobrze, zacznijmy więc od tego: które problemy w waszym małżeństwie są twoim zdaniem najważniejsze? Chciałabym cię upewnić,

że wszystko, co teraz powiesz, pozostanie między nami. Nie powtórzę tego Alexowi ani podczas spotkań indywidualnych z nim, ani w trakcie spotkań z obojgiem.

- Nasze największe problemy małżeńskie? – Isabel zastanawiała się przez chwilę. - Od czego mam zacząć? To znaczy, przecież rozmawialiśmy już o tym podczas spotkania w zeszłym tygodniu.

- To prawda. - Pat podniosła wzrok znad notatek. - Ale chciałabym usłyszeć, jak wasze małżeństwo i twój związek z Alexem wyglądają z twojej perspektywy. Wspominaliśmy o tym w zeszłym tygodniu, ale to było tylko ślizganie się po powierzchni.

Isabel poruszyła się na krześle.

- Najbardziej wytrąca mnie z równowagi nasze życie seksualne. To znaczy, tak jak już mówiłam, ja jestem w okresie największych potrzeb, a Alex ma temperament dziewięćdziesięciolatka. I nie chodzi tu tylko o potrzeby fizyczne, bo wiem, że są na przykład pigułki, które mógłby zażywać. To jest coś więcej. Coś głębszego. Tak jakby on się wyłączał, gdy dochodzi do bliskości. Jakby go tam w ogóle nie było. I to mi najbardziej przeszkadza. A Alex w ogóle nie widzi żadnego problemu. Nie, to niezupełnie tak: on uważa, że to ja mam problem. Że zbyt wielką wagę przykładam do seksu. I bardzo złości go to, że pamiętam, kiedy się kochaliśmy po raz ostatni. Mówi, że prowadzę kalendarz.

- A prowadzisz?

- Nie! Nie prowadzę, tylko po prostu czasem zaczynam mieć wrażenie, że już całe wieki minęły od ostatniego razu, i wtedy sprawdzam w kalendarzu i...

- Aha. Czyli jednak zaznaczasz daty.
- Nie powiedziałam tego! Po prostu...
- Przed chwilą powiedziałaś, że zaglądasz do kalendarza, prawda?

Czyli jednak zaznaczasz w nim wasze zbliżenia?

- Nie. Właśnie o to chodzi, że nie. Zaznaczam w kalendarzu różne zdarzenia towarzyskie. Na przykład kolację z Martym i Alice. I jeśli tego dnia po powrocie do domu dochodzi między nami do zbliżenia, to po prostu zapamiętuję to. Więc tu nie chodzi o to, że prowadzę kalendarz. Nie w taki sposób, jaki pani i Alex sugerujecie.

- Ja i Alex. Mówisz to tak, jakbyśmy tworzyli wspólny front. Tak to widzisz?

*O Jezu.*

- Tak, przecież już o tym mówiłam. Może mówiłam Alexowi. Właśnie dlatego nie podobał mi się pomysł, żeby pani prowadziła naszą terapię małżeńską, bo podczas tych spotkań czuję, że jestem w mniejszości.

- Więc dlaczego w końcu się na to zgodziłaś? Na przyjęcie do mnie razem z Alexem?

Isabel znów skubnęła skórkę przy paznokciu kciuka i roztarła palcem kropelkę krwi.

- Bo bałam się odmówić.
- Czego się bałaś?

Podniosła wzrok.

- Czego się bałam? Alexa, oczywiście. A czego innego miałabym się bać?

- Boisz się Alexa?
- Oczywiście, że tak. - Isabel była zdumiona naiwnością Pat.

- Dlaczego?

- Dlaczego boję się mojego męża? Chyba nie pyta pani poważnie?

Naprawdę pani nie wie, dlaczego mam powody, by się go bać?

Terapeutka milczała.

*To niemożliwe, żeby Pat była tak doskonałą aktorką.*

- Zaraz, bo ja tu chyba czegoś nie rozumiem. Alex przychodzi do pani co tydzień od siedmiu miesięcy. Tydzień w tydzień. I ani razu nie wspomniał o tym, że stosuje wobec mnie przemoc?

- Przepraszam bardzo... - Pat bardzo się starała nie pokazywać po sobie zdumienia.

-Nigdy nie rozmawialiście o jego atakach wściekłości? O tym, jak bił mnie do krwi? O tym, jak za każdym razem uciekałam do innego motelu, bo za bardzo się wstydziłam pójść dwa razy w to samo miejsce z twarzą zasłoniętą w środku nocy ciemnymi okularami? Nigdy o tym nawet nie wspomniał?

Milczenie.

- O Boże. Niedobrze mi. - Isabel chwyta stojącą na podłodze torebkę, wstaje i sięga po płaszcz. - Jest mi fizycznie niedobrze.

- Isabel, zaczekaj. - Pat rozpaczliwie stara się znaleźć coś, co mogłaby powiedzieć.

- Mam czekać? Na co? Aż pani zrobi to, co do pani należy, i odgadnie, dlaczego pani pacjent w ogóle przyszedł na terapię? Mam czekać, aż mój własny mąż mnie zabije? Jezu! Nic dziwnego, że wcale nie stał się mniej agresywny! Przez cały czas kłamał. Niczego nie przerobił. Chyba zwymiotuję.

Wybiegła z gabinetu, dopadła drzwi na ulicę, zatrzymała się na chodniku i wzięła głęboki oddech, jakby się dusiła.

TLR

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Isabel czuła się zagubiona w swojej depresji jak australijski owczarek bez stada owiec. Widok pasterskiego psa, z wdziękiem krążącego dokoła zagubionego stada, jest piękny. Raz przyspiesza, raz zwalnia, odsuwa się na bok albo rzuca do przodu - każdy jego ruch przepełniony jest intensywnością. Głęboko, w samym sercu instynktu kryje się prosta, nieświadoma potrzeba zadowalania innych.

- Isabel, wydajesz się dzisiaj przygnębiona - zauważa terapeutka. - Czy jest jakiś szczególny powód?

*Po prostu powiedz mi, czego ode mnie oczekujesz. Powiedz mi, kim mam być, a stanę się taka.*

Codziennie spotkania z terapeutką, psychofarmakologiem, pielęgniarką z oddziału, a potem terapia grupowa z Larrym... Isabel zaczyna mieć tego dość. Udawanie, że wchłania się wszystkie dobre intencje otaczających ją fachowców od zdrowia psychicznego, jest wyczerpujące. Jest ich za dużo; czuje się przytłoczona.

*Jeśli się nad tym zastanowić, jest to pranie mózgu: wszyscy ci powtarzają, że jesteś wartościową osobą, że nie powinnaś traktować śmierci jako możliwości wyboru, że jesteś warta więcej... Tak jakby mieli nadzieję, że zaczniesz się czuć lepiej przez osmozę. Ze wchłoniesz w siebie intensywne pragnienie życia. Dlaczego to nie działa?*

„Miała wszystko... robiła karierę jako reporterka telewizyjna dla największych sieci, miała męża i krąg bliskich przyjaciół... dowiedz się, co poszło nie tak... Niedziela wieczór, tylko w Lifetime, Telewizji dla Kobiet”.

- Isabel, myślę, że musimy jeszcze raz pomówić o metodach twojego leczenia - mówi doktor Seidler. - Czy zastanawiałaś się nad tym, o czym rozmawialiśmy wcześniej? Wydawałaś się wtedy bardzo zdeenerwowana. W tym tygodniu codziennie próbowałam z tobą rozmawiać o terapii EW, ale nie podejmowałaś tematu. Isabel?

Isabel wpatruje się w indiańską tkaninę wiszącą na ścianie nad biurkiem lekarki. Słowa dochodzą do niej zmienione, jakby znajdowała się pod wodą.

- Muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem zakres naszych możliwości zaczyna się wyczerpywać. Terapia elektrowstrząsami niesie ze sobą najmniej zagrożeń i daje największe szanse na poprawę twojego stanu. Jak myślisz?

*Czasami, jeśli patrzy się na coś odpowiednio długo, można prawie wpaść w trans. Coś w rodzaju snu z otwartymi oczami.*

- Isabel? Dobrze się czujesz? Isabel?

Jaskrawe kolory wełnianego gobelinu zlewają się ze sobą.

- Isabel? Czy rozumiesz, że jako twoja lekarka mam prawo działać dla twojego dobra, jeśli jestem przekonana, że zagrożone jest twoje bezpieczeństwo? Inaczej mówiąc, nie potrzebuję koniecznie mieć twojej zgody na zmianę terapii i zaczynam uważać, że będę musiała skorzystać z tej możliwości...

*Bardzo często używa słowa „możliwość”. Ile już razy padło? Dwa?*

*Nie, trzy. A może dwa.*

- Isabel, słyszysz mnie?

*Ten głos brzmi jak zgrzytanie noża po szkłe.*

- Isabel?

TLR



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- Od kogo zaczniemy dzisiaj? - Larry otwiera sesję, chodząc po sali.

To, co nawet w normalnych okolicznościach byłoby raczej irytujące, grupę niespokojnych pacjentów z zaburzeniami psychicznymi doprowadza do szału. Niektórzy znerwicowani, inni paranoidalni, wszyscy niespokojnie wiercą się na swoich krzesłach, starając się nie stracić Larry'ego z oczu. W końcu terapeuta zatrzymuje się za składanym metalowym krzesłem Bena i pozostali oddychają z ulgą.

- Ben?

- Mhm, co, Larry? - Ben siedzi sztywno wyprostowany, jakby nie odrobił lekcji.

- Od dłuższego czasu nie mówiłeś nic o sobie. Może porozmawiamy o tym, co się z tobą teraz dzieje.

- Co się ze mną dzieje, Larry? - Ben ma irytujący zwyczaj powtarzania imienia swojego rozmówcy przy każdej odpowiedzi. - Jestem tutaj na sesji, Larry. - Choć zdumienie Bena jest najzupełniej szczere, a jego dosłowna interpretacja pytania jak najbardziej poważna, reszta grupy wybucha śmiechem.

Larry traktuje go łagodnie.

- Chciałem zapytać, Ben, jak się ostatnio czujesz?

- Aha! Dobrze się czuję, Larry. Bardzo dobrze.

- Larry czeka na coś więcej. - Um, ale już się nie mogę doczekać, kiedy się dowiem, gdzie stąd pojedę. Mówili mi, że czekają na wiadomość, czy znajdzie się dla mnie łóżko na ranczu Strawbridge.

- Może opowiesz nam wszystkim o Strawbridge.

- Jasne! - Ben najwyraźniej świetnie się czuje, pozostając w centrum uwagi. - Strawbridge jest trochę jak dom. Tam jest fajnie, bo pracujemy na ranczu

- doimy krowy, karmimy kury i inne takie rzeczy. Nie ma dzikich zwierząt, tylko oswojone, takie z farmy. Jest super! I słyszałem, że dają tam bardzo dobre jedzenie. Niesamowite jedzenie, Larry. Jedna pielęgniarka mówiła mi, że tam są najlepsze na świecie racuchy z jagodami. Nie wiem, jak często je robią. Może raz na tydzień albo jakoś tak... ale, pomyśl tylko, racuchy z jagodami! Wyobrażam sobie, jak muszą smakować!

Melanie znów wybucha śmiechem. Ben jest tak przejęty, że w kąciakach jego uśmiechniętych ust gromadzą się kropelki śliny.

- To dobrze, Ben. Dobrze. Daj nam znać, gdy dostaniesz stamtąd wiadomość.

- Pewnie, Larry. Na pewno wam powiem. - Ben jest nieco rozczarowany, widząc, że jego czas się kończy i Larry przechodzi do następnej osoby.

- Melanie, a co u ciebie? - Larry skupia się teraz na Melanie, bo ta wciąż się śmieje z zachwyty Bena nad racuchami.

- No wiesz... - Wyraźnie widać, że Melanie czuje się tego dnia dobrze. Jej ożywienie i euforia tym bardziej uwidaczniają pustkę i odrętwienie Isabel. Melanie rozgląda się po sali, żeby sprawdzić, czy Ben

wszystkim wydaje się tak zabawny jak jej, i dopiero wtedy zaczyna mówić: - Tak mi coś przyszło do głowy. My wszyscy opowiadamy, dlaczego się tutaj znaleźliśmy, a Ben gada tylko o miejscu w Strawbridge. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, dlaczego on się tu znalazł.

W sali zapada cisza. Po śmiałych słowach Melanie wszyscy przenoszą wzrok z Bena na Larry'ego i z powrotem, zupełnie jakby Melanie rzuciła im rękawicę.

- To zależy od Bena, Melanie. Każdy z was sam decyduje o tym, czym chce się podzielić z grupą.

- Tak, ale na nas zawsze naciskasz. Któregoś dnia Isabel nie chciała mówić o sobie, a ty ją zmusiłeś. Ze mną też tak kiedyś zrobiłeś.

- Masz rację, Melanie, ale nie zapominaj, że jestem fachowcem. Wyszkolono mnie tak, żebym wiedział, kiedy należy na kogoś naciskać, a kiedy lepiej zostawić go w spokoju. To zależy wyłącznie od Bena, czy zechce opowiedzieć, co go tutaj sprowadziło. Ben? Czy chciałbyś coś powiedzieć?

Ben wydaje się zdziwiony i zadowolony, że stał się przedmiotem dyskusji.

- Mhm. No wiesz, Larry, ja nie mam problemu z mówieniem o tym. Jeśli Melanie jest ciekawa, to mogę opowiedzieć. - Poprawia grubą, kwadratową okulary i siada wygodniej na krześle.

Melanie również wydaje się zdziwiona, że tak łatwo jest namówić Bena do opowiadania o sobie.

- To się chyba zaczęło od tego, że mnie aresztowano. Może o tym słyszeliście... Aresztowali mnie jako terrorystę, bo podobno groziłem,

że wysadzę w powietrze moją szkołę - oznajmia Ben ze skrywaną dumą.

- A dlaczego groziłeś, że wysadzisz szkołę? - odważa się zapytać Larry, choć zna odpowiedź.

- Ale ja wcale nie groziłem szkole! - krzyczy Ben. Błyskawiczne przejście od dziecinnego entuzjazmu wobec racuchów do dorosłej wściekłości na niesprawiedliwość życia zdumiewa całą grupę. Larry nie próbuje go uciszyć, tylko spokojnie obserwuje rozwój sytuacji.

- Przepraszam, Larry. Nie groziłem całej szkole - powtarza Ben - tylko mojemu nauczycielowi.

To sprostowanie chyba u nikogo nie wywołuje ulgi.

- Nazywał się pan Rickson i uczył mnie w dziewiątej klasie. Zaniósł te listy na policję. To on zepsuł mi opinię i powiedział im, że jestem terrorystą. A ja tylko do niego napisałem. Napisałem do niego kilka listów.

- Ile listów do niego napisałeś, Ben? - Znowu wydaje się, że Larry dobrze zna odpowiedź na to pytanie.

- Nie wiem. Chyba dużo. Może dwadzieścia. A może trzydzieści. Nie wiem. Ale chodzi o to, że...

- I dlaczego do niego pisałeś?

- Dlaczego? Dlaczego do niego pisałem, Larry?

- Tak. - Larry gładzi się po brodzie.

- Pisałem do niego, bo mnie upokorzył. Przy całej klasie. Larry, on powiedział, że jestem głupi. Nie wolno tak mówić dziecku, wiesz? Powiedział, że jestem idiotą. Za każdym razem, kiedy się do mnie zwraca-

cał, mówił „ty idioto”. Kazał mi stanąć na środku i przy całej klasie powtarzać za nim: „Jestem idiotą”.

Ben nie patrzy Larry'emu w oczy.

- I wyjaśniłeś mu to, kiedy do niego pisałeś? Wyjaśniłeś, że nie powinien cię upokarzać?

- Tak. Napisałem mu to. Napisałem, jak bardzo byłem wtedy wściekły. I że miałem ochotę go zabić albo coś w tym stylu. Nie pamiętam. Pisałem w tych listach dużo rzeczy. Wiem, że nie trzeba było ich wysyłać. – Ben dodaje to ostatnie zdanie bez przekonania, powtarzając coś, czego być może nauczył się w Three Breezes.

- I co się potem stało? Wysyłałeś te listy i co się potem zdarzyło?

- Wysyłałem te listy. Pisałem przynajmniej jeden dziennie. On chyba je zachował. Składał je wszystkie, nie wiem. A potem odpisał mi. Napisał, że nigdy mnie nie upokarzał! Jego prawnik do mnie napisał, że nic nie wie o takich zdarzeniach, jakie opisywałem, i żebym lepiej przestał pisać.

- I co było dalej?

- No, chyba trochę się wściekłem, Larry – przyznaje Ben nieśmiało.

- Co zrobiłeś?

- Ja, tego... - Ben wygląda żałośnie. Lekarstwa sprawiły, że potrafi już odróżniać dobro od zła i wie, że jego zachowanie było bardzo groźne. - Ja, no...

- Nie bój się, Ben. Tu jesteś bezpieczny – zapewnia go Larry łagodnie.

- Zamaskowałem się i poszedłem do jego klasy. Poszedłem do szkoły i wszedłem na jego lekcję.

- Ale nie byłeś już wtedy uczniem, prawda?

- Nie! Mówiłem ci przecież, Larry! On mnie uczył w dziewiątej klasie! Przepraszam, przepraszam cię, Larry. Nie. On był moim nauczycielem osiem lat temu.

- I co się wtedy stało? - Larry sprawia wrażenie, jakby słyszał tę historię po raz pierwszy.

- Miałem stary, używany granat i trzymałem go przed sobą tak, jakbym chciał na niego rzucić. W niego. Tak jakbym chciał rzucić tym granatem do niego. Ale nie chciałem! To znaczy, ten granat był używany! Każdy, kto ma rozum, powinien to zauważyć! I kto teraz jest głupi, panie Rickson? Co? Kto teraz jest idiotą? Tak właśnie do niego powiedziałem. Szkoda, że tego nie widzieliście... - Ben uśmiecha się do swoich wspomnień. - Szkoda, że nie widzieliście miny tego sukinsyna, kiedy wszedłem do klasy. Mało brakowało, a wlaźby pod biurko. Chyba go zaskoczyłem, bo wtedy, kiedy mnie uczył, nie byłem jeszcze taki duży. Potem urosłem - opowiada Ben z dumą. - No i o mało się nie zersnął ze strachu. Och. Przepraszam. Przepraszam, Larry, że zakląłem. Trząśł się jak małe dziecko. „I kto teraz jest głupi, panie Rickson? Co? Kto jest głupi?”. Tak go zapytałem, a on stał tam jak kołek. O mało się nie zlał w portki.

- Ben, czy to właśnie wtedy pan Rickson wezwał policję?

- Nie. Właściwie nie wiem, kto po nich zadzwonił. Jak już wystraszyłem pana Ricksona, to poszedłem korytarzem do gabinetu dyrektora. Miałem na sobie magazynki z amunicją i wyglądałem cholernie śmiesznie. Och. Przepraszam. Przepraszam, że znów zakląłem, Larry. Miałem na sobie dużo magazynków z amunicją, więc chyba trochę się

zdenerwowali. Możliwe, że to dlatego zadzwonili po policję. Ale ja nie chciałem zrobić. Tylko chciałem im pokazać, że już nie będą mnie traktować jak śmiecia. Chciałem, żeby zobaczyli, że nie jestem głupi. I żeby zrozumieli, że nie można takich rzeczy robić małym dzieciom. Larry, nie wolno mówić dziecku, że jest idiotą. Nie wolno tak robić.

Larry podchodzi do krzesła Bena i łagodnie kładzie rękę na jego przygarbionym ramieniu.

- Tak, Ben. Masz rację. Nie powinno się robić takich rzeczy. Ben, nie jesteś wcale głupi. Chorujesz na chorobę, która nazywa się schizofrenia. Teraz o tym wiesz, prawda?

- Tak. Tak, Larry. Wiem. Jestem schizofrenikiem - mówi do całej grupy. - No i wellbutrin! Larry, wellbutrin uratował mi życie, wiesz o tym? Musiałem to powiedzieć. To niesamowite lekarstwo...

- Ben, jestem z ciebie dumny - wtrąca szybko Larry, żeby powstrzymać potok zachwytów Bena nad lekarstwem. To jeden z jego ulubionych tematów. – Już od dawna nie powiedziałaś tak dużo o tych listach. Myślę, że wykonałeś tu sporo dobrej roboty.

Isabel jest zdumiona, że Ben, odrażający, lecz dziwnie fascynujący olbrzym, to ten sam chłopiec, o którym kiedyś czytała w gazetach.

- Larry, czy mogę jeszcze coś powiedzieć? – pyta Ben niewinnie.

- Oczywiście, Ben. - Larry jest równie zaciekawiony jak reszta grupy, z wyjątkiem, oczywiście, Sukanyi.

- Chodzi o to, że... - Ben przez chwilę wydaje się zagubiony. - No bo... wiesz... gdyby nie wellbutrin, to chyba bym już nie żył. Wiem, że już bym nie żył. Nie żyłbym już, Larry.

Melanie wydaje głośny jęk, a potem z uśmiechem sięga po butelkę wody.

- Wiem, Ben - wzdycha Larry. - Wiem.

W tej chwili drzwi otwierają się z rozmachem i pojawia się w nich pielęgniarka, Connie.

- Larry? Przepraszam, że przeszkadzam, ale potrzebujemy twojej pomocy - mówi i dorzuca do tego znaczące spojrzenie, które mówi, że to coś bardzo pilnego.

- Zostawcie mnie w spokoju!

Przez otwarte podwójne drzwi do świetlicy wpada przenikliwy krzyk. Larry pośpiesznie zakończył spotkanie i znika właśnie za rogiem w tej części oddziału, gdzie znajdują się pokoje chorych.

- Dajcie mi spokój!

Isabel nie zwraca najmniej szej uwagi na to, że kazano im pozostać w świetlicy. Chce wrócić do swojego pokoju. Przy drzwiach dobiega ją znajomy głos.

-Larry? Larry, proszę cię, powiedz im, żeby zostawili mnie w spokoju! Proszę!

Wygląda za załom korytarza i dostrzega Connie stojącą przy drzwiach pokoju Lark w towarzystwie sanitariusza. Sanitariusz to Nick, przysadzisty syn Connie, który wakacyjną pracą w Three Breezes zarabia na naukę. Prawie wcale nie rozmawia z pacjentami, jakby ich zaburzenia były zaraźliwe. Isabel nie czuje się dobrze w jego towarzystwie - akademicka atmosfera, jaką Nick wokół siebie roztacza, zupełnie nie pasuje do tego miejsca. Wyczuwa, że Nick skrzętnie kolekcjonuje



opowieści ze szpitala, by je potem powtarzać przy piwie kolegom w akademiku.

- Lark! - krzyczy Larry.

Naraz Connie obraca się na pięcie i biegnie w stronę dyżurki pielęgniarek. Wymija Isabel, w ogóle jej nie zauważając.

Gdy Isabel znów spogląda w stronę pokoju Lark, Nicka już tam nie ma.

- Isabel, wróć, proszę, do świetlicy - rzuca Connie przez ramię, śpiesząc do pokoju Lark z „zestawem narzędziowym” w ręku. Jest to walizka, po którą pielęgniarki zawsze sięgają w nagłych wypadkach.

Isabel nie ma zamiaru usłuchać. Connie zresztą i tak zniknęła już w pokoju Lark. Wzdryga się nerwowo, gdy za jej plecami przebiega dwóch mężczyzn. Idąc korytarzem, słyszy kilka niezrozumiałych, zartartych przez trzaski poleceń dobiegających z krótkofalówek, które mają przypięte przy paskach.

*To nie wygląda dobrze.*

Po chwili Nick i jego matka wycofują się z pokoju, żeby zrobić przejście pozostałym. Pojawia się Larry. Wzrok, smutny i czymś zaabsorbowany, ma skupiony na podłodze. Idzie korytarzem w stronę Isabel. Ramię ma owinięte bandażem.

Potem dwaj sanitariusze wynoszą obandażowaną Lark. Isabel patrzy na tę trójkę; środkowy element zwrócony jest głową w jej stronę. Wie, że będzie musiała się przesunąć, żeby ich przepuścić, ale ciało ma jak sparaliżowane. Hipnotyzuje ją kaftan bezpieczeństwa.

Gdy cała trójka przechodzi obok niej, czuje na sobie wzrok Lark, ale nie potrafi na nią spojrzeć. Wracając do świetlicy, widzi jeszcze, jak sanitariusze zamykają Lark w izolatce. *Izolatka.*

- O co chodzi? Co się tam dzieje? - dopytuje się spanikowana Melanie.

- Co?

- Ziemia do Isabel. - To Ben. Uśmiechnięty Ben. Ben psychopata.

Isabel patrzy po wszystkich twarzach, jakby widziała tych ludzi pierwszy raz w życiu.

-Isabel? Melanie do ciebie mówi!

- Och, przepraszam. - Isabel szuka słów. - Nic nie widziałam - kłamie.

- Nic? Przecież coś musiałaś zauważyć! To na pewno coś z Lark. Tylko jej nie było tutaj na zajęciach. Chyba że to ta nowa z pokoju Keishy.

-Mówię przecież, że nic nie widziałam.

Cała grupa nadal stoi tuż przy drzwiach. Isabel, zgodnie z zaleceniami Larry'ego, idzie na drugi koniec sali i siada na krześle obok Sukanyi. Obydwie patrzą przed siebie w przestrzeń.

*Wyglądamy jak chora wersja tego obrazu z parą farmerów, mężem i żoną. Jak to Się właściwie nazywało? Tam były jeszcze widły. „Amerykański gotyk”! O, właśnie.*

Powoli, w milczeniu, Isabel przybliżyła się o kolejny krok do depresji, która nieustannie czyha na nią tuż za rogiem.

*Co jest ze mną nie tak? Co mi jest?*

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Podczas tegorocznej uroczystości rozdania nagród Grammy stare znowu stało się nowe. Na liście nominowanych znaleźli się Beatlesi i Eric Clapton. Również Rolling Stonesi byli kandydatami do nagrody. Jednak pomiędzy starymi nazwiskami trafiają się i nowe i dzięki takiej kombinacji niewątpliwie na długo zapamiętamy dzisiejszy wieczór.

Z Nowego Jorku dla Wiadomości ANN mówiła Isabel Murphy.

- Kiedy wchodzimy na wizję? - zapytała Isabel Toma. - Zdażę jeszcze pobiec do łazienki?

- Zdażysz - odpowiedział, spoglądając na zegarek. - Dziesięć minut. Zaczyna się odliczanie.

- Dobra, żołnierzu. Przerwa na papierosa. Zaraz wracam.

- Dziewięć minut i pięćdziesiąt sześć sekund.

Z trudem przeciskała się pod prąd przez napierający tłum fanów i pracowników studiów nagrań, którzy parli do przodu, by zająć miejsca przed rozpoczęciem ceremonii.

- Przepraszam. Przepraszam - powtarzała, starając się zachować uprzejmy ton głosu.

Ochroniarz wskazał jej kierunek. Pośpiesznie wbiegła do kabiny, a potem umyła ręce, osuszyła, poprawiła sukienkę i wychodząc z toalety, wpadła prosto na plecy jakiegoś mężczyzny, który blokował przejście.

- Och! Przepraszam, czy mogę przejść? - zapytała, łapiąc oddech.

Mężczyzna odwrócił się twarzą do niej i Isabel poczuła, że ze zdumienia nogi jej wrastają w ziemię. To był Alex.

- Cześć! - zawołał z teatralną wesołością. – No popatrz, że też cię tu spotkałem!

- Alex! - Pobiegła wzrokiem w kierunku, gdzie przy stanowiskach kamer powinien się znajdować Tom, ale nie mogła go dostrzec poprzez morze głów.

- Skąd ty się tu wzięłeś?

Alex powiódł wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem i gdy znów na nią popatrzył, usta miał wykrzywione w uśmiechu godnym Gargamela.

- Nie chcę cię zatrzymywać - oświadczył. - Widzę, że się śpieszysz. Jeśli chcesz, to mogę cię tam odprowadzić.

- Nie - odpowiedziała trochę za szybko, pragnąc uniknąć sceny między Tomem a Alexem. - Jak tu trafiłeś?

- Mam przyjaciół muzyków, którzy załatwili mi wejściówkę. Tak myślałem, że może cię tu spotkam.

- Jego uśmiech stawał się coraz szerszy.

- O co chodzi... śledzisz mnie? -Nie musiała jednak pytać; wiedziała, że właśnie tak było.

- Neeee - odrzekł lekko.

- Alex, muszę teraz lecieć. Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Nie poruszył się ani nie oderwał od niej wzroku.

- Słyszałeś, co powiedziałam? - Jej ton stał się niemal błagalny. - Przystaniesz wreszcie za mną chodzić? Alex, ja się ciebie boję.

Bez słowa odsunął się na bok i uklonił się ironicznie, zamiatając podłogę piórem wyimaginowanego kapelusza.

- No, jesteście wreszcie! - zawołał Tom z ulgą. – Już się o ciebie pytali. Podłącz się i porozmawiaj z producentem.

Isabel przełożyła kabelek mikrofonu pod ramiączkiem sukienki i przypięła mikrofon do kołnierzyka, a potem nałożyła słuchawkę i wyregulowała poziom dźwięku.

- Halo? Raz, dwa, trzy. Mówi Isabel Murphy. Próba mikrofonu. Raz, dwa, trzy.

- Cześć, Isabel - odezwał się nerwowy głos producentki. - Tu Paula. Czy możesz wejść za jakieś dwie minuty? Wiem, że to za wcześnie, ale mamy tu katastrofę i musimy czymś wypełnić lukę.

- Dobrze - odpowiedziała Isabel. - Dwie minuty.

- Ozłocę cię. Wielkie dzięki.

*Jezu, o czym ja mam mówić?*

Obejrzała się przez ramię, wzrokiem szukając w tłumie Alexa. Serce dudniło jej głośno, w uszach słyszała odgłos tętna. Wiedziała, że on jest gdzieś niedaleko. Uczucie mrowienia w karku wciąż się utrzymywało.

*Gdzie on jest?*

Pod galerią łóży dla reporterów, na wielkim ekranie zawieszonym nad sceną, słynny rockman odbierał właśnie swoją nagrodę.

- Jeszcze minuta, Isabel - powiedział głos w słuchawce.

Szybko przekartkowała program uroczystości, ale litery zlewały jej się w oczach.

- Trzydzieści sekund.

*Uspokój się. Uspokój się.*

Jeszcze raz spojrzała na tłum i zastygła. Alex stał oparty o ścianę dwa metry od niej. Źrenice gwałtownie rozszerzyły jej się z lęku i musiała przymrużyć oczy, by odnaleźć wzrokiem wizjer kamery. Czuła pulsowanie w skroniach.

*Skup się.*

W jej uchu rozlegał się podniecony głos prowadzącego program w studiu.

- A teraz połączymy się z Isabel Murphy w nowojorskim Madison Square Garden. Isabel? Słyszeliśmy, że na dziś wieczór zaplanowane są jakieś niespodzianki!

*Niespodzianki ?*

- Ach, tak... - Rozpaczliwie spojrzała ponad kamerą na Toma, który wyszedł zza wizjera i patrząc na nią ze zmartwioną twarzą, próbował jej coś przekazać samym ruchem warg.

*Co on mówi?*

- Przepraszam, Tom-wykrztusiła. *Pomyliłam imię. Pomyliłam imię!*  
- Ta wspaniała muzyka w tle sprawia, że trudno tu coś usłyszeć. Dokoła jest bardzo głośno.

Tom znów schował się za kamerą.

*Dam radę.*

- Rozumiem, Isabel. - Prezenter w studio wydawał się równie zdenerwowany jak Tom. - Powiedz, co do tej pory było dla ciebie największym zaskoczeniem dzisiejszego wieczoru?

*Alex.*

*Nie. Nie myśl o tym. Skup się. Nagrody Grammy.*

- Keith Richards - udało jej się powiedzieć głośno. Tom znów wysunął głowę zza kamery.

*Matko, czy on nie rozumie, że ja się próbuję skupić? Co on znowu chce mi powiedzieć?*

- Miał tu dzisiaj wystąpić - ciągnęła jak przez sen - ale z jakiegoś powodu uznano, że nie jest wystarczającą atrakcją, i odebrał swoją nagrodę przez satelitę...

Tom unieruchomił kamerę na statywie i zbliżał się do Isabel.

*Jak tu okropnie gorąco.*

- To chyba zaskoczyło mnie najbardziej. Wszyscy wcześniej mówili, że będzie to jego pierwszy w historii solowy występ na żywo.

*Dlaczego Tom na mnie krzyczy?*

*Może powinnam już skończyć.*

Głos w jej uchu coś mówił, ale nie potrafiła rozróżnić słów na tle chaotycznego szumu w umyśle.

- To wszystko na razie - wyskrzeczwała. Po piersiach spływał jej zimny pot. - Oddaję ci głos, Tom.

Ostatnią rzeczą, jaką zauważyła, zanim ogarnęła ją ciemność, była gasnąca lampka kamery.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

*Co się ze mną dzieje? Nie mogę się wybudzić z tego odrętwienia.*

- Czy Lark ma w sobie coś, co cię porusza? – pyta doktor Seidler. -  
Może mi opowiesz, co czułaś, gdy widziałaś, jak ją wyprowadzają?

*Odrętwienie. Czułam się odrętwiała. Nie możemy nic zrobić, by ocalić siebie...*

Nie potrafi jednak ubrać tych myśli w słowa.

- Czy od tamtej pory dużo myślałaś o Lark?

*Pani doktor, widzę, że dokłada pani wszelkich wysiłków, by mnie ocalić... ale proszę nie zawracać sobie tym głowy. Proszę mnie zostawić w spokoju. To wszystko. Lark też chciała... żeby ją zostawić w spokoju. Ja też nic więcej nie chcę.*

- Isabel, musimy porozmawiać o EW.

*Racja. Spróbujcie potrząsnąć moim umysłem, żeby znów zaczął normalnie funkcjonować. Spróbujcie wstrząsnąć moim ciałem, żeby wróciło do rzeczywistości. To jest rozwiązanie, prawda? Chcecie pomieszać mi w głowie, żebym już więcej nie była smutna, żebym potrafiła funkcjonować jak „normalny” człowiek. Żeby łatwiej mi było tolerować to ogłupiające życie, które prowadzę. Ale nic z tego nie wyjdzie... znam już rozwiązanie zagadki: życie nie ma żadnego sensu. Nic nie ma żadnej wartości. Gdy się już raz to zrozumie, nie ma powrotu.*

- Myślę, że ta terapia mogłaby ci przynieść ogromne korzyści. Naprawdę jestem o tym przekonana, w innym wypadku bym ci jej nie



proponowała. Ale chciałabym wiedzieć, jeszcze raz spróbuję zapytać, po raz ostatni, jakie jest twoje zdanie. Czy możesz mi powiedzieć, co o tym myślisz?

*Nic nie myślę.*

- W takim razie wszystko jasne - mówi lekarka stanowczo, uważnie obserwując reakcję Isabel. - Zabieg jest przygotowany na jutro rano.

Zapisuje coś w swoich papierach. Isabel ma wrażenie, jakby znajdowała się pod sufitem niewielkiego gabinetu i stamtąd patrzyła, jak doktor Seidler wykonuje kolejny ruch w tej partii szachów.

W takim razie wszystko jasne zabieg jest przygotowany na jutro rano. W takim razie wszystko jasne zabieg jest przygotowany na jutro rano.

- Wyśpij się dzisiaj dobrze i do zobaczenia jutro. Nie jedz śniadania. Pójdziemy tam (*Tam... tam... wyślij wiadomość... tam... Jankesi nadchodzą...*) razem z samego rana.

Isabel wraca do swojego pokoju.

- Isabel? - Śpiewny głos Julie, pielęgniarki z dziennej zmiany.

Isabel zauważa, że na metalowym zacisku podkładki do papierów widnieje wypisane wielkimi literami nazwisko Julie. Każda kreseczka jest zakończona pętelką, zupełnie jak w podpisie uczennicy liceum.

*Ona chyba wciąż nakręca włosy na wałki i tapiruje.*

- Isabel, zaraz zaczynają się grupowe zajęcia, chyba nie zapomniałaś? Idziemy na basen! Wskakuj w kostium kąpielowy. Cała grupa już czeka! - Każde zdanie wypowiedane przez Julie kończy się wykrzyknikiem.

*Jeśli czekają na mnie, to mogą sobie czekać do skończenia świata.*

- Isabel, skarbie, chyba nie usłyszałaś, co mówiłam...

*Od tego twojego swiergotliwego głosu ogarnia mnie ochota, by wydrapać ci oczy.*

- Nie - mówi Isabel i zamyka drzwi tuż przed nosem Julie.

Naraz przychodzi jej do głowy, że Julie jest przerażająco podobna do Joanie z filmu „Happy days”.

Ta noc przypomina cieknący kran: minuty kapią jedna za drugą w desperacko powolnym tempie. Isabel leży w łóżku, prawie zupełnie sparaliżowana ze strachu.

*Jak do tego doszło? Jak to się stało, że wylądowałam w tym miejscu? Boże... wiem, że od lat nie byłam w kościele i używam twojego imienia nadaremno, i czasem nawet wątpię w twoje istnienie, więc nie mam prawa o nic cię prosić... ale proszę, proszę - jeśli mnie słyszysz, to proszę, pomóż mi. Proszę, nie dopuść do tego, żeby mnie poddali elektrowstrząsom. Zrobię wszystko, co zechcesz. Naprawdę. Będę opowiadać o sobie podczas terapii. Będę współpracować ze wszystkimi lekarzami, jacy tu są. Będę pracować nad sobą, i wszystko, co tylko zechcesz. Ale proszę, nie pozwól na te elektrowstrząsy.*

Obraca się na brzuch i próbuje zasnąć, ale przeszkadza jej w tym echo własnego oddechu odbijające się od sprężyn materaca.

- Isabel? - Ktoś puka do drzwi. - Isabel? Tu doktor Seidler.

*Och, Boże. Och, Boże, nie.*

Mdli ją z wyczerpania, a na myśl o tym, że lekarka przyszła tu, by ją zaprowadzić na zabieg elektrowstrząsów, robi jej się jeszcze bardziej niedobrze.

- Dzień dobry - mówi doktor Seidler, starając się, by jej głos nie brzmiał zbyt ponuro. - Poczekam na korytarzu, aż się ubierzesz.

*Co ja mam włożyć? Co miała na sobie Francis Farmer?*

Isabel porusza się mechanicznie jak zombi. Naciąga szorty i bawełnianą koszulkę, stopy wsuwa w klapki od JP Todda i staje przed lustrem.

*Jezu Chryste.*

Otwiera drzwi i ostrożnie wysuwa się na korytarz.

- Jesteś gotowa? - pyta terapeutka i nie czekając na odpowiedź, rusza przed siebie.

- Wyobrażam sobie, że bardzo się boisz - mówi, skręcając na ścieżkę, która prowadzi do oddziału zabiegowego. - Trudno się dziwić, zawsze boimy się tego, czego nie znamy. Ale chciałabym cię zapewnić, że zanim zaczniemy cokolwiek robić, najpierw wyjaśnimy ci, jak to działa i czego możesz się spodziewać, żebyś potem nie czuła się zaskoczona. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że będziesz najbardziej zaskoczona, kiedy się przekonasz, jakie to proste.

*Łatwo ci mówić.*

Isabel wpatruje się w ścieżkę pod nogami. W ustach czuje gorzko-kwaśny posmak.

- Technik i lekarz, którzy przeprowadzają te zabiegi, będą tam przez cały czas i odpowiedzą na wszystkie twoje pytania.

Isabel wpada w panikę.

- A pani? Pani przy tym nie będzie?
- Zaprowadzę cię, ale kiedy przejdiesz do pokoju zabiegowego, będę musiała wyjść.
- Dlaczego? - dopytuje się Isabel z niepokojem, ale w odpowiedzi słyszy tylko:
  - Będziesz w dobrych rękach. Nie martw się, Isabel. Nawet nie zauważysz, że mnie tam nie ma.

Resztę drogi przebywają w milczeniu. Ścieżka przecina park. Doktor Seidler idzie szybkim krokiem, ale od czasu do czasu zwalnia i czeka, aż wlokąca się niemrawo Isabel zrówna się z nią. Budynek, do którego zmierzają, najbardziej ze wszystkich w całym kompleksie przypomina zwykły szpital.

Gdy przechodzą obok jadalni, drzwi otwierają się i na zewnątrz wysypuje się grupa dzieci. Jest wśród nich również mały Peter; jak zwykle snuje się na samym końcu. Mijając Isabel, po raz pierwszy spogląda jej prosto w oczy. Na krótką chwilę ogarnia ją niewypowiedziany spokój.

*Nie dopuść do tego, Peter. Nigdy w życiu nie pozwól, żeby i ciebie coś takiego miało spotkać.*

Ale Peter znowu patrzy pod nogi, wypatrując mrowisk, które należy starannie ominąć.

Budynek oddziału zabiegowego jest nietypowy pod tym względem, że nie ma tu ani jednego ozdobnika, żadnego elementu architektonicznego, który służyłby wyłącznie dekoracyjnym celom. Isabel wkracza tu w zupełnie nowy świat: na korytarzach tłoczą się nieznajome pielęgniarki, dokoła snują się odwiedzający, którzy nie wiedzą, co zrobić z czasem, każdy zakątek przesiąknięty jest zapachami z odległego bufetu. Po trzech tygodniach spędzonych na małym, izolowanym oddziale

to miejsce sprawia surrealistyczne wrażenie. Przyśpiesza kroku i zrównuje się z doktor Seidler.

- Już jesteśmy na miejscu - mówi lekarka, zauważając jej zmartwioną twarz.

- Ile tu ludzi... - szepcze Isabel, rozglądając się dokoła szeroko otwartymi oczami.

- Wiem - doktor Seidler uśmiecha się przepaszająco. - Już od jakiegoś czasu powtarzam im, że do niektórych zabiegów przydałoby się spokojniejsze otoczenie. To już tutaj - dodaje, otwierając przed Isabel jakieś drzwi.

W tym skrzydle jest o wiele ciszej. Wchodzą do bezbarwnej poczekalni. Doktor Seidler wskazuje jej krzesło.

- Zaraz wrócę - mówi, kierując się w stronę nieoznakowanych drzwi po drugiej stronie poczekalni.

Serce Isabel zaczyna bić tak szybko, że czuje je aż w gardle.

- Dokąd pani idzie?

- Powiem im, że już jesteśmy. Nie martw się, zaraz wrócę.

Oddech Isabel staje się bardzo płytki.

*Och, Boże. Och, Boże.*

Obiega wzrokiem pomieszczenie, starając się znaleźć coś, na czym mogłaby skupić uwagę, ale nic takiego tu nie ma. Puste ściany poznaczone są śladami po gwoździach w miejscach, gdzie kiedyś wisiały obrazki. Przymruża oczy, żeby wyraźniej dostrzec prostokątne ślady przebarwień w tych miejscach.

*Dlaczego pozdejmowali te obrazki? Co w nich było złego?*

- Isabel? - Doktor Seidler stoi w otwartych drzwiach i przywołuje ją gestem.

*Jestem Alicją w krainie czarów. Przejdę przez drzwi w lustrze i zacznę się zmniejszać... zmniejszać... zmniejszać...*

Zapadła się w fotel tak głęboko, że koszulka na jej plecach podjechała do góry. Teraz, wstając, musi ją obciągnąć. Bez słowa, oddychając szybko i płytko, przechodzi przez pustą poczekalnię.

- Dzień dobry, Isabel.

*Ten facet wygląda jak aktor, który grał w „Pogromcach duchów”. Jak on się nazywał?*

- Jestem doktor Edwards i będę przeprowadzał zabieg. Może przejdziemy do gabinetu zabiegowego i tam pokażę ci dokładnie, jak to będzie wyglądało.

*Nie Bili Murray. Nie Don Ackroyd... inaczej.*

Idzie za dwójką lekarzy do gabinetu zabiegowego, przesyconego duszącym zapachem amoniaku.

*Harold Ramis! Wygląda zupełnie jak Harold Ramis.*

Doktor Edwards bez wstępów przechodzi do rzeczy.

- To urządzenie, na które patrzysz, służy do regulacji natężenia prądu elektrycznego, którym leczymy naszych pacjentów. Wiem, że wygląda przedpotopowo, ale to sprzęt najnowszej generacji. - Lekarz staje dumnie wyprostowany obok swego milczącego mechanicznego współnika w zbrodni.

*Najnowszej generacji? Chyba w latach sześćdziesiątych?*

- W gruncie rzeczy jest to bardzo prosty zabieg. Poprosimy cię, żebyś się położyła na tym stole i przyłożymy ci do skroni dwie elektrody, a potem ustawimy wskaźnik i po przekręceniu tego pokrętki popłynię

prąd. To trwa tylko chwilę. Możesz poczuć wstrząs, ale nie jest to bolesne. Kiedyś wkładano pacjentom do ust kawałki gumy, żeby nie odgryźli sobie języka, ale teraz już nie jest to potrzebne.

- Isabel? - Doktor Seidler mówi coś do niej.

Isabel ma wrażenie, jakby była zanurzona głęboko w wodzie. Słowa dochodzą do niej stłumione i zwolnione. Patrzy na poruszające się usta lekarki i wyobraża sobie, że przy każdym słowie unoszą się z nich małe bąbelki powietrza.

- Widzisz? Mówiłam ci, że to potrwa bardzo krótko - odczytuje z ruchu ust.

Lekarka dyskretnie zerka na zegarek i dotyka jej ramienia.

- I możesz się potem czuć trochę zmęczona... - Isabel obraca się i teraz patrzy na usta doktora Edwardsa.

Po każdym słowie ich dwojga kiwa głową. Mówią coś do niej, a potem do siebie nawzajem.

*Uśmiechnij się. Pokaż im, że wyglądasz jak obraz skrzywdzonej niewinności... uśmiechnij się! Hej, jestem Isabel Murphy, Wiadomości ANN. Bezpośrednia transmisja...*

Wysiłki, by wygiąć usta w kształt choćby odlegle przypominający uśmiech, zawodzą. To, co pojawia się na jej twarzy, bardziej przypomina nieszczęśliwy grymas. Doktor Seidler wydaje się zasmucony.

*Zabierz mnie ze sobą,* przekonuje ją Isabel telepatycznie.

Nic z tego. Lekarka znika.

- No dobrze, Isabel. Proszę, połóż się tutaj. - Pielęgniarka z potężną nadwagą wskazuje na szpitalne łóżko takim gestem, jakby było to pu-





## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

- Dobra, to najpierw pobiegamy, a potem kupimy bajgle na Chestnut Street - proponuje Alex. – Ale chodź, pobiegaj ze mną, zgoda?

Piasek jest tak miękki, że biegnie się po nim jak po melasie. Fale uderzają wysoko i nie da się biec samym brzegiem oceanu, nie narażając się na zupełne przemoczenie. Most Golden Gate na horyzoncie wydaje się nieosiągalny, choćby biegli w jego stronę nie wiadomo jak długo. Wiatr wieje im w plecy i delikatnie popycha do przodu.

- Isabel, goń mnie! Spróbuj mnie doścignąć! – woła Alex przez ramię. Uśmiecha się i przyśpiesza do sprintu. - Szybciej będziemy na miejscu! Pomyśl o bajglach i goń mnie! - Jego słowa docierają do niej z wiatrem.

*Nie dam rady, Alex. Zaczekaj.*

- Isabel?

*Alex!*

- Isabel?

*Gdzie ja jestem?*

Przymruża oczy i widzi sufit.

*San Francisco? Czy już kupiliśmy te bajgle?*

- Isabel! Isabel, obudziłaś się już?

*Och.*

Nad nią stoi uśmiechnięta doktor Seidler. Kształt jej głowy jest zniekształcony. Usta wydają się olbrzymie.

- Miałaś chyba niezwykły sen!

*To był tylko sen.*

- Mhm, tak. Gdzie ja jestem? - Isabel czuje się zupełnie zdezorientowana.

- W Three Breezes. Jesteś w szpitalu Three Breezes. Poznajesz mnie?

*Wydaje mi się, że Alex jest w tym pokoju. Dokąd on poszedł?*

- Co?

- Jestem doktor Seidler - mówi terapeutka. - Isabel, czas już na spotkanie. Czy czujesz, że dasz radę? Wydaje mi się, że jeszcze nie doszłaś do siebie. Może wolisz jeszcze trochę odpocząć?

- Chyba już wszystko w porządku. Czy mogę tylko włożyć dres? - Isabel próbuje poruszyć ramieniem. Mięśnie ją bolą jak po treningu kick-boxingu.

- Oczywiście. Za pięć minut w moim gabinecie. - Doktor Seidler kiwa głową i wychodzi.

*Boże, tęsknię do niego. Tęsknię tak bardzo, że to aż boli.*

Z trudem podnosi obolałe ciało, opiera się o brzeg łóżka i wybucha tak gwałtownym płaczem, że łóżko zaczyna się trząść, a zagłówek uderza o ścianę.

*Alex. Nie mam pojęcia dlaczego... ale tęsknię za tobą.*

- Dobrze się czujesz? - Doktor Seidler przygląda się Isabel, która niepewnie opada na krzesło, i notuje coś w swoich papierach.

- Mam wrażenie, jakbym spała kilka dni - przyznaje Isabel.

- Przespałaś jakieś szesnaście godzin. To zupełnie normalne - wyjaśnia lekarka. - Jeszcze przez kilka dni możesz się czuć zmęczona zaraz po obudzeniu. Po terapii elektrowstrząsami wielu pacjentów czuje się odurzonych. Najlepiej zrobisz, jeśli po prostu poddasz się temu i będziesz spała tyle, ile się da. Pomyśl o tym tak, że twój mózg musi się nareperować.

- Czuję się zupełnie wypoczęta.

- Isabel, pozwól, że o coś cię zapytam. Przed chwilą, gdy cię obudziłam... Czy pamiętasz, co ci się śniło?

- Alex. Śnił mi się Alex. - Sen był tak wyrazisty, że Isabel miała wrażenie, jakby przed chwilą naprawdę biegała po Chrissy Field w pobliżu przystani w San Francisco. - Był bardzo jasny, słoneczny dzień. Biegaliśmy jak w każdy weekend. Zwykle jechaliśmy na przystań, tam zostawialiśmy samochód i biegnęliśmy plażą do mostu Golden Gate. Przeważnie musieliśmy biec pod wiatr, więc było ciężko. Ale w tym śnie, pamiętam, że wiatr wiał nam w plecy. Tak jakby mnie popychał. Taki był ten sen. Jeśli się nad tym zastanowić, to chyba raczej nudny.

- Absolutnie nie. Nie dla mnie. Czy masz jakiś pomysł, co ten sen mógł oznaczać?

Isabel wpatruje się w swoje ręce, złożone na kolanach. Wydają jej się pomarszczone i obce. Dopiero po chwili przypomina sobie o pytaniu.

- Nie wiem. Chyba po prostu śniłam o przeszłości. Miłe wspomnienia związane z Alexem. Z tym Alexem, który był dobry i nie znęcał się nade mną. Gdy był szczęśliwy, ja zawsze czułam uniesienie...

jakby nic nie mogło nas dotknąć. Dlatego ten sen wydawał mi się dobry. A pani jak myśli, co on mógł oznaczać?

- Powiedziałaś, że wiatr cię popychał. Wiatr jest pierwotną siłą, czymś, co pozostaje poza naszą kontrolą. A w tym śnie wiatr cię popychał. I zauważyłaś, że w rzeczywistości, gdy biegaliście po plaży, zawsze było odwrotnie. W rzeczywistości siła wiatru działała przeciwnie niż we śnie. Czy nie sądzisz, że być może Alex był przeciwieństwem tego, czym wydawał ci się na początku? Z tego, co dotychczas mi powiedziałaś, był siłą, która czasami wyrywała się spod kontroli.

- Tak!

- A jednak to właśnie kontrola wydaje się stanowić sedno twoich problemów. Alex z pewnością chciał cię za bardzo kontrolować. Ale na początku mogło ci odpowiadać to, że on ma kontrolę nad sytuacją, bo twój ojciec takiej kontroli nie miał - zapewne dlatego że pił. Wydaje mi się, że to coś oznacza. Nie wspominałam ci o tym na początku, bo nie chciałam ci nic sugerować, ale typowe jest, że tuż po zabiegu elektrowstrząsami pacjenci śnią o wydarzeniach albo osobach, które najgłębiej ich poruszyły. Bardzo ciekawe jest to, że ze wszystkich doświadczeń twoja podświadomość wybrała akurat Alexa. Jak to rozumiesz?

- Nie wiem. - Isabel wciąż jest trochę senna i nie odzyskała jeszcze pełnej przytomności umysłu. - Wiem tylko, że miło było przypomnieć sobie coś dobrego związanego z Alexem, bo teraz wzbudza we mnie wyłącznie strach.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

- Huragan Charlie zrównał z ziemią tę małą, liczącą zaledwie ośmiuset siedemdziesięciu siedmiu mieszkańców miejscowość. W niecałą godzinę miasteczko zniknęło z powierzchni ziemi. Władze jednak uważają, że odniosły sukces, a to dlatego, że obyło się bez ofiar. Ani jedna osoba nie została ranna. Dokoła widać same ruiny. Tam, gdzie wcześniej stały domy, teraz leżą sterty pokruszonych cegieł, kamieni i gnijących desek. Ze sklepów i biur pozostało tylko rozbite szkło, pokruszony beton i pogięte pręty zbrojeniowe. Ale mieszkańcy miasteczka są dziś bardzo szczęśliwi. System wczesnego ostrzegania, który zainstalowali przed rokiem, ocalił ich wszystkich.

Z Puerto Rico dla Wiadomości ANN mówiła Isabel Murphy.

- Tom, zadzwonię do Johna i powiem mu, że już jesteśmy! - zawołała Isabel do kamerzysty, jednocześnie grzebiąc w torebce w poszukiwaniu komórki. - Ale sam wiesz, co trzeba zrobić - szerokie ujęcie głównej ulicy, zbliżenia tych ludzi chodzących po gruzach, i tak dalej.

- Przyjąłem - mruknął Tom z roztargnieniem, szukając w torbie ze sprzętem czystej taśmy. - Houston, już grzeję silniki. Startujemy za pięć minut.

- Metafory ci się pomieszały.

- Zapisz to. Ale teraz muszę zlokalizować taśmę. Aha! Namierzyłem wspomniany cel i jestem gotów do wykonywania dalszych poleceń, sierżancie.

- No dobra.

Tom wyprostował się z taśmą w rękę i utkwiał wzrok w czymś - kimś - na horyzoncie.

- Nadciąga - mruknął ciszej, tak że nikt poza Isabel go nie usłyszał.

Podniosła głowę i podążyła wzrokiem we wskazanym kierunku.

- O Boże.

Tom stanął przed nią, zasłaniając ją plecami.

- Spodziewałaś się towarzystwa? - zapytał przez ramię, nie spuszczać wzroku z celu.

- Nie. - Isabel nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Zajmę się tym.

- Tom, nie trzeba - powiedziała bez większego przekonania, próbując strząsnąć z siebie lęk.

- Nic z tego, bracie. Nic z tego.

- No, no, no - mruczał Alex, zbliżając się do nich niespiesznie z uśmiechem kota z Cheshire. Na tle jego opalonej twarzy świeciły wybielone zęby. - Kogóż my tu widzimy?

- Co ty tu robisz, człowieku? - zapytał Tom ze zdziwieniem w głosie.

Alex zignorował go, choć nie było to łatwe, gdyż Tom był dwa razy od niego większy, a ponadto blokował mu dostęp do Isabel.

- Isabel, czy możesz zwolnić z posterunku swojego ochroniarza?

- Ale co ty tu robisz? - wyjąkała, ośmielona opiekuńczą postawą Toma.

Alex rzucił mu spojrzenie, które mówiło: mógł- bym-cię-rozgnieść- jednym-palcem-gdyby-mi-się-tyl-ko-chciało, choć w fizycznym starciu z masywnym kamerzystą nie miałby najmniejszych szans, i uśmiechnął się promiennie do nich obydwójga.

- Czy człowiek nie ma prawa do małych *vacaciones*, jak to tutaj nazywają? Puerto Rico to fantastyczne miejsce. I kiedy ostatnio sprawdziłem, był to wolny kraj.

- Mam uwierzyć, że przyjechałeś tu na urlop? W samym środku sezonu burzowego. I przypadkiem akurat wtedy, gdy ja tu pracuję? - Isabel wzruszyła ramionami. - Kto ci powiedział, że tu jestem?

- *La muchacha* zadaje mnóstwo pytań – stwierdził Alex spokojnie. Tom zaczynał już tracić cierpliwość.

- Nie zachowuj się jak kutas. Spadaj stąd. Ona nie ma ochoty z tobą rozmawiać.

- Czy to prawda, kochanie?

Isabel skrzywiła się na tę ironiczną czułość.

- Alex, muszę wracać do pracy.

- Moja żona i ja chcielibyśmy chwilę porozmawiać na osobności - powiedział Alex z naciskiem na słowa „moja żona” i wyprostował się, chcąc sprawić wrażenie wyższego niż w rzeczywistości.

- Nie przyjmuję od ciebie poleceń, gnojku - mruknął Tom.

Isabel lekko dotknęła jego pleców.

- Tommy, wszystko w porządku. Daj mi minutę.

- Poczekam obok. - Wskazał na zacienione miejsce o dwa metry w bok. - O, tutaj.

Gdy Tom znalazł się poza zasięgiem głosu, Isabel spojrzała na męża, z którym od jakiegoś czasu pozostawała w separacji.

- No więc co tu robisz?

- Powiedziałem ci przecież. Przyjechałem na wakacje.

- Nie opowiadaj bzdur. Wiem, że przyjechałeś tu za mną. Dlaczego?

Wyciągnął rękę w jej stronę i zauważył grymas lęku na jej twarzy.

- Spokojnie. Spokojnie. Chcę ci tylko odgarnąć włosy z oczu.

Kątem oka Isabel widziała, że Tom przygląda im się uważnie.

- Posłuchaj, nie mam czasu - powiedziała, przesuając się o krok bliżej kamerzysty.

- Dobra, dobra. Niech będzie po twojemu. Ale muszę powiedzieć, że zupełnie straciłaś poczucie humoru. - Wziął głęboki oddech i dodał:

- Myślałem, że uda nam się porozmawiać. Tylko we dwoje.

- Alex - jęknęła. - Rozmawialiśmy już miliony razy. Nie mamy o czym więcej rozmawiać. To już jest skończone. Niech każde z nas pójdzie w swoją stronę.

Uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

- To jeszcze nie koniec - odpowiedział spokojnie. - Jeszcze długo nie.

- Co to ma znaczyć?

- Dokładnie to, co znaczy. Między nami nic jeszcze nie jest skończone. To - poruszył ręką, rysując niewidzialną, łączącą ich linię - jeszcze istnieje.

- Isabel, musimy się ruszyć! - zawołał Tom.



- Idź już. - Alex znowu błysnął uśmiechem. – Nie każ swojemu gorylowi czekać.

Zanim odpowiedziała, cofnął się. Szedł tyłem, żeby widzieć jej twarz.

- *Adios.*

Włosy na karku Isabel stanęły dęba.

TLR

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

- Jest druga! Czas na lekarstwa!

Julie zagląda do papierów i wywołuje pierwszą osobę.

- Melanie?

- Tu jestem - odpowiada Melanie pogodnie.

- Dobrze. Wiesz, co masz zrobić. Zostałaś poinformowana, co zażywasz, tak?

Zachowanie pielęgniarki jest czysto mechaniczne. Przypomina stewardesę w samolocie, która bezmyślnie recytuje instrukcje bezpieczeństwa, dobrze wiedząc, że nikt jej nie słucha. Szpital Three Breezes szczyci się swoją dyscypliną w zażywaniu leków przez pacjentów.

- Wiem, wiem - odpowiada Melanie.

Wrzuca tabletki do ust i połyka je w taki sposób, jakby przełykała kieliszek czystego alkoholu.

- Kryształowa rosa czy hawajski poncz?

- Hawajski poncz. - Melanie ma usta pełne tabletek, więc brzmi to bardziej jak „hajski pąk”.

*Wydaje jej się, że ma mnóstwo wdzięku. To mnie w niej najbardziej dobija. Wydaje jej się, że wszyscy się nią zachwycają. Mel, mam dla ciebie nowiny: wcale tak nie jest.*

Julie podaje jej tekturowy kubek i uważnie przygląda się, jak Melanie popija lekarstwa. Potem zaznacza ptaszkiem następne nazwisko na liście i wywołuje kolejną osobę.

-Sukanya?

Sukanya wysuwa się naprzód, szurając nogami.

- Jak się dzisiaj czujesz? - pyta Julie, podając jej kubek z lekarskami. - Czy zostałeś poinformowana o tym, co zażywasz?

Sukanya mruga powiekami, a pielęgniarka pyta dalej:

- Kryształowa rosa czy hawajski poncz?

Sukanya wskazuje szklistym wzrokiem dzbanek

z nienaturalnie czerwonym płynem.

- Proszę bardzo.

Dziewczyna bierze papierowy kubek w jedną rękę, a kubek z tabletkami w drugą i odwraca się, by odejść, ale Julie łapie ją za ramię.

- Sukanya - mówi śpiewnie, żartobliwym tonem - przecież dobrze wiesz. Musisz połknąć lekarstwa tutaj, na moich oczach.

Dziewczyna patrzy na palce owinięte wokół jej przegubu i dopiero wtedy, gdy Julie zwalnia uścisk, kładzie tabletki na języku i popija.

*Czy możemy przewinąć to szybciej?*

- Dobrze poszło. No to kto następny? Isabel?

Isabel wysuwa się do przodu. Jak wzorowa pacjentka połyka tabletki, stojąc przed Julie, i odsuwa się od drzwi malutkiego pomieszczenia. Po EW tabletki to jest zupełnie nic.

- Kristen? Znowu jesteś na tarasie! - woła Julie i wraca do sprawdzania listy nazwisk.

Nie wie o tym, że Kristen chowa tabletki pod językiem i po odejściu od punktu wydawania leków natychmiast je wypluwa.

Isabel wchodzi do sali terapii grupowej i już po dwóch krokach dostrzega Lark, która siedzi w fotelu, zwrócona twarzą do podwójnych drzwi i zawinięta w kaftan bezpieczeństwa.

*Będziemy oglądać ten cholerny kaftan przez cały sezon?*

- Zaczniemy dzisiejsze spotkanie od sprawdzenia, co u was słychać - odzywa się Larry. - Zrobimy rundę dokoła sali i każdy powie pozostałym, jak się czuje i nad czym chciałby popracować. Zresztą nie będę wam narzucał, co macie powiedzieć. Powiecie, co zechcecie. Isabel? Zaczniemy od ciebie. Jak się dzisiaj czujesz?

Isabel odrywa spojrzenie od kaftana Lark i próbuje skupić się na Larrym, ale po chwili znów wraca wzrokiem do Lark, która wygląda, jakby walczyła z zamykającymi się powiekami.

- Isabel?

- Tak? - *Skup się.*

- Pytałem, co u ciebie słychać?

*Skup się.*

- Nie najlepiej, skoro już chcesz wiedzieć. Nie znoszę tego pieprzonego szpitala. Nie chcę tu być. Myślę, że to zupełnie bez sensu... to siedzenie tutaj i gadanie o tym, „co u nas słychać” – przedrzeźnia powolną intonację Larry'ego. - Niedobrze mi się od tego robi. Od tego wszystkiego. Chcę się stąd wydostać.

-Hm...

- A do tego jeszcze Lark siedzi tu w tym czymś... i trudno się skupić. - Przerywa i znów zatrzymuje spojrzenie na Lark.

- I?

- I nic więcej. - Milknie na chwilę. - Chociaż... Wcześniej słyszałam, że to miejsce szczyti się bardzo, że wszyscy pacjenci sami kontrolują tryb swojego leczenia, czy jak to nazwać - mówi prowokacyjnie.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że poddano mnie zabiegom, na które wcale nie wyraziłam zgody. Myślałam, że mamy coś do powiedzenia w sprawie metod leczenia, jakim jesteśmy poddawani.

- Przypuszczam, że chodzi ci o EW.

- Tak, chodzi mi o EW.

- Larry, o czym ona mówi? Co to jest EW? – To Ben. Wydaje się zaniepokojony.

*Super. Po prostu, kurwa, super. To ja dostaję elektrowstrząsy, a Ben, który omal nie wysadził w powietrze własnej szkoły, nie? No super.*

- Puszczają prąd - wtrąca Melanie. - Wkładają ci coś do ust i puszczają ci prąd przez głowę.

- Nie! - woła Isabel obronnie. - Nic nie wkładają do ust.

Czuje, że jej policzki czerwienieją.

*I czemu jesteście tacy zadowoleni. Ja nie jestem taka jak wy, bando wariatów.*

- EW to bardzo skuteczna terapia - wyjaśnia Larry. - Sprawdziła się już wielokrotnie. Widocznie lekarka prowadząca Isabel uznała, że w jej wypadku to będzie najlepsza metoda. Isabel, widzę, że jesteś zdenerwowana, ale wiem, że doktor Seidler wielokrotnie próbowała z tobą rozmawiać.

- Zaraz, moment. Chwileczkę. Zaraz. Rozmawialiście o mnie? - Isabel jest oburzona.

W wyobraźni widzi rozplotkowaną grupę lekarzy, dzielących się przy kawie historyjkami z życia swoich żalonych pacjentów. *Założę się o pięć doliców, że mój jest bardziej popieprzony niż twój.*

- Zaraz, zaraz - broni się Larry, próbując uspokoić poruszoną grupę. - Twoja terapeutka i ja współpracujemy ze sobą. Przez cały czas rozmawiam ze wszystkimi waszymi lekarzami, dzięki temu możemy się lepiej zająć problemami, z którymi próbujecie sobie poradzić. Otwarty dialog jest w tej sytuacji niezmiernie ważny...

*Otwarty dialog. Akurat.*

- ...dla procesu waszego zdrowienia. - Larry urywa i wzdycha przesadnie głęboko.

- Idźmy dalej. Lark?

- Zaczekaj! To co ja mam zrobić? - Isabel jest wściekła. - Seidler powiedziała mi, że jutro znowu mam iść na EW. To znaczy, że nie mam żadnego wyboru? To nie jest w porządku. Nie pójdę tam więcej.

- Powiedziałaś to doktor Seidler?

- Tak.

- I co ona na to?

Isabel wierci się na krześle.

- Nie pamiętam - mamrocze niepewnie.

- Przypuszczam, że mogła powiedzieć, że po pierwszym zabiegu pacjenci często odczuwają złość, ale mamy podstawy do przekonania - wyraźnie podkreśla liczbę mnogą - że następna sesja pozwoli ci uzyskać maksymalne korzyści z terapii.

- Ale... ale czy nie ma żadnej innej możliwości? Czy nie wystarczy, jeśli po prostu obiecuję, że będę pracować nad sobą bardziej aktywnie

albo coś w tym rodzaju? Proszę! Czy jest jakiś sposób, żebym mogła tego uniknąć?

- Po tym spotkaniu porozmawiam z doktor Seidler i zobaczymy, co ona powie.

- Dziękuję, Larry.

*Na miód łapie się więcej much.*

Larry znów głęboko wzdycha, co ma sygnalizować zmianę tematu.

- Dobrze. Teraz Lark.

Lark osuwa się głębiej w fotel.

- Lark, czy masz ochotę opowiedzieć grupie, jak wygląda twoja sytuacja? - pyta Larry, obiegając wzrokiem krąg niespokojnych twarzy.

- Zostawię tę przyjemność tobie, Larry. - Lark cedzi słowa zza włosów, które opadły jej na twarz. Nie próbuje ich strząsnąć; pozwala, by zasłaniały ją jak welon.

- Lark ma dzisiaj ograniczoną swobodę ruchów, bo obawiamy się, że mogłaby być niebezpieczna dla siebie samej, a może także dla innych - mówi Larry do wszystkich.

- I dla ciebie też, Lar, prawda? - prychna Lark zza zasłony włosów.

- Jeśli chcesz, to możemy o tym porozmawiać.

Okrągłe ciemne oczy Lark biegają na wszystkie

strony, gdy opowiada grupie, że ugryzła Larry'ego, zanim zabrano ją do izolatki. Wydaje się z tego dumna.

- Lark, czy sądzisz, że stanowisz zagrożenie dla siebie samej? Czy zgodzisz się podpisać kontrakt?

- A co to znowu za wynalazek?

- Najkrócej mówiąc, kontrakt to jest pisemna umowa między tobą a twoimi lekarzami, która mówi, że nie będziesz próbowała odebrać so-

bie życia. Może być spisana w dowolnej formie, jakiej sobie zażyczysz, najważniejsza jest obietnica, że przez pewien określony czas nie zrobisz sobie krzywdy. Miałybyś ochotę podpisać coś takiego? Jeśli tak i jeśli będziemy przekonani, że robisz to w dobrej wierze, to odzyskasz swobodę ruchów.

- Spieprzaj.

- Lark, dlaczego tak się złościysz?

- Odpieprz się, Larry! - Lark przesuwając się na krawędź fotela i usiłując wstać, ale kaftan krępuje jej ruchy, a złość zaburza poczucie równowagi. W rezultacie wciąż osuwa się z powrotem na siedzenie.

- Jeśli nie opanujesz złości, to będę musiał zawołać sanitariusza.

- Spieprzaj, tatusiu!

- Lark?

- Tatusiu, nie rób mi nic złego!

Larry wstaje i ostrożnie przybliża się do Lark.

- Idź sobie! - pieni się Lark, rzucając głową z boku na bok.

- Lark, co chcesz powiedzieć swojemu ojcu?

Za zasłoną włosów oddech Lark staje się płytki i świszczący. Z trudem łapie powietrze.

- Proszę, tato, nie rób mi krzywdy... Nie mogę oddychać. Zejdź. To boli.

- Potrzebujesz inhalatora?

- Tak - dyszy Lark.

Larry sięga po inhalator leżący obok niej na fotelu, przykładając ustnik do jej warg i uspokaja ją na krótką chwilę, wystarczającą, by Lark



wzięła kilka oddechów. Gdy oddech wraca do normy, Larry odsuwa się.

- Czy jesteś już z nami?

Lark kiwa głową, zwinięta w kłębek.

- Chcę, żebyś wiedziała, że wszyscy cię wspieramy.

- Tak - wtrąca Melanie. - Wiem, jak się czujesz. Wiem, że nienawidzisz swojego ojca. Ja nienawidzę mojego ojczyma. Myślałam, żeby mu kupić prezent na Dzień Ojca, ale dałam sobie spokój. Niech spada. On zawsze kupuje mi najtańsze prezenty na urodziny, więc niech spada. Uwielbiam oglądać katalogi Sharper Image. Zawsze coś mu z nich wybierałam, ale w tym roku nie kupiłam mu nic. No a poza tym byłam tutaj. To znaczy jestem tutaj - śmieje się - więc powiedziałam Elwinowi: jeśli twój ojciec...

- Melanie? Jestem pewien, że Lark jest ci wdzięczna za wsparcie. Może ktoś jeszcze chciałby coś powiedzieć?

- Lark? - Kristen odzywa się głosem przypominającym szept. - Wiem, że nie przyjaźnimy się blisko ani nic takiego, ale gdybyś chciała pogadać, to możesz przyjść do mojego pokoju. Nie będę miała gości w ten weekend, więc mam czas. - Zaczyna płakać.

Larry podchodzi do niej.

- Dlaczego płaczesz?

*Trzeba przyznać, że ma dziś pełne ręce roboty.*

- Nie wiem. Nie wiem.

- Czy jest ci smutno, że nikt cię nie odwiedzi?

Isabel czuje zazdrość. Jej rodzice mają ją odwiedzić

po raz pierwszy i choć z jednej strony jest tym podniecona, z drugiej ta perspektywa napawają okropnym lękiem.

Kristen wydmuchuje nos.

- Tutaj jest tak samotnie w weekendy.

- Tak, i jedzenie nie jest za dobre - dorzuca Ben, kiwając głową.

- Rozumiem - mówi Larry. - To, że w weekendy nic się nie dzieje, ma swój cel. Uważamy, że pacjenci potrzebują trochę oddechu od sesji grupowych i indywidualnych. To jest czas, kiedy można spokojnie pomyśleć, pisać dziennik, zastanowić się nad wszystkim. Ale wróćmy do Lark. Isabel? Wydawało mi się, że chciałaś coś powiedzieć.

Kristen wciąż pociąga nosem, Melanie syczy ze złości, a Lark siedzi skrepowana kaftanem bezpieczeństwa. Na tym tle Isabel przychodzi do głowy tylko jedna rzecz, którą mogłaby powiedzieć:

- Lark, gdybyś miała ochotę w weekend powdychać mój dym, to daj znać.

Ma nadzieję, że Lark uśmiecha się za zasłoną brudnych włosów.

- Isabel, przed kilkoma minutami rozmawiałem przez telefon z doktor Seidler. Chciałbym ci opowiedzieć o tej rozmowie.

Serce Isabel przyśpiesza. Spogląda na twarz Larry'ego, szukając na niej jakiejś wskazówki.

- I co powiedziała? Czy muszę tam jutro iść? Bo powiem ci, że zamierzam po prostu odmówić. A jeśli mnie zmuszą, to zadzwonię do mojego prawnika i zaskarżę szpital o naruszenie praw pacjenta.

Larry podnosi do góry ręce w geście poddania.

- Zaraz, zaraz. Nie wybiegaj tak daleko w przód.

Uspokój się.

Isabel wpatruje się w niego nieruchomo.

- Posłuchaj, doktor Seidler powiedziała mi, że już o tym rozmawiałyście - ty i ona - że elektrowstrząsy są jedną z najskuteczniejszych metod terapii...

- Bła, bla, bla - przerywa mu Isabel. - Gówno mnie obchodzi, czy to jest skuteczne, czy nie. Po prostu więcej tam nie pójde.

*Nie płacz. Nie płacz.*

- To, przez co teraz przechodzisz, to częsty skutek uboczny... Poczeka! Zanim mi znowu przerwiesz, chciałbym ci powiedzieć, że wielu pacjentów odczuwa agresję i irytację po pierwszym zabiegu. I właśnie dlatego doktor Seidler zaleca drugi zabieg. Żebyś nie była taka poirytowana. To ci pozwoli docenić dobroczynne skutki terapii.

- Chcesz powiedzieć: wrogość, a nie poirytowanie - odparowuje Isabel. - Ty, cały ten szpital, nikt nie pozwala nam tu bronić własnych praw. W chwili gdy ktoś zaczyna walczyć o siebie, natychmiast jest zabierany do izolatki. - Z frustracją zatacza ramieniem szeroki łuk w jedną, a potem w drugą stronę. - Albo słyszy: „Hej, a może jeszcze parę zabiegów EW? To ci pomoże opanować irytację”.

Naraz opuszczają ją wszystkie siły. Larry przygląda jej się uważnie.

- Wiesz co? Poddaję się - mamrocze Isabel i opada na najbliższe krzesło. - Ty i Seidler... oboje wiecie, że nie mam siły walczyć... więc dajmy spokój. Poddaję się.

Larry przysuwa sobie drugie krzesło i siada obok niej.

- Tak naprawdę to, co czujesz, to strach, prawda? Nie irytacja. Nie złość. Strach. Czy się mylę?

Milczenie. Isabel patrzy na swoje kolana.

- Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo się boisz.

- Ty sobie możesz wyobrazić? Co ty sobie możesz wyobrazić? Możesz sobie wyobrazić, jak to jest, gdy w jednej chwili ma się wszystko, a w następnej nic? Gdy raz traktują cię jak małe dziecko, a drugi raz jak więźnia? Nawet nie potrafię policzyć, ile razy podróżowałam, i to zupełnie sama, do odległych krajów i zdawałam relację z niebezpiecznych sytuacji – nawet z wojen. A tutaj nie mogę się ruszyć o dwa kroki z budynku, bo zaraz ktoś mi mówi, że mam się zapisać na tablicy. Przeprowadzałam wywiady z głowami państw, prezydentami, szefami wielkich koncernów, z kim tylko chcesz, i wszyscy traktowali mnie z szacunkiem i godnie. A teraz nie mogę ogolić nóg, żeby jakaś pielęgniarka lesbijka nie musiała się na mnie gapić. Musiałam się znać na tysiącu spraw, stać się ekspertem od różnych kultur i nawet od przełomów w medycynie, a teraz nie mogę poprosić, żeby nie przyczepiano mi do głowy elektrod. Nie mów mi, Larry, że potrafisz sobie wyobrazić, co czuję. Bo nie masz o tym najmniejszego pojęcia.

Tym razem to Larry opuszcza wzrok.

- Masz rację - mówi, nie podnosząc głowy. – Masz zupełną rację. Nie mam pojęcia, jak to jest być na twoim miejscu.

Po chwili jednak podnosi głowę i spogląda prosto w jej przestraszone oczy.

- Ale z równą pewnością mogę powiedzieć, że ty, Isabel, nie masz pojęcia, jak to jest być mną.

Isabel leciutko przechyla głowę na bok. *Trafiony.*

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak frustrująca jest czasem moja praca. Jak ciężko jest patrzeć na cierpienie pacjentów i wiedzieć, że nic nie możesz zrobić, by do nich dotrzeć, by im pomóc. A równie trudno

jest patrzeć, jak niektórzy robią znaczące postępy - obrzucają wymownym spojrzeniem - a potem sabotują samych siebie, odmawiając udziału w terapii, która im pomaga.

Milczenie.

- Isabel, spróbuj jeszcze tylko raz. A potem jeśli nie będziesz chciała więcej uczestniczyć w tych zabiegach, to możesz to powiedzieć doktor Seidler. Jeszcze tylko raz.

TLR

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Pukanie do drzwi jest bardzo głośne.

- Isabel, czas iść!

To męski głos. Zaniepokojona Isabel siada na łóżku.

- Co? - Wygrzebuje się z łóżka i jednym susem dopada drzwi. - O co chodzi?

Uchyła drzwi i wystawia głowę na korytarz. Stojący za nimi sanitariusz spogląda na zegarek.

- Mam cię zaprowadzić na oddział zabiegowy - mówi krótko.

*O kurczę.*

- Aha. Dobrze, zaraz będę. - Zamyka drzwi i szybko przebiega wzrokiem całe pomieszczenie. Okno.

*Chybabym się zmieściła... Mogłabym wyjść przez okno i uciec. Nic z tego. Znaleźliby mnie. A poza tym gdzie niby miałabym uciec? Niech to diabli.*

Niechętnie podchodzi do komody, wyciąga z szuflady parę szortów i wkłada je, patrząc w okno. Przez cały czas oddycha płytko; na koniec dla równowagi bierze jeden głęboki wdech.

*Jeszcze tylko raz. Jeszcze tylko raz.*

- Dobrze. - Zamyka za sobą drzwi i idzie za sanitariuszem.

W milczeniu wychodzą z budynku. Isabel skupia uwagę na tym, by zsynchronizować kroki z jego krokami.

*Lewa. Lewa. Lewa, prawa, lewa. Lewa. Lewa. Lewa, prawa, lewa.*

- Pamiętaj, że ten żel jest zimny. – Pielęgniarka znów tłumaczy jej każdy swój krok. - Muszę... przyczepić... elektrody... po... obu... stronach. Już! Wszystko gotowe.

Odsuwa się i robi miejsce doktorowi Edwardsowi, który jeszcze raz sprawdza, czy wszystko jest w porządku.

Isabel patrzy, jak lekarz ustawia wskaźniki na urządzeniu do elektrowstrząsów.

*Do kogo zadzwonisz? Do pogromców duchów!*

TLR

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

- Jak można było przewidzieć, dochodzenie w sprawie przyczyn katastrofy samolotu TWA, rejs numer 800, staje się operacją na wielką skalę. Jeszcze dziś do Straży Przybrzeżnej dołączy stacjonujący w Wirginii okręt ratowniczy marynarki wojennej USS Grasp, który podniesie z wody wrak kadłuba. Okręt przywiezie również pływonurków, którzy mają odnaleźć dwie czarne skrzynki z rozbitego samolotu. W tej chwili nie ma już żadnych szans na to, by ktoś pozostał przy życiu.

Z East Moriches na Long Island dla Wiadomości ANN mówiła Isabel Murphy.

Przecinające powietrze śmigła helikoptera robiły tyle hałasu, że Isabel musiała krzyczeć do komórki.

- Przepraszam! Czy możesz powtórzyć? Prawie nic nie słyszę! - wrzeszczała z nadzieją, że helikopter odleci, zanim John znowu się odezwie.

- Dzwonię, żeby... więc upewnij się, że nie... dobrze? - Głos Godmana na przemian przybliżał się i znów ginął w huk.



Isabel oddalała się od brzegu, szukając miejsca o lepszym zasięgu.

- John? Słyszysz mnie? Zadzwoń do ciebie z samochodu!

Kolejny helikopter nadlatywał wzdłuż brzegu.

Minęło szesnaście godzin od chwili, gdy samolot rejsowy TWA rozbił się na wybrzeżu Long Island. W miarę upływu godzin na plaży pojawiało się coraz więcej dziennikarzy, którzy stali na piasku w sportowych kurtkach i markowych butach, spływając potem.

Minęło czternaście godzin od chwili, gdy telefon obudził Isabel z głębokiego snu. W słuchawce odezwał się męski głos, w którym brzmiało wyraźne napięcie.

- Isabel?

- Tak? - odpowiedziała, tłumiąc senność. Było wpół do drugiej w nocy.

- Mówi John Goodman z ANN. Przepraszam, że dzwonię o takiej porze.

*John Goodman?* To on przeprowadzał z nią rozmowę w zeszłym tygodniu, w kilka dni po tym, jak przeniosła się z San Francisco do Nowego Jorku.

- Nic nie szkodzi. Co się stało?

- Isabel, mamy tu taką sytuację - powiedział ze znużeniem. W tle słyszała jakieś hałasy. - Na wybrzeżu Long Island rozbił się samolot. Tuż po starcie z JFK.

Isabel, zupełnie już rozbudzona, gorączkowo szukała pilota do telewizora, żeby sprawdzić, co stacje telewizyjne zdążyły przygotować do tej pory.

- O mój Boże - powiedziała tylko, gdy w końcu włączyła CNN i zobaczyła animowaną grafikę przedstawiającą samolot wpadający do wody dziobem w dół.

- Tak, tak to wygląda - zgodził się Goodman. - Isabel, jesteś nam potrzebna, żeby zrobić relację. Nie będę kłamał. Akurat teraz brakuje nam ludzi. Mamy jedną dziennikarkę na Long Island, ale trzeba ją będzie zmienić rano. Wolałbym najpierw wypróbować cię na czymś innym, zanim dostaniesz duży temat, ale nie mogę sobie pozwolić na taki luksus, więc dzwonię, żeby zapytać, czy możesz tam pojechać i zrobić dla nas relację na żywo?

- Tak - odpowiedziała bez chwili zastanowienia.

W czternaście godzin później zapukała do drzwi wynajętej przez stację furgonetki i nieśmiało zapytała, czy może wejść do środka i zadzwonić, choć szum generatora był niemal tak samo głośny jak huk helikopterów na plaży.

- John? Tu Isabel. Przepraszam, ale na plaży miałam bardzo kiepski zasięg.

John nie tracił czasu.

- Więc tak. Za godzinę wchodzisz na żywo. Chcę ci powiedzieć, że przycisnęliśmy nasze źródło w Narodowej Radzie do spraw Bezpieczeństwa Transportu i mamy ważne informacje. Nie potwierdzą tego publicznie, ale możesz powiedzieć, że to od jakiejś ważnej osoby w ekipie dochodzeniowej. Mówią, że... jesteś tam?

- Tak. - Isabel oblizwała wyschnięte usta i przypominała sobie, żeby oddychać. - Jestem.

- Mówią, że powodem mógł być centralny zbiornik paliwa. Zdaje się, że już wcześniej były kłopoty z tymi zbiornikami w 747, ale nie

chcieli skupiać na tym uwagi. Rozumiesz? Możesz podać tę informację, tylko nie mów, że pochodzi z NRBT.

- Rozumiem.

W godzinę później producent pogratulował jej i powiedział, że jest już wolna. W następnej chwili zadzwoniła komórka.

- Mama? - zapytała Isabel w ciemno.

Jej rodzice byli jedynymi osobami spoza pracy, które znały numer telefonu przydzielonego jej przez stację telewizyjną.

W słuchawce jednak rozległ się męski śmiech.

- Nie, to nie twoja mama. Ale po tym wejściu żałuję, że nie jesteś moją córką!

To był znów John Goodman. Isabel ukryła rozczarowanie.

- A dlaczego?

- Zostałaś gwiazdą! To był hit! Twoje wejście miało trwać tylko czterdzieści pięć sekund, a trzymali cię na wizji dwa razy dłużej. Wrightman nigdy czegoś takiego nie robi, przeważnie ucina przed czasem! Witaj w sieci, Isabel. Możesz się czuć przyjęta do pracy.

Przez chwilę upajała się komplementem, ale zaraz nakierowała rozmowę na temat, który od godziny nie schodził jej z myśli.

- Dziękuję, John. Bardzo ci dziękuję. A przy okazji - starała się nadać głosowi nonszalanckie brzmienie - nie wiesz przypadkiem, czy ANN jest odbierane w Trenton w stanie Vermont?

- Zaraz popatrzę. Hm. Mam tu wykaz zasięgu poszczególnych stacji i wygląda na to, że w Trenton w Vermoncie odbierają NBC i ABC. My tam nie docieramy. Ale kogo obchodzi Trenton? We wszystkich największych miastach w kraju ludzie drapią się teraz po głowach i py-

tają: „Kim jest ta Isabel Murphy?”, a ciebie interesuje tylko to, czy widzieli cię w Trenton w stanie Vermont?

- Właściwie nie interesuje mnie całe Trenton, tylko jedna osoba - wyjaśniła Isabel ze ściśniętym sercem.

Goodman zareagował na to nietypową dla siebie ciekawością.

- A kto tam jest w tym Trenton?

- Mój ojciec - odrzekła Isabel, rysując stopą kółka na piasku.

TLR

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

- Dzień dobry! - Doktor Seidler już od progu przygląda jej się z ciekawością. - Jak się dzisiaj czujesz?

Isabel wie, że nie jest to konwencjonalne pytanie, które można pominąć milczeniem, zapewne i lekarka wie, jak wielkie znaczenie będzie miała odpowiedź, toteż przecina chwilę napięcia jednym krótkim słowem:

- Dobrze.

Na twarzy doktor Seidler odbija się ulga.

- Naprawdę? Powiedz coś więcej.

- Nie wiem, jak to się stało, ani nie mam pojęcia dlaczego, ale czuję się dobrze. W tej chwili czuję się zupełnie normalnie. Ale nie chciałabym zapeszyć, więc może nie będziemy o tym rozmawiać.

Terapeutka kiwa głową.

- Teraz oczywiście już wiesz, dlaczego pytam, ale ciekawa jestem, co ci się śniło ostatniej nocy? Pamiętasz coś?

Czy pamięta? Te sny były tak wyraziste i realistyczne, że Isabel nie tylko je pamięta, ale jest przekonana, że to właśnie dzięki nim czuje się lepiej.

- Rzeczy związane z pracą - odpowiada. - Śniły mi się tematy, które robiłam, i miejsca, w których byłam. Ale to było dziwne. Zawsze myślałam, że wszystkie sny są pomieszane jak w kalejdoskopie i nawet

jeśli śnią nam się motywy wzięte z prawdziwego życia, to we śnie zostają one zniekształcone.

- Czasami. A czy twoje sny były realistyczne?

- Tak! - Isabel bardzo się cieszy, że lekarki nie dziwi jej spostrzeżenie. - Czy to normalne? Te sny, które miałam ostatniej nocy, po EW, były zupełnie takie jak prawdziwe życie.

- Można się było tego spodziewać. Terapia elektrowstrząsami pomaga ludziom, którzy wycofali się, że tak powiem z braku lepszego słowa, zbyt daleko w głąb siebie. To może bardzo różnie wyglądać. W niektórych wypadkach takie wycofanie wiąże się z głęboką depresją, w innych z paranoją albo schizofrenią paranoidalną, choć wówczas cała terapia musi być prowadzona na zupełnie innym poziomie. Poprzez sny, które pojawiają się bezpośrednio po zabiegu EW, mózg próbuje znów zacząć funkcjonować w rzeczywistym świecie. Pomyśl o tym w ten sposób: twój mózg przypomina ci, kim jesteś i czym się zajmowałeś. Właśnie dlatego masz takie sny. Albo może powinnam powiedzieć inaczej: właśnie dlatego twoje sny tak wiernie naśladowują rzeczywistość.

- W takim razie zadam najważniejsze pytanie. Czy konieczne są kolejne zabiegi? - pyta Isabel, przygotowana na najgorsze.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

*Tylko spokojnie. Tylko spokojnie.*

Powtarza sobie to pod prysznicem jak mantrę. *Tylko spokojnie.*

Wraca do sypialni, wyciera włosy ręcznikiem i przerzuca ubrania, szukając czegoś, co nie śmierdzi i co zakryłoby jej nieogolone nogi.

*Cześć, mamo. Cześć, tato. Chodzę na zabiegi elektrowstrząsów! Nie jesteście dumni ze swojej córeczki?*

Staje przed metalowym lustrem. W Three Breezes nie ma szkŁarych luster. Czuje, jak fale kwasu zżerają śluzówkę jej żoŁądka.

*CieŹko w pracy, tato? Och, biedaku. Czasami? Gdy pielegniarka przymocowuje elektrody po obu stronach mojej gŁowy, nie zawsze trzymajĄ się dobrze, i wtedy musi doŁoŹyć więcej zimnego Źelu. Nie cierpię tego, a ty?*

Do przyjazdu rodziców pozostały jeszcze prawie dwie godziny, a Isabel zdĄżyła juŹ umyć i wysuwy su wŁosy i posprzątać caŁy pokój.

*Mam dobre i złe wiadomoŹci. Dobre to takie, Źe moja lekarka uwaŹa, Źe terapia daje doskonałe efekty. A złe takie, Źe ta terapia to... werble, proszę... jest to terapia elektrowstrząsami. MoŹe jabłko?*

KtoŹ puka do drzwi.

- Isabel?

- Proszę.

W progu staje Lark. Przez chwilę Isabel widzi jĄ tak, jak zapewne zobaczą jĄ jej rodzice: spięta pacjentka szpitala psychiatrycznego w tandetnych poliestrowych ciuchach.

- Chcesz zapalić?

- Jasne. - Isabel z ulgĄ odwraca uwagę od myŹli o rodzicach.

Tak byŁa przejęta ich odwiedzinami, Źe prawie nie spaŁa ostatniej nocy, a teraz czas wlecze się nieznoŹnie.

Dopiero kiedy siadajĄ obok siebie na plastikowych krzesŁach na tarasie, zauwaŹa, Źe Lark teŹ jest niespokojna.

- Jak leci? - pyta.

- W porzĄdku - mruczy Lark, skupiajĄc się na wciĄganiu dymu nosem.



- Wszystko u ciebie dobrze?

- Jasne. Zresztą wszystko jedno. - Lark pochyla się bliżej źródła dymu.

*Zabawne by było, gdyby mama i tato właśnie teraz wyszli z za rogu i zobaczyli, jak Lark się do mnie klei.*

- Moi rodzice niedługo tu przyjadą.

- Cieszysz się?

- Chyba tak - przyznaje Isabel.

- Wiesz, nie ma nic złego w tym, że cieszysz się z powodu odwiedzin rodziców - mówi Lark z ledwo widocznym cieniem uśmiechu. - Nie musisz tego ukrywać ze względu na mnie.

- To dziwne, ale bardzo się denerwuję. Czuję się, jakbym dopiero co wyszła z jaskini.

- Tak. Znam to uczucie.

Isabel wpisuje się na tablicy i czeka na rodziców na zewnątrz budynku. Wychodzi za róg, na skraj niewielkiego parkingu, i siada na niskim kamiennym murku, skąd widzi drogę w obie strony. Co trzydzieści sekund spogląda na zegarek.

*Pewnie już skręcają w bramę szpitala... mniej więcej... teraz.*

Wstaje, gdy na parking wjeżdża czarny range rover.

- Mamo - mówi, obdarzając matkę nerwowym, drewnianym uściskiem i spogląda nad jej ramieniem, wypatrując ojca.

- Och, skarbie.

- Gdzie jest tato? - pyta, choć zna odpowiedź, zanim ją jeszcze usłyszy.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

- Kochanie, ojciec chciał przyjechać. - Isabel krzywi się, gdy matka głaszcze ją po włosach. - Nie mogę się nadziwić, jak dobrze wyglądasz. Widać, że jesteś wypoczęta.

- Mamo, przestań, dobrze? - mówi Isabel łamiącym się głosem, przetykając łzy.

- Och, Isabel. Dobrze wiesz, że ojciec przyjechałby, gdyby mógł.

- Nie usprawiedliwiał go. - Isabel podnosi głos. - Dlaczego zawsze znajdujesz mu jakieś alibi? Przyjechałby, gdyby mógł? A dlaczego nie mógł? Zdarzyło się coś, co było ważniejsze niż odwiedziny u córki w szpitalu psychiatrycznym? Słyszysz, jak to absurdalnie brzmi?

Katherine wysyła jej nerwowe sygnały rękami, które mają oznaczać „mów ciszej”.

- Isabel, proszę, nie krzycz tak. Wiem, że wytrąciło cię to z równowagi.

- Nie. Nic nie wiesz. - Isabel odsuwa matkę na bok i idzie w stronę oddziału. Katherine biegnie za nią. - Tak było, odkąd pamiętam. - Obraca się na pięcie i staje twarzą do matki. - Przez całe lata słyszałam: „Twój ojciec byłby tutaj, gdyby mógł”. Przez całe lata. I wiesz, co w końcu zrozumiałam? Że to bzdura! Pewnie nie przyjechał, bo miał za dużego kaca. Całe to gadanie, że byłby, gdyby mógł, to kupa gówna!

- Co to za język - wtrąca matka ostrzegawczo.

- Uważaj, co mówisz.

- Och, mamo, daj spokój. Rozejrzyj się dokoła. Myślisz, że ktokolwiek zwraca tu uwagę na język?

- przedrzeźnia jej ton.

- Isabel, nadal jestem twoją matką i chcę ci powiedzieć, że mi to przeszkadza, rozumiesz? Więc proszę, powstrzymaj się od używania takich słów w mojej obecności.

- Proszę cię, mammo. - Isabel milknie, a potem podejmuje odmierzo-  
nym, stanowczym tonem. – Wiesz co? Przestań. Nie rób tego. Nie tłumacz więcej ojca. Nie próbuj usprawiedliwiać tego, że nie było go przez całe moje życie. Przestań chodzić na palcach wokół jego picia. Mammo, jest mi już od tego niedobrze. Znowu poszedł w ciąg? A może właśnie zrobił sobie przerwę? Nie mogę cię o to zapytać, bo i tak nie będziesz chciała o tym mówić. Ale ja chcę, żebyśmy o tym porozmawiały. Czy możesz to dla mnie zrobić?

- Nie zdawałam sobie sprawy, że ciągle usprawiedliwiam ojca. Spróbuję... spróbuję przestać to robić.

- On ma wciąż tego samego, nieustającego kaca od trzydziestu lat! Nie było go przy mnie w żadnym ważnym momencie życia...

- Coś ci powiem i nie przerywaj mi. Nie usprawiedliwiam go, ale muszę powiedzieć, że twój ojciec był przy tobie podczas wszystkich ważnych chwil...

- Mammo, jednak ci przerwę. Wiem dokładnie, co chcesz powiedzieć. Był na spektaklach szkolnych, na uroczystościach zakończenia roku i na tańcach. Tak? To chciałaś powiedzieć, prawda?

Matka kiwa głową, niepewna, do czego Isabel zmierza.

- Ale, mammo, wiesz, co ja sobie uświadomiłam? Że ważne rzeczy zdarzają się między spektaklami i zakończeniami roku. Zdarzają się w drodze na tańce. To jest prawdziwe życie, a reszta to tylko pozory. To –

Isabel wyciąga ramię gestem Julie Andrews stojącej na szczycie góry - to jest prawdziwe życie. Ten szpital. Nie jest szczególnie piękny, nie dostanę tu dyplomu ani nie ma tu doskonałego zespołu muzycznego, ale jest prawdziwy. I dlatego nie chcę już więcej słuchać usprawiedliwień. Rozumiesz?

Czeka chwilę, aż sens jej słów dotrze do matki. W końcu Katherine kiwa głową ze szczerym zrozumieniem. Isabel bierze głęboki oddech.

- Co mi przywiozłaś na lunch?

Na twarzy matki odbija się ulga.

- Chińską sałatkę z kurczaka.

- Z baru Elli?

- Z baru Elli.

Isabel prowadzi matkę na dyżurkę pielęgniarek. Musi zapisać gościa na tablicy.

- Dzień dobry, pani Murphy! - promienieje Julie. *Oczywiście swiergocząca Julie w obecności matki będzie swiergotać jeszcze bardziej nieznośnie.* - Miło mi panią poznać! Wszyscy tutaj bardzo lubimy Isabel. — *A tak, rzeczywiście.*

Katherine zapisuje swoje nazwisko na tablicy.

- Muszę zajrzeć do tych toreb, które pani przyniosła - dodaje Julie.

Isabel zupełnie o tym zapomniała.

*A niech to. Kontrola toreb. Nic lepiej nie stwarza piknikowego klimatu niż zagłądanie do toreb w poszukiwaniu niebezpiecznych narzędzi.*

- Pięknie pachnie - zauważa Julie. - To wszystko jest w porządku, ale muszę zatrzymać butelkę z napojem. Poza tym nie ma tu nic zabronionego. Miłego lunchu!

Napój jest w szklanej butelce.

Isabel znów prowadzi matkę na zewnątrz.

- Usiądźmy tam, trochę dalej od budynku - wskazuje na dwa krzesła stojące pod klonem.

- A możemy? - Katherine nerwowo rozgląda się dokoła. - Wolno tak?

- Mamo, mogę się poruszać po całym terenie szpitala pod warunkiem, że zapiszę wyjście i co pół godziny zamelduję się w dyżurce pielęgniarek.

- To wspaniale! - oznajmia Katherine z nadmiernym entuzjazmem.

- Jedzenie wygląda pysznie. - Isabel też stara się zmniejszyć napięcie między nimi.

- Posłuchaj, Isabel - odzywa się Katherine tonem, który wyłącznie matki potrafią przyjmować - nie złość się na mnie, ale przywiozłam bardzo dużo jedzenia na wypadek, gdyby ktoś jeszcze był głodny. Może twoi przyjaciele... - zawiesza głos i spogląda na córkę z nadzieją.

- Moi przyjaciele? To znaczy inni pacjenci?

- Tak, inni pacjenci. Myślisz, że możemy ich poczęstować?

*Nadal jej się wydaje, że jestem tą samą Isabel co wcześniej... znajduję nowych przyjaciół... ubiegam się o stanowisko przewodniczącej klasy... jestem kapitanem drużyny... prowadzę wieczorne wiadomości. Nie widzi tego, że jestem nikim. Nikim w szpitalu dla wariatów. Ci ludzie... ci ludzie nie są moimi przyjaciółmi. Ci ludzie to inne porażki. Oni też są nikim. Zostaw mnie w spokoju, mamo. Tak będzie lepiej dla nas obydwu.*

- Isabel? Gdzie jest Lark? Może poszła do łazienki?

- Julie staje przed nimi i przegląda swoje papiery.

- Skąd mam wiedzieć?

- Myślałam, że je lunch z tobą i twoją mamą.

- Nie, dlaczego?

- A czy mogłaby do nas dołączyć? – Katherine spogląda na córkę z ożywieniem i zwraca się do Julie:

- Proszę, może pani też z nami usiądzie, mamy mnóstwo jedzenia...

- Julie, co się stało?

- Zaznaczyła na tablicy, że idzie na lunch z wami, a ja nie sprawdziłam wcześniej... - Julie obraca się na pięcie i nie kończąc zdania, biegiem pędzi do budynku.

- Zaraz wrócę - mówi Isabel do matki i rusza w ślad za pielęgniarką.

- Dobrze! - woła za nią Katherine. - Ale proszę, zaproś swoich przyjaciół, żeby usiedli z nami, jeśli mogą! Ta sałatka z kurczaka jest bardzo dobra!

Pielęgniarki rozbiegły się po całym oddziale i sprawdzają wszystkie pokoje, wywołując imiona głośniejszym niż zazwyczaj. Isabel zatrzymuje się obok dyżurki.

- Zadzwoń do centrali.

- Musimy przejść jednocześnie.

- Kto sprawdzał ostatnio?

Pielęgniarki i sanitariusze mówią naraz. Po chwili na oddziale pojawiają się strażnicy.

- Isabel, czy możemy coś dla ciebie zrobić? – pyta Julie z rozтарnieniem, dobrze wiedząc, że Isabel przysłała tu w charakterze gapia.

- Nie, dziękuję.

- Skoro tak, to wyjdź stąd na razie, bo i tak jest ciasno.  
- Martwię się o Lark - przyznaje Isabel.  
- Lark? A co jej się stało tym razem? - Ben wychodzi zza rogu tak nagle, że Isabel traci równowagę.

- Nic się nie stało - odpowiadają pielęgniarce jednogłośnie, usiłując odsunąć na bok Isabel, Bena i Melanie, która właśnie weszła do budynku z pytającym wyrazem twarzy.

Ale przesunąć Bena to jakby próbować przesunąć słonia packą na muchy.

Isabel przypomina sobie o matce i wychodzi. Melanie znika z pola widzenia równie szybko, jak się pojawiła, a Ben bez pośpiechu człapie do świetlicy.

- Przepraszam, mamó - mówi Isabel, opadając z powrotem na krzesło. - Lark to pacjentka. Moja... znajoma. Nie mogą jej znaleźć. Ale na pewno zaraz się odnajdzie. W każdym razie...

Matka wygląda na mocno zaniepokojoną.

- Czy to się często zdarza? Że ktoś gdzieś znika?

- Nie. Przez cały czas sprawdzają, gdzie jesteśmy. Regulamin jest dość ostry. Ale teraz jest weekend i pewnie dlatego stracili ją z oczu. Znajdzie się.

- Ach...

*Więc na czym to stanęłyśmy? Ach, tak.*

- Mamó, pamiętasz, pytałaś mnie przez telefon o to, czym mnie leczyła, a ja obiecałam, że powiem ci, jak tu przyjedziesz.

- Przez cały czas się nad tym zastanawiałam. - Katherine przestaje udawać nonszalancję. Skupiona, przesuwa się na brzeg krzesła.

- Nie jest mi łatwo o tym mówić, więc powiem ci prosto z mostu.

Proszę bardzo: przeszłam elektrowstrząsy.

Katherine milczy.

- Mamo? Powiedz coś. Cokolwiek.

Matka patrzy na las widoczny za budynkiem oddziału i odchrząkuje.

- Muszę powiedzieć, że nigdy nie przypuszczałam, że moja córka będzie musiała przez coś takiego przechodzić. - Wypowiada słowa „coś takiego” takim tonem, jakby miały nieprzyjemny zapach.

- Zmusili mnie do tego. - Isabel przybiera obronny ton. - Moja le-  
karka powiedziała, że to będzie dla mnie najlepsze.

- I jest? Naprawdę okazało się najlepsze?

*Możliwe. Możliwe.*

- Sama nie wiem... - Isabel szuka odpowiednich słów.

- A czy to nie zostanie w twoich papierach? Boże drogi, Isabel, przecież każdy może uzyskać dostęp do twojej historii choroby. Każdy.

Isabel potrząsa głową.

- Mamo, przecież nie popełniłam żadnej zbrodni!

Katherine nie spuszcza z niej wzroku.

- Naprawdę nigdy bym nie pomyślała, że moja córeczka...

Isabel nie pozwala jej skończyć.

- Mamo, nie jestem już twoją małą córeczką. - Katherine znów odwraca wzrok. - Nie jestem tą szczęśliwą dziewczynką, która robi wszystko, o co się ją poprosi.

Milczenie.

- Mamo, spójrz na mnie! - błagają Isabel. - Wszyst-ko zawaliłam. Moje małżeństwo się rozpadło...



Przez twarz Katherine przebiega grymas.

- Nie mów tak... może jeszcze uda wam się dogadać...

- To już skończone. I może tak jest najlepiej. Moja praca jest zagrożona - szczerze mówiąc, zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że po tym wszystkim mam jeszcze pracę...

- To oni mają szczęście, że na ciebie trafili! - przerywa jej znów Katherine.

- Mamo, posłuchaj mnie! Próbuję ci powiedzieć... próbuję ci pokazać, kim jestem. Przez cały czas mam wrażenie, że ty nie widzisz mnie takiej, jaką jestem naprawdę. Chcesz, żebym była doskonała.

- A czy jest w tym coś złego? Co w tym złego, że matka chce, by jej córka miała idealne życie? Czy lekarze tutaj programują was tak, żebyście obwiniali o wszystko rodziców? I co tu mówić o banałach, skarbie.

- Och, mamo, daj spokój. Dobrze wiesz, że za nic cię nie winię. Tylko że dla ciebie chciałam być idealna. A nie jestem. Jestem, jaka jestem. - Isabel krzyżuje ramiona na piersiach. - I właśnie dlatego znalazłam się tutaj.

Katherine obrzuca ją ciężkim spojrzeniem, a potem opuszcza wzrok na swoje ręce.

- Co mam ci powiedzieć?

- Powiedz mi po prostu dlaczego.

- Dlaczego co?

- Dlaczego to takie ważne, żebym była idealna? Takie ważne dla ciebie?

-Isabel, chyba nie podoba mi się twój ton.

Isabel nie zamierza się ugiąć.

- Powiedz mi, dlaczego moje sukcesy znaczą tak wiele dla ciebie?

- To zdanie ma kiepską gramatykę, skarbie – mówi Katherine, poprawiając apaszkę od Hermesa. - Naprawdę nie mam pojęcia, czego cię uczyli na tych studiach.

- Mamo, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Isabel, nie musisz podnosić na mnie głosu. Nie narzekam na słuch.

- W takim razie dlaczego nie odpowiadasz na pytanie? Powtórzę jeszcze raz: Dlaczego chcesz, żebym była idealna?

Dłonie Katherine nie znajdują już żadnego zajęcia, więc opadają na kolana. Ich właścicielka patrzy na trawnik. Isabel czeka na odpowiedź.

- Przez całe życie zależało ci tylko na nim – mówi wreszcie cicho Katherine. - „Czy tatuś tam będzie? Gdzie jest tatuś? Dlaczego tatuś nie może mnie zawieźć na obóz?”. Byłaś jak studnia bez dna. Zawsze chciałaś jego obecności, potrzebowałaś go tak bardzo...

Głos Katherine odpływa. Isabel odczeka kilka sekund, po czym łagodnie zachęca matkę, by mówiła dalej i pomogła jej rozwiązać zagadkę.

- I?

Katherine znów na nią spogląda oczami pełnymi łez.

- A ja? Ja ci chyba nigdy nie wystarczałam.

- Mamo, to nieprawda! - Zdumiona Isabel przysuwa się bliżej do matki, chcąc ją pocieszyć.

- Nie masz pojęcia, jakie to uczucie... patrzeć, jak twoje dziecko momentalnie traci humor, gdy wychodzi z za rogu i widzi, że tylko ty po nią przysłałaś. Jakie to uczucie patrzeć, jak rozgląda się w tłumie,

szukając osoby, którą naprawdę chciałoby zobaczyć. - Katherine ociera płócienną chusteczką rozmazany tusz do rzęs. - Nie wiesz, jak to jest starać się dzień po dniu, przez cały czas być przy dzieciach i wiedzieć, że nic ich nie obchodzisz; one chcą tylko, żeby ojciec przy nich był.

- Ale co to ma wspólnego z potrzebą, żebym była idealna? Dlaczego chciałaś, żebym była szczęśliwą dziewczynką, która odnosi same sukcesy?

Katherine patrzy na nią.

- Nie rozumiesz? Ja potrzebowałam ciebie, tak samo jak ty potrzebowałaś swojego ojca.

Isabel czuje, że te słowa zapierają jej dech.

- Przypuszczam, że traktowałam cię surowo, bo bardzo mnie bolało to, że przez cały czas mnie odrzucałaś, rok po roku, i tylko czekałaś w oknie, aż ojciec wróci z pracy. Wiem, że wiele wymagałam od ciebie i od twoich braci. Ale jedyną alternatywą było bezradne czekanie na twoją miłość. Czekanie, aż mnie w końcu pokochasz.

Obydwie, matka i córka, wpatrują się teraz w ziemię pod swoimi stopami.

Katherine pierwsza przerywa ciężkie milczenie.

- Naprawdę nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć. - Prostuje się, starannie składa chusteczkę, wygładza ją i chowa do torebki.

- Powiedz, że mnie kochasz, nawet gdy nie jestem doskonała. Powiedz, że kochasz mnie nawet wtedy, gdy nic mi się nie udaje... bo tak właśnie jest.

- Och, Isabel. Kocham cię. Może cię nie słuchałam, gdy próbowałaś mi powiedzieć, że nie jesteś doskonała... może to prawda. Ale ty też

mnie nie słyszałaś, gdy mówiłam ci, że kocham cię bez względu na wszystko. Zawsze cię kochałam i zawsze będę cię kochać. Ale Isabel... chcę ci powiedzieć coś ważnego... może to najważniejsza rzecz, jaką powiedziałam ci przez całe życie. To, co ja myślę, nie powinno być dla ciebie ważne. To nie ma żadnego znaczenia. Ty sama musisz siebie kochać. Nawet gdy nic ci się nie udaje. Musisz siebie kochać.

Isabel czuje na ramionach gęsią skórkę, która jest sygnałem, że dzieje się coś bardzo ważnego. Myśli o Dorotce przy końcu filmu „Czarnoksiężnik z krainy Oz”, gdy Glinda, Dobra Wróżka, mówi jej, że nie potrzebowała iść aż do Szmaragdowego Grodu – przez cały czas miała moc, by wrócić do Kansas: trzeba było tylko stuknąć obcasami.

*Nie ma to jak w domu. Nie ma to jak w domu.*

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Pierwszą rzeczą, jaką Isabel i jej matka zauważają po otwarciu drzwi pokoju, jest pojedyncza kartka papieru ułożona schludnie pośrodku szpitalnego łóżka.

- To dziwne - mówi Isabel, biorąc kartkę do ręki. - Cztery wiersze. Ponad jej ramieniem Katherine czyta tytuły.
- „Samotność”. „Sen”. „Śmierć”. Wszystkie takie smutne. Czwarty wiersz jest krótki i nosi tytuł „Pieśń Lark”.

*Moją piosenkę niełatwo usłyszeć.*

*Melodia.*

*Muzyka, nie.*

*Moja pieśń to mój głos.*

*Mój głos niełatwo usłyszeć.*

*Może dlatego nikt nie słuchał.*

Pod spodem, małutkimi literami, dopisane są jeszcze cztery słowa:

*Nie bój się pralni.*

- Co to ma znaczyć? - dziwi się Katherine.

Isabel wypuszcza kartkę z ręki i bez słowa wybiega z pokoju.

*Już za późno. Wiem o tym, że już za późno.*

Skreca za róg korytarza i widzi sanitariusza, który dobija się do zamkniętych drzwi. Uchylają się nieco, ale nie chcą się otworzyć. Sanitariusz cofa się i uderza w nie z rozpędu. Tym razem szpara powiększa się na tyle, że można już wejść do środka. Isabel depcze mu po piętach. Słyszy zbliżające się pielęgniarki, a tuż obok siebie przepełniony frustracją głos sanitariusza:

- Gdzie tu się zapala światło?

- Chyba po prawej. Nie, po lewej - odpowiada, macając ręką ścianę dookoła drzwi.

Jej ramię natrafia na coś, co stawia opór.

Światło zapala się i Isabel zaczyna krzyczeć.

Lark zwisa z metalowego przewodu wentylacyjnego. Twarz ma fioletową, oczy wytrzeszczone i jaskrawoczerwone od popękanych naczyń krwionośnych. Związała prześcieradła razem i przesunęła suszarkę tuż pod rurę, a potem zsunęła się z niej w zapomnienie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Ben zatrzymuje się przed Isabel, która siedzi na krześle i patrzy na trawnik.

- Isabel? Może byś chciała przeczytać mój dziennik?

*Może jeśli nic nie odpowiem, to zostawi mnie w spokoju.*

Ben jednak nie jest mistrzem w interpretacji subtelnych sygnałów.

- Isabel, przecież wiem, że mnie słyszysz. To jest mój dziennik. -  
Trąca ją notatnikiem. - Przeczytaj, a potem mi oddaj.

Wraca do budynku z ramionami zwieszonymi wzdłuż boków. Isabel patrzy za nim.

*Fundamentalisci powinni go zobaczyć, zanim zaczną dowodzić, że nie pochodzimy od małp.*

*Drogi Dzienniczku:*

*Oto jest mój pamiętnik, który zamierzam odwiedzać przynajmniej raz dziennie przez resztę mojego życia...*

Przewraca kartkę.

*Chciałbym na początek zająć się naturą dzikich zwierząt. Bardzo mnie złością. Nawet nie próbują się przystosować do ludzkiego świata. Nic ich nie obchodzą. Nic ich nie obchodzi, czy złamią komuś rękę. Nic ich nie obchodzi, czy zranią twoje uczucia. Nic ich nie obchodzi,*

*gdy spóźnisz się na pociąg. Mówiąc w skrócie, nic ich nie obchodzi-  
my...*

Isabel przerzuca strony gęsto zapisane niemal nieczytelnymi ba-  
zgrolami Bena.

*Przekonałem się, że ci z północy są źli. Najbardziej nowojorczy, ale ogólnie wszyscy z północy. Nikt ich nie obchodzi. Południowcy są zupełnie inni. To najlepsi ludzie, jacy istnieją. Naprawdę mają serce. Nigdzie indziej nie ma takiego dobrego jedzenia. A skoro tak dobrze gotują, to znaczy, że mają dobre serca.*

*Na litość boską, dlaczego Ben chciał, żebym to wszystko czytała? Nic mnie nie obchodzi jego pokręcony dziennik.*

- Isabel? - Connie, która zwykle pracuje na nocną zmianę, podcho-  
dzi do niej z przepaszającym uśmie- chem.

- Przyszedł Larry i prosi, żeby wszyscy zebrali się w świetlicy na nadzwyczajną sesję. Musisz tam iść.

- Nie chcę iść na sesję. Chcę zostać tutaj - odpowiada Isabel.

- Wiem, kochana, ale Larry mówi, że to ważne i że wszyscy mają przyjść.

- Bla, bla, bla. Chce rozmawiać o tym, „jakie wrażenie zrobiła na nas śmierć Lark”. - Isabel przedrzeźnia poważny ton Larry'ego. - Nie mam ochoty o tym gadać. Przykro mi, Connie, ale nigdzie nie idę.

Connie przykuca przed nią.



- Kochanie, wiemy, że widziałaś Lark. Tylko ty ze wszystkich pacjentów widziałaś ją wtedy. To bardzo dramatyczne przeżycie. Larry'emu bardzo zależy, żebyś przyszła z nim porozmawiać.

- O czym tu rozmawiać? Lark się zabiła. A wy wszyscy nawaliliście. Kontrole w sypialniach, sprawdzanie z latarkami, zamykanie niebezpiecznych przedmiotów. Tyle zachodu, a okazuje się, że nie potraficie zapewnić pacjentowi bezpieczeństwa w biały dzień, tuż pod waszymi nosami. Larry chce, żeby to się skrupiło na nim, a nie na was - bez urazy, Connie. Nie chce mi się tego słuchać. Chcę zostać sama.

Wstaje z krzesła i schodzi po zboczu w stronę położonej niżej łąki. Connie wraca do budynku, zapewne po Larry'ego. Rzeczywiście, po chwili Larry pojawia się w drzwiach i zmierza prosto w stronę Isabel, która teraz siedzi na trawie ze skrzyżowanymi nogami.

- Larry, nawet się nie wysilaj ! - woła do schodzącego z górki terapeuty. - Wiem, że chcesz, żebym przyszła na zajęcia, ale nie pójdę, więc możesz od razu wracać na oddział.

- Chciałbym z tobą przez chwilę porozmawiać, Isabel. Dobrze? - Stara się bardzo, żeby nie brzmiało to groźnie. - A potem, jeśli chcesz przyjść na terapię, to dobrze, a jeśli nie, to nie.

*Aha, akurat.*

Larry z westchnieniem siada na trawie obok niej.

- Nie będę owijał w bawełnę. Jesteś inteligentną kobietą i wiesz, dlaczego chcę z tobą rozmawiać. Martwi mnie to, że widziałaś śmierć Lark. To bardzo wstrząsający widok nawet dla profesjonalisty. Chciałbym wiedzieć, co pomyślałaś, gdy ją zobaczyłaś?

*Nic nie pomyślałam. Zupełnie nic.*

- Nic - odpowiada, wzruszając ramionami.

- Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że najprawdopodobniej nadal jesteś w szoku. To był okropny widok.

- Nie wiem, Larry, i naprawdę chciałabym zostać teraz sama. Nie mam nic do powiedzenia.

- Dobrze, zostawię cię na razie. Jeszcze tylko jedno pytanie i będziesz miała mnie z głowy.

- Tak?

- Czy wiedziałaś, jak głęboko zaawansowana była choroba Lark?

- Co takiego? Czy przypadkiem nie obowiązuje cię w tych sprawach tajemnica lekarska? Jesteś pewien, że powinieneś mówić mi takie rzeczy o Lark? Jezu.

- Chyba nie słyszałaś, co powiedziałem. Przecież nic nie mówię na temat Lark. Pytam po prostu, czy ty wiedziałaś, jak głęboko sięga jej choroba. Wiedziałaś czy nie?

- Nie. Na pewno nie tak jak ty. Nie przyjaźniłam się z nią blisko, jeśli o to pytasz.

- Dobrze. W takim razie skoro nie wiedziałaś, jak poważne są problemy Lark, to przypuszczam, że nie można było oczekiwać od ciebie, że ją uratujesz, prawda?

- Rozumiem.

Przez chwilę obydwójce milczą. Isabel próbuje skupić uwagę na szeregu mrówek, które wynoszą drobiny ziemi ze swego apartamentowca w mrowisku.

- Isabel, powiem ci wprost. Będziesz musiała zdecydować, czy pozwolisz sobie utonąć w tym doświadczeniu, czy też nauczysz się pływać. Nikt z nas nie podejmie tej decyzji za ciebie. Tu, w Three Bree-

zes, jest wiele takich osób jak Lark. Zawsze były i zawsze będą. Ty do nich nie należysz. Jesteś w wyjątkowej sytuacji, bo potrafisz sama sobie pomóc. Wielu z naszych pacjentów nigdy nie będzie w stanie tego zrobić. Wiem, że to mocne słowa, i proszę, nie sądź, że moja szczerść ma na celu zbagatelizowanie twojego cierpienia. Ale wyczuwam, że w głębi duszy sama wiesz o tym, że nie zostaniesz tu już długo. Ty jesteś w stanie się podnieść. Lark nigdy nie dałaby rady tego zrobić.

Isabel spogląda na Larry'ego z twarzą zalaną łzami.

- Nie mogliście jej jakoś pomóc? Może ja mogłam - płacze. - Może by się jakoś wy dźwignęła...

- Nigdy - mówi Larry łagodnie.

Wstaje, przeciąga się i osłania oczy przed słońcem. Isabel patrzy przez trawnik i wyciera nos.

- Do zobaczenia, Isabel.

Odwraca się i patrzy, jak Larry wraca przez trawnik do budynku. Ben i Kristen już czekają na niego na tarasie. Nawet stąd Isabel widzi, że Kristen drapie się po przedramieniu. Gdy Larry jest już niedaleko, Ben zrywa się na nogi i klaszcze w dłonie jak dziecko uradowane Bożym Narodzeniem. Obydwoje wchodzą do środka za terapeutą i szczerście zamykają za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

- Co ty robisz? - Isabel pyta Kristen.

- Ćśśś! Nie tak głośno. Chcesz jednego? – szepcze Kristen przez ramię, sięgając do automatu po butelkę snapple'a.

- Nie.

- Nikt się nie dowie - oświadcza Kristen obronnie. Potrząsa butelką mrożonej herbaty i zdejmuje zakrętkę. - Robię to codziennie i nikt mi jeszcze nic nie powiedział. W ogóle się nie zorientowali. A w dodatku wrzutnik monet jest zepsuty. Sprawdź!

- Nie płacisz za to?

- Widziałam, jak pielęgniarki to robiły. Skoro one mogą, to dlaczego nie ja?

- Dlatego - odpowiada Isabel celowo mentorskim tonem - że po pierwsze, to jest barek dla pracowników. Powtarzam, dla pracowników. Rozumiesz, to są tacy ludzie, którzy dostają pieniądze za to, że tu przychodzą. Jasne?

Kristen wybucha śmiechem i pociąga łyk z butelki.

- Pani Mądralińska. Zawsze udaje mi się wypić do końca, zanim trzeba wracać na oddział.

- Cóż za osiągnięcie - mruczy Isabel.

- Jakim prawem oni zabraniają nam napić się czegoś dobrego?

- Prawdziwy z ciebie Nelson Mandela.

- Kto?

Isabel odwraca się na pięcie i wychodzi.

*Larry ma rację. To nie jest moje miejsce. Muszę się stąd wydostać.*

W pół godziny później zapisuje wyjście na spacer. Nogi same niosą ją w stronę oddziału Petera. Siada na dużym kamieniu i patrzy na drzwi, zastanawiając się, co Peter robi za tymi drzwiami.

*Może koloruje obrazek. Może czyta. „Harry'ego Pottera”? Mam nadzieję... Mam nadzieję, że ma jakąś swoją metodę ucieczki od tego wariactwa.*

- Chcę wyjść z tego szpitala - mówi Isabel, siadając na krześle w gabinecie terapeutki. - Jak mam się do tego zabrać? Proszę mi powiedzieć. Pytam poważnie.

Doktor Seidler uśmiecha się.

- Najwyższy czas.

- Jak mam to zrobić?

- Po kolei. Najpierw porozmawiajmy o tym, jak doszło do tego, że podjęłaś taką decyzję.

- Doznałam oświecenia... Wstałam z łóżka prawą nogą... Zjadłam dobrą kolację... Sama nie wiem. – Isabel nie ma ochoty zagłębiać się w szczegóły. Po prostu wie, czego chce. - Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić.

- Dobrze, zacznijmy w ten sposób: rozmawiałam z twoją poprzednią terapeutką, Moną - pamiętasz, wspominałam ci o naszych rozmowach przez telefon - i obydwie uważamy, że dobrze byłoby, gdybyś zaczęła powoli wracać do zwykłego życia. Możesz pojechać w tym tygodniu na spotkanie z nią, a potem wrócić tutaj.

- Mam pojechać na Manhattan?

- Tak. Takie ćwiczenia terenowe. To pomoże złagodzić szok powrotu.

- To znaczy, że podpisze mi pani zgodę na wyjście stąd? Chodzi mi o wyjście na dobre. Jeśli przejdę ten test?

- To nie jest test. Myślę po prostu, że lepiej, jeśli twój powrót będzie się odbywał powoli.

- Dobrze, zgoda. Dostanę tu gdzieś rozkład jazdy pociągów?

- Jest w recepcji, przyniosę ci wieczorem. To jest bardzo proste. Pielęgniarka zamówi taksówkę, którą dojedziesz na stację, a stamtąd pociąg dowiezie cię na Manhattan. Pójdiesz na spotkanie z Moną, a potem znów wsiądziesz do pociągu i wrócisz tutaj. Czujesz się na siłach to zrobić?

- Tak.

*Ufają mi? Skąd mogą wiedzieć, że nie kupię po drodze żyletek?*

- Myślę, Isabel, że poradzisz sobie doskonale -uśmiecha się doktor Seidler. - Moim zdaniem jesteś na to gotowa. A tymczasem może porozmawiamy o twoim ostatnim dniu w pracy. Zanim tutaj trafiłaś. Co się stało po tym, jak... - odchrząkuje - jak, hm...

- Po tym, jak położyłam program na żywo? – prycha Isabel.

\*\*\*

- Mów - odezwał się John, nie podnosząc głowy.

Zawsze robił kilka rzeczy naraz i jego współpracownicy nauczyli się już, że nie należy czekać na jego pełną uwagę.

Isabel jednak nie była w stanie nic powiedzieć.

Patrzyła na czubek jego głowy pochylonej nad laptopem, obok którego na stercie kartonowych teczek balansowało kartonowe pudełko z chińskim jedzeniem na wynos.

- Jak kichniesz, to zginiesz - mruknął, sięgając po telefon i jednocześnie stukając w klawiaturę.

Isabel stała bez słowa. Po chwili, gdy nie udało jej się zwilżyć wyschniętych warg, odchrząknęła z nadzieją, że w ten sposób pozbędzie się kwaśnego smaku w ustach.

John powiedział do kogoś kilka zdań, odłożył słuchawkę i podniósł głowę.

- No i co? - zapytał.

Obrzucił ją wzrokiem, opuścił głowę i znów ją podniósł, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Jego głowa znieruchomiała.

- Powiedz coś.

Po raz pierwszy w życiu zdobyła jego niezakłóconą uwagę, a mimo to nie potrafiła znaleźć słów.

*Skup się. Skup się.*

- Czy moglibyśmy... hm... przepraszam... - Odkasznęła. - Czy możemy zamknąć drzwi? - dokończyła szeptem.

John podszedł do drzwi, ściągnął przerzucone przez nie kurtki, zamknął je i wskazał jej krzesło.

Isabel przycupnęła na brzeжку krzesła i wbiła wzrok w swoje kolana.

- Co się dzieje, dziecko?

*Dziecko.*

- Bez względu na to, co to jest, jakoś sobie z tym poradzimy.

Isabel wzięła głęboki oddech i rzuciła się na głęboką wodę.

- Chodzi o to, że...

Ale słowa znowu uwięzły jej w gardle.

- Dasz radę - rzekł John wyczekująco.

*Dasz radę.*

- Potrzebne mi zwolnienie lekarskie. Już od teraz.

- Teraz, to znaczy...?

- Teraz, w tej chwili. Od jutra.

John nawet nie mrugnął.

- Skoro tego potrzebujesz, to masz tyle wolnego, ile chcesz.

Isabel nie była przygotowana na takie bezwarunkowe wsparcie.

- Ale... ale wiem, że zostawiam was na lodzie i nie chciałabym...

- Isabel. - W głosie Johna łagodność mieszała się z szorstkością. -  
Twoje zdrowie jest ważniejsze. Czy możesz dzisiaj jeszcze dokończyć dyżur przy depeszach? Jeśli nie, to powiedz, ale może być ciężko ściągnąć tu kogoś innego w świąteczny weekend.

- Mhm, tak.

- Na pewno?

*Nie.*

- Tak.

- To dobrze. W takim razie od jutra idziesz na zwolnienie.

- Nawet nie zapytałeś dlaczego.

- Gdybyś uznała, że powinienem to wiedzieć, sama byś mi powiedziała. Idź już i zajmij się tym, co masz do zrobienia.

Oderwała od niego wzrok i jej oczy wypełniły się łzami. Z wielkim wysiłkiem wstała i odwróciła się do drzwi. Sięgając do klamki, wyprostowała ramiona, wzięła jeszcze jeden głęboki oddech, otarła policzki z łez i po raz ostatni nałożyła na twarz maskę.

- Nie zapytał, dlaczego potrzebujesz zwolnienia? - dziwi się doktor Seidler.

- Nie - mówi Isabel. - Nawet nie wyglądał na zaciekawionego. Tak jakby wyczuł, że nie jestem w stanie o tym mówić, cokolwiek to było.



- To ciekawe.

- Dlaczego?

- Zastanawiam się, jak się wtedy czułaś. Siedziałaś w jego gabinecie... to była bardzo niekomfortowa sytuacja. Co sobie pomyślałaś, gdy ci powiedział, że możesz wziąć tyle wolnego, ile chcesz?

Isabel wróciła myślami do tamtego dnia, który teraz wydawał się wspomnieniem z zupełnie innego życia.

- Pomyślałam, że gdybym zawiodła Johna, to nie potrafiłabym żyć sama ze sobą. Myślałam, że po prostu pójdę do domu i zrobię to.

- Co zrobisz?

- Zabiję się.

- Dlatego że rozczarowałaś Johna?

- Szczerze mówiąc, to i tak planowałam to zrobić. Ale gdyby John powiedział wtedy, że zostawiam go na lodzie, to zrobiłabym to wcześniej.

- Nie chciałaś go rozczarować.

Isabel kiwa głową.

- Widzisz, najbardziej interesujące wydaje mi się to, że takie uczucia są charakterystyczne dla relacji z ojcem. Wielu ludzi obawia się zawieść oczekiwania ojca, nie szefa. Zdaje się, że traktowałaś Johna jak postać ojcowską - był kimś, kto o ciebie dbał, troszczył się. Tak?

Isabel znów kiwa głową.

- Gdy do niego poszłaś, byłaś u kresu wytrzymałości, a on poczuł się za ciebie odpowiedzialny i zaoferował ci bezwarunkowe wsparcie, nie pytając nawet, o co w ogóle chodzi. Ta sytuacja była dla ciebie lekarstwem. Coś takiego mógłby zrobić ojciec. I John to zrobił. Sprawdził się.

- Tak. Ale ja wtedy naprawdę wyglądałam okropnie. Może dlatego nie zadawał mi żadnych pytań.

- Widzisz? Nawet teraz nie potrafisz tego przyjąć. Tak jakbyś nie mogła uwierzyć, że ktoś może ci dać bezwarunkowe wsparcie, gdy tego potrzebujesz najbardziej. Jakbyś nie potrafiła zaufać.

Isabel zastanawia się nad słowami lekarki. Wyobraża sobie doktor Seidler jako ogrodniczkę z wielką motyką, którą przekopuje glebę jej duszy. Przygląda się i widzi - co? Kompost? - zastanawia się cynik w duszy Isabel. I co posadzi w miejscu, które przekopała? Co tu urośnie, nie wspominając nawet o kwitnieniu?

- Chcę zaufać. - Głos Isabel jest tylko odrobinę donośniej szy od szeptu. - Chcę.

- Więc dlaczego tego nie zrobisz? Jakie to uczucie czuć ciepło ze strony kogoś, kto rzuca ci linę ratunkową w chwili, gdy walczysz o złapanie oddechu? Nie musisz mi odpowiadać. Pomyśl tylko, jakie to musi być wspaniałe uczucie: wiedzieć, że ktoś jest po twojej stronie, gdy najbardziej tego potrzebujesz.

Isabel czuje, jak małe nasionko wpada głęboko w jej duszę i jest pewna, że kiedyś z tego nasionka powstanie kwiat.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

W dwadzieścia cztery godziny później Isabel siedzi w pociągu.

*Dlaczego serce bije mi tak szybko? Przecież przez całe życie jeździłam pociągami. Ten wyjazd to bułka z masłem; naprawdę nie ma tu miejsca na żaden błąd. Po prostu wyjeżdżam i wracam. Więc dlaczego tak mi słabo?*

- Pociąg przybędzie do stacji Grand Central o godzinie drugiej dziesięć. Grand Central druga dziesięć. - Głośny komunikat konduktora oplata się wokół jej trzewi i zaciska jak trujący bluszcz.

*Jezu. Może jednak nie jestem jeszcze gotowa. To wszystko dzieje się tak szybko.*

- Jedzie pani do końca? - Konduktor staje w przejściu między siedzeniami, niecierpliwie postukując dziurkaczem do biletów.

Isabel odwraca głowę od okna, za którym stacja znika z oczu w przerażającym tempie.

- Słucham?
- Jedzie pani do Grand Central?
- Och. Tak.
- Pięć siedemdziesiąt pięć.

Isabel wyciąga portfel i niepewnie grzebie w banknotach.

*Czy powinnam mu dać dwudziestkę czy dziesiątkę? Może w mieście będę potrzebowała drobnych? Mogłabym mu dać odliczone pieniądze, ale może lepiej zatrzymać te mniejsze banknoty?*

- Proszę pani? Pięć siedemdziesiąt pięć.

Isabel ze zdenerwowaniem podaje mu dwudziestodolarowy banknot, na który konduktor spogląda z lekką irytacją.

- Nie ma pani nic drobniejszego?

- Przykro mi, ale nie - kłamie.

Konduktor z westchnieniem wydaje jej resztę i podchodzi do następnego pasażera. Isabel dopiero teraz uświadamia sobie, że przez cały czas wstrzymywała oddech.

*Uspokój się. Uspokój się.*

W czterdzieści minut później w wagonach rozlega się komunikat:

- Stacja Grand Central. Stacja Grand Central. Ostatni przystanek.

Isabel zaciska dłoń na paskach torebki, której przez całą drogę nie zdjęła z ramienia.

- Stacja Grand Central. - Głos odbija się echem w jej głowie, gdy wychodzi wraz z tłumem pasażerów na peron dworca.

Zatrzymuje się i rozgląda wokół, jakby po raz pierwszy widziała ten wielki budynek.

*Wyglądam jak turystka z Iowa błakająca się po Times Square. Brakuje mi tylko takiej okropnej torebki na pieniądze przypinanej do paska. Czy tu zawsze było takie echo? Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.*

Powoli przesuwa się przez zgiełk w stronę wyjścia, z którego przyzwyczała się korzystać. Przy Vanderbilt Avenue zawsze stoją taksówki. O tej porze czeka tam długi sznur głodnych kierowców.

*Mam mnóstwo czasu. Nie wiem, po co przyjechałam tak wcześnie. Może powinnam zaoszczędzić i wsiąść do metra. Taksówka będzie kosztowała kupę pieniędzy. Przecież mam czas.*

Po raz szósty z kolei zerka na zegarek. *Teraz są na popołudniowych zajęciach.*

Wraca do budynku dworca i idzie za znakami, które prowadzą do stacji metra. Nie pomyślała wcześniej o tym, że nie zna tej konkretnej linii i chaos w jej myślach staje się jeszcze większy.

*Uspokój się. Uspokój się.*

Labirynt kolorowych kresek na mapie metra rozmazuje jej się w oczach.

*Jezu. Nie wiem, gdzie jestem. Jak mam się odnaleźć na tej mapie? Dobra, uspokój się. Dam sobie radę. Przecież przez cały czas jeżdżę metrem.*

Ogłuszający huk zbliżającego się pociągu zagłusza jej myśli. Od widoku pasażerów, którzy przepychają się przez kołowroty przy wejściu i przebiegając obok niej, wskakują do wagonów, zaczynają boleć głowa. Czuje przymus zrobienia czegoś; wsiada do pociągu.

- Przepraszam panią, czy to jest czwórka czy szóstka na północ? - pyta dobrze ubraną kobietę.

- Słucham? Nie. To jest ekspres, szóstka do centrum. Następny przystanek to Police Plaža – wyjaśnia kobieta urażonym tonem.

*Uważa mnie za wariatkę. Wie, że jestem na przepustce ze szpitala dla umysłowo chorych. Boże, muszę natychmiast wsiąść z tego pociągu. Stop! Zatrzymać pociąg!*

Przebiega wzrokiem po mapie przybitej do drzwi wagonu.

*Jezu, jak mam się stąd wydostać?*

Pociąg, kołysząc się w przód i w tył, przemyka przez podziemne tunele. Isabel trzyma się uchwytu nad głową, ale przy każdym wstrząsie ma wrażenie, że ramię zaraz wypadnie jej ze stawu. Puszcza uchwyt, ale przytrzymuje się oślizłej poręczy, którą ma przed sobą.

*Skup się. Skup się. Na jaką linię powinnam się przesiąść w centrum?*

- Następny przystanek City Hall. City Hall, następny przystanek. - Komunikat brzmi niewyraźnie i Isabel może odróżnić tylko słowa „przystanek” i „hall”.

Pociąg zwalnia, wjeżdżając na słabo oświetlony peron. Co kilka metrów wzdłuż torów znajdują się napisy: City Hall.

Drzwi się otwierają. Isabel wysiada. Dokoła niej tłoczą się inni pasażerowie, którym śpieszy się, żeby wysiąść, zanim drzwi się zamkną i pociąg popędzi na Brooklyn. Przez chwilę stoi zupełnie nieruchomo, kurczowo ściskając torebkę.

*Co ja mam teraz zrobić?*

Peron pustoszeje. Isabel ostrożnie idzie przez mroczne tunele w stronę kołowrotów przy wyjściu. Jej kroki odbijają się echem od ścian. Zapach moczu i papierosów wzmacnia jej lęk i poczucie izolacji. Zbliżając się do końca tunelu, dostrzega światło słoneczne padające od strony brudnych schodów i zaczyna biec. Po wyjściu z wilgotnych podziemnych korytarzy dotyk słońca na nagich ramionach jest kojący. Zatrzymuje taksówkę i wsiada do niej z ulgą.

- Proszę na róg Dziewięćdziesiątej Szóstej i Central Park West.

- Bardzo się cieszę, że cię widzę, Isabel! - Rozpromieniona Mona składa ręce jak do modlitwy.

Isabel przekracza próg jej gabinetu i wybucha płaczem. Mona prowadzi ją na kanapę, bez słowa gładzi po plecach i czeka, aż jej pacjentka sama zacznie mówić.

- Nie mogę - wykrztusza Isabel między jednym spazmem a drugim.  
- Niepotrzebnie tu przyjeżdżałam.

- Zrób najpierw kilka głębokich oddechów – radzi Mona. - Oddychaj głęboko. O, tak. Dobrze. A teraz powiedz mi, co się stało?

Słowa zaczynają płynąć jak lawina.

- Wszystko mi się pokręciło. Zgubiłam się. Wszystko tu jest jakieś dziwne. A wcześniej uwielbiałam to miasto. Znałam je na wyrywki. Wszystko zapomniałam. To już nie jest moje miejsce. Niepotrzebnie tu przyjeżdżałam.

- Mogę sobie wyobrazić, jakie to dla ciebie przerażające doświadczenie. Nie zapominaj, że spędziłaś w Three Breezes prawie miesiąc. To zupełnie inne, bezpieczne i kontrolowane otoczenie. Nowy Jork potrafi oszołomić, Isabel.

Z każdym kolejnym głębokim oddechem serce Isabel uspokaja się coraz bardziej. Głos Mony działa na nią kojąco.

*Wszystko już dobrze. Wszystko dobrze.*

- Ale najważniejsze jest to, że ci się udało!

- Więc teraz powinnam traktować jak sukces to, że potrafię dojechać na miejsce? - prycha Isabel.

- Tak. Na dzisiaj, biorąc pod uwagę to, przez co przeszłaś w ciągu ostatnich tygodni, to jest sukces.

- Mona wskazuje jej chusteczki i Isabel posłusznie po nie sięga.

- Czy chcesz porozmawiać o szpitalu?

Isabel gwałtownie potrząsa głową, wydmuchując jednocześnie nos.

- Ale od czegoś musimy zacząć, więc ciekawa jestem, czy byłaś w stanie zastanowić się nad problemem z Alexem? Dlaczego z nim byłaś?

Pracowały nad tym podczas każdego prawie spotkania przez kilka miesięcy przed szpitalem, jakby chodziło o rozwiązanie zagadki: dlaczego i jak to się dzieje, że ktoś pozostaje w krzywdzącym związku?

Isabel podnosi wzrok znad zwiniętej w kulkę chusteczki i przypomina sobie słowa matki: „Musisz być sobą, Isabel”. Naraz wszystko staje się jasne.

- Bo nienawidziłam siebie... - Zawiesza głos i po chwili podejmuje:  
- Nie nienawidziłam siebie dlatego, że z nim byłam, tylko byłam z nim dlatego, że nienawidziłam siebie. Jak mogłam oczekiwać, by ktokolwiek traktował mnie dobrze, skoro sama siebie nie traktowałam dobrze?

Pozwala, by te słowa pozostały z nią przez chwilę, spowijając ją jak miękki szlafrok hotelowy. Przez krótki moment widzi swoje życie tak, jak musiałyby je widzieć ktoś obcy.

- Właśnie tak. - W uszach zaczyna jej szumieć.
- Dotarło to do mnie. To proste.
- Na pewno jest to początek - uśmiecha się Mona.
- Ale najważniejsze pytanie brzmi: czy nadal siebie nienawidzisz?

Isabel spogląda jej prosto w oczy.

- Nie. Myślę, że nie.

Te słowa wyznaczają przełom.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie tu jest informacja?

- Słucham? - Isabel odwraca głowę w stronę pytającego.

Wysoki student, Niemiec, stoi zbyt blisko niej i mówi za głośno.

*To tak, jakbym widziała dwa nałożone na siebie obrazy: na jednym ktoś stoi blisko, a na drugim mówi głośno. Kim jest ten, kto stoi blisko? No przecież wiesz. Stoi blisko. Stoi blisko. Judge Reinhold!*

Isabel patrzy na niego.

- Nie wie pani - stwierdza Niemiec i rusza w kierunku mężczyzny, który pali papierosa tuż obok wejścia na dworzec Grand Central.

Isabel nagle przytomnieje.

- Tam dalej! - woła za nim. - W dół po schodach, pośrodku sali. Pod okrągłym zegarem!

- Dziękuję - odpowiada chłopak i wchodzi do budynku, popychając przed sobą ciężkie drzwi.

Isabel odczekuje sekundę i idzie za nim, po drodze rzucając okiem na wielki rozkład jazdy na drzwiach.

W pociągu siada na pustym miejscu przy oknie i przymyka oczy. Dopiero gdy słyszy konduktora, otwiera je i bez namysłu płaci za bilet odliczonymi drobnymi.

Całą drogę przesypia.

- Dokąd?

- Do szpitala Three Breezes - odpowiada Isabel taksówkarzowi.

- Odwiedza pani kogoś?

- Tak - mruczy Isabel.

Nie ma odwagi przyznać się do swoich związków z tym miejscem.

- Proszę bardzo - odpowiada taksówkarz, wyjeżdżając w kierunku szpitala. - Do wariatkowa.

TLR

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Isabel przysuwa składane krzesło do telefonu, który znajduje się w kuchence na oddziale.

- Cześć, Isabel. Mówi Goodman. Dzwonię, żeby zapytać, co u ciebie słychać. Dawno z tobą nie rozmawiałem. Nie wiem, czy sprawdzasz wiadomości, ale gdybyś jednak sprawdzała, to chciałem ci powiedzieć, że jakoś sobie poradziliśmy z tą, hm, sytuacją, i nie musisz się o nic martwić. Nie jestem pewien, czy odebrałaś wiadomość, którą ci zostawiłem parę tygodni temu. Chciałem ci wtedy powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Rozmawiałem z kadrami i dopilnowałem, żeby dotarły do nich formularze twojego zwolnienia. Mają wszystkie papiery, więc nie powinno być problemu. Jeśli możesz, to zadzwoń do mnie. Na razie.

- Isabel? Cześć, to ja. Wiem, że nie jestem pewnie osobą, którą najbardziej chciałabyś usłyszeć, ale chciałem ci powiedzieć, że bardzo mi przykro. Dzwoniłem do ciebie, ale przez cały czas odzywała się sekretarka.

Wyjechałaś gdzieś? Pomyślałem, że tym razem zostawię wiadomość, bo może odsłuchujesz. Mhm, i chciałem ci powiedzieć, że chodzę na terapię. Tak jak obiecałem. Chodzę. Nie skreślaj mnie całkiem, dobrze? Proszę cię.

- A niech to. Ta cholerna sekretarka nie pozwoliła mi skończyć. To znowu ja. Wiem, że pewnie mi nie uwierzysz, ale kocham cię, Isabel.

- Isabel, mówi Ted Sargent. Chcielibyśmy się z tobą spotkać w najbliższym możliwym terminie. Jeśli możesz, to zadzwoń do mojej asystentki i ustal z nią datę. Ma na imię Deborah, wewnętrzny 5421. Dziękuję.

- Isabel? Cześć, tu mówi Michele z pracy. Hm, chciałam cię tylko uprzedzić, że Sargent tu był i pytał o ciebie. Nie chciałam cię martwić, ale wyglądał na wkurzonego. Kiedy mu powiedziałam, że jesteś na zwolnieniu chorobowym, to poszedł do Johna i przez jakieś dziesięć minut rozmawiali za zamkniętymi drzwiami. Czy wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, Isabel, tu Deborah, asystentka Teda Sargenta. Ted prosił, żebym zadzwoniła do ciebie i umówiła cię na spotkanie z nim i jeszcze kimś z kadr. Proszę, zadzwoń do mnie pod 5421. Dziękuję.

- Isabel odkłada słuchawkę automatu i skupia wzrok na metalowych kwadracikach przycisków z cyframi. Im dłużej patrzy, tym bardziej przyciski rozmazują jej się w oczach.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

- To się powtórzyło.
- Co się powtórzyło?
- Sparaliżowało mnie w drodze do miasta - wyjaśnia Isabel.

*Proszę, nie mów mi tylko, że wszystko znowu zaczyna się od początku.*

- Tak samo jak wtedy w pracy? Po śmierci Diany?
- Tak, coś podobnego. Chociaż tym razem to nie było tak silne.
- Łagodniejsze?
- Nie. Sama nie wiem.
- Opowiedz mi o tym.

Podczas całego spotkania Isabel z trudem walczy o zachowanie koncentracji.

- Bardzo się staram *{skup się}*... Bardzo się staram, żeby wszystko nie zlewało mi się w oczach. Najłatwiej jest mi *(skup się)* wpatrywać się w jeden punkt. Muszę się chwilę zastanowić. - Isabel jak zahipnotyzowana patrzy w podłogę przy stopach doktor Seidler.

Przez jakieś pięć minut milczy.

- Znowu czuję się odrętwiała.

*Przynajmniej teraz mówię o tym głośno. To chyba o czymś świadczy, prawda?*

- Czy właśnie to się zdarzyło w Nowym Jorku? Poczulaś się odrętwiała?

- Trochę tak - nie odrywa wzroku od podłogi – trochę tak, jakbym była w śpiączce, w transie albo coś w tym rodzaju. Słyszałam wszyst-

ko, co działo się wokół mnie, ale nie byłam w stanie poruszyć żadnym mięśniem.

- A czy wcześniej poczułaś panikę? Coś cię zaniepokoiło? Rozmawiałam dziś rano z Moną. Powiedziała mi, że gdy dotarłaś do jej gabinetu, byłaś bardzo zdezorientowana. Zgubiłaś się. Czy możesz mi o tym opowiedzieć?

Isabel odrywa wzrok od podłogi i dla odmiany patrzy przez okno na łuszczącą się korę brzozy, która rośnie tuż obok budynku.

- Próbuję dotrzeć do przyczyn tych ataków. To mi wygląda na silne ataki paniki - wyjaśnia doktor Seidler. - W niektórych wypadkach można je określić jako psychotyczne ataki paniki.

- Ale ja nie wpadam w szal ani nic takiego. - *Psychoza, psychoza.* - Nie jestem psychopatką!

- W tym wypadku „psychotyczny” oznacza po prostu „silny”. Nie chciałam powiedzieć, że jesteś niebezpieczna dla innych czy że używasz przemocy, bo jestem przekonana, że tak nie jest. Pytam jeszcze raz, czy ten atak był równie silny jak poprzednie?

- Hm, nie. Chyba nie był tak silny. Ale to pewnie dlatego, że nie znałam tam nikogo. Wtedy, w pracy, byłam na wizji, w studiu, otoczona ludźmi, których znałam.

Isabel przypomina sobie wiadomość zostawioną na sekretarce.

- Zdaje się, że chcą mnie wyrzucić za tamto. Zadzwoiłam pod swój numer i odsłuchałam wiadomości. Chcą się mnie pozbyć.

Piekące łzy napływają jej do oczu.

- Bardzo mi przykro. Ale czy jesteś pewna? Może coś źle zrozumiałaś?

- Jestem pewna.

Milczenie.

- Isabel, powiem ci coś banalnego, ale prawdziwego. Nowe początki rodzą się z końca dawnych początków.

- Wiem, wiem... gdy jedne drzwi się zamykają, inne się otwierają - wzdycha Isabel. - I tak dalej, i tak dalej.

- Chcę ci powiedzieć, że to się łatwo leczy. Możemy ci przepisać jakiś środek, który pomoże opanować panikę. Miliony ludzi na świecie cierpią na takie ataki lęku. Istnieje bardzo skuteczne lekarstwo, które polecałabym w tym wypadku, nazywa się xanax. Mogłoby znacznie zmniejszyć nasilenie twoich ataków, a może nawet sprawić, że zniknęłyby zupełnie. To lekarstwo, plus oczywiście i przede wszystkim praca nad przyczynami, które wywołują w tobie panikę, może się okazać doskonałą metodą leczenia. Nie sędzę, żeby to miało wpłynąć na przedłużenie twojego pobytu w szpitalu.

- Naprawdę? - ożywia się Isabel.

- Naprawdę - uśmiecha się doktor Seidler. – Mogę ci je zapisać jeszcze dzisiaj i zobaczymy, jak zadziała. Chciałabym się upewnić co do wielkości dawki, bo bierzesz już serzone i zyprexe. Xanax często zwiększa skuteczność antydepresantów. W twoim wypadku też możemy mieć taką nadzieję.

Isabel rozjaśnia się po raz pierwszy w ciągu tego spotkania.

- Więc nadal pani myśli, że mogę stąd wyjść pomimo tego ataku? To w niczym nie przeszkadza?

- Zupełnie nie. Jak już powiedziałam, silne napady panicznego lęku zdarzają się częściej, niż mogłabyś przypuszczać, i z tego powodu nie zamyka się ludzi w szpitalach. Dla mnie najważniejsze są twoje umie-

jętności radzenia sobie z życiem oraz depresja. To jest i pozostanie najważniejszą sprawą, na której musisz się skupić. A te ataki paniki - jestem przekonana, że damy sobie z nimi radę na tyle, żeby nie stwarzały ci więcej problemów. Zdziwiłabym się, gdyby twoja podróż do Nowego Jorku przebiegła zupełnie gładko. Można powiedzieć, że czegoś takiego należało się spodziewać.

Isabel nie śpieszy się z powrotem na oddział. Ścieżka zbacza w prawo i po raz pierwszy Isabel postanawia pójść w stronę pracowni plastycznej. Wie, że pacjenci z jej oddziału będą mieli tam zajęcia dopiero później.

Przechodzi przez trawnik i zatrzymuje się przy drzwiach pracowni, nasłuchując, czy ze środka dochodzą jakieś odgłosy, ale gdy nic nie słyszy, uchyla drzwi. W pracowni pachnie jak w szkole podstawowej: masą papierową i terpentyną. Isabel cicho zamyka za sobą drzwi i przygląda się akwarelkom, którymi obwieszono wszystkie ściany pomieszczenia. Światło słońca, wpadające do środka przez wielkie okno, nagrzewa gliniane figurki pozostawione na stołach do wyschnięcia. Isabel dotyka ich bezwiednie: popielniczka, wazonik, popiersie starszej kobiety.

Zamierza wyjść, gdy słyszy jakiś dźwięk. Zza zamkniętych drzwi prowadzących do tylnej części budynku dochodzą stłumione pochrząkiwania. Isabel przez chwilę nasłuchuje, próbując określić charakter tych dźwięków. Pochrząkiwania powtarzają się coraz częściej i teraz wyraźnie mieszają się z westchnieniami kobiety.

*A niech mnie! Ktoś tu uprawia seks.*

Sięga ręką do klamki, ale zatrzymuje się z wahaniem.



*A jeśli to na przykład któryś lekarz? Wolę tego nie widzieć. Ale, co mi tam! Nie wyjdę stąd, póki nie sprawdzę, kto to taki.*

Ciekawość przeważa. Isabel wstrzymuje oddech, przekręca klamkę i leciutko uchyla drzwi, starając się poruszać jak najciszej. Staje poza zasięgiem wzroku tego, kto znajduje się za drzwiami, i zerka do środka.

Na stole przed piecem do wypalania gliny leży Kristen, a między jej nogami stoi sanitariusz Nick, syn Connie.

*O Boże.*

Isabel zamyka drzwi i wybiega z pracowni, pewna, że Nick za chwilę podciągnie spodnie i pobiegnie szukać tego, kto ich podejrzwał. Szybko przykuca za żywopłotem obok budynku. Nie może wrócić prosto na oddział, bo pomimo przewagi w czasie nie zdążyłaby przebiec przez trawnik niezauważona.

- Ha-lo? - woła Nick, starając się nadać głosowi swobodne, przyjazne brzmienie. - Kto tam jest?

Głos staje się donośniejszy. *Nick się zbliża.* Isabel wstrzymuje oddech.

- Halo? - woła Nick znowu.

Słysząc otwierane i zamykane drzwi, a potem szybki odgłos kroków na ścieżce, oddalający się od pracowni.

*Kristen.*

Isabel czuje tętno pulsujące aż w gardle. Wie, że musi stąd zniknąć, ale nie jest pewna, gdzie teraz znajduje się Nick.

- Wiem, że tam jesteś - odzywa się Nick. - Kimkolwiek jesteś, wszystko ci wyjaśnię, jeśli tylko mi pozwolisz.

Głos dobiega teraz z większej odległości.

- Wychodź, nie chowaj się!

*Nick okrąża budynek.*

Isabel wielkimi susami dopada tylnych drzwi jadalni i wślizguje się do środka. Jakaś inna grupa je akurat lunch, chwytając więc tacę i wpycha się w kolejkę przed ladą ze szpitalnymi ziemniakami. Słyszy, że drzwi, przez które przed chwilą weszła, znów się otwierają i zamykają, i bardzo się pilnuje, żeby się nie obejrzeć przez ramię. Zgiełk i tłok w jadalni zapewniają jej bezpieczne schronienie.

Nick przebiega salę wzrokiem, przechodzi środkiem i wychodzi przez frontowe drzwi.

Isabel przesuwa się do przodu razem z całą kolejką, a potem, przy barze sałatkowym, odsuwa tacę na bok i również wychodzi. Rozgląda się w obie strony, wchodzi na trawnik i odnajduje ścieżkę prowadzącą do swojego oddziału. Idzie niespiesznie, sprawiając wrażenie, jakby właśnie wracała z wizyty u lekarza.

Na werandzie dla palaczy zastaje Kristen, która spokojnie zaciąga się papierosem.

*Dlaczego czuję się tak, jakbym to ja popełniła jakieś wykroczenie?*

Kristen nie zauważyła nadejścia Isabel i teraz na jej widok podrywa się z krzesła.

- Och, cześć. Przestraszyłaś mnie - mówi, przykładając dłoń do piersi.

- Przepraszam. Nie chciałam.

- Nic nie szkodzi. Chcesz się przyłączyć?

*Nie chcę się do ciebie przyłączać. Twój pociąg jedzie na południe, a mój na północ... jak najdalej od tego miejsca.*

- Muszę iść na dyżurkę i zaznaczyć, że wróciłam już od doktor Seidler - mówi i wchodzi do środka, zadowolona, że znalazła wymówkę, by uciec od tej ruiny, jaką jest życie Kristen.

- Isabel? - woła za nią Kristen. - Gdybyś zobaczyła gdzieś Nicka, wiesz, tego sanitariusza, to powiedz mu, że muszę z nim porozmawiać, dobrze?

- Jasne - rzuca Isabel, nie odwracając się, i zamyka za sobą drzwi.

TLR

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

Niechlujnie wyglądająca dziewczyna zbliża się do niej na korytarzu i podsuwa jej pod nos podniszczoną fotografię.

- Widziałaś moje dziecko?

Isabel cofa się o krok.

- Co?

- Moje dziecko. Spójrz na moje dziecko. - Dziewczyna niewyraźnie cedzi słowa, przenosząc swą okazałą wagę z jednej nogi na drugą. Wygląda najwyżej na piętnaście lat.

Isabel spogląda na fotografię.

- Śliczne. Jesteś tu nowa?

- Prawda, że to aniołek? - Młoda matka ignoruje skierowane do niej pytanie i odtacza się w stronę głównych drzwi. - Moje śliczne maleństwo. – Zanim jednak zdąży sięgnąć do metalowego drążka, który należy pchnąć, by otworzyć drzwi, podążająca za nią pielęgniarka zagraża jej drogę.

- Cindy, nie wolno ci wychodzić na zewnątrz. Wracaj do swojego pokoju.

Isabel patrzy, jak odepnęła od leków dziewczyna wlecze się powoli do swojego pokoju.

- Widziałaś Nicka? - To Kristen. Zabrakło jej cierpliwości, by czekać na zewnątrz.

- Eee, hm, nie. Rozmawiałam z tą nową... z tą, która zajęła pokój Keishy. Jeszcze nie dotarłam na dyżurkę.

Kristen natychmiast odchodzi i idzie dalej w poszukiwaniu swego sekretnego kochanka. Musi się odsunąć pod ścianę, by przepuścić Cindy, która także niepewnie błąka się po korytarzu.

- Cześć! - woła za Kristen. - Widziałaś moje dziecko?

Kristen nie zaszczycza jej nawet jednym spojrzeniem.

- Poznajcie Cindy. - Larry mówi głośno, żeby skupić na sobie uwagę całej grupy. - Jest z nami dzisiaj po raz pierwszy.

- Cześć, Cindy - świergocze Melanie.

Cindy uśmiecha się półprzytomnie.

- Chciałam zapytać, czy wszyscy już widzieliście moje dziecko. - Opuszcza wzrok i ze zdziwieniem spogląda na własną rękę, kurczowo zaciśniętą na pomiętej, drogocennej fotografii.

Patrzy na nią, jakby próbowała siłą woli zmusić palce, by się rozprostowały i puściły zdjęcie, dłoń jednak nie reaguje.

- Cindy, może opowiesz nam o swoim dziecku - proponuje Larry.

Siada na swoim krześle i krzyżuje ramiona na piersiach.

- Ma na imię Angel. - Cindy sennie przygląda się całej grupie.

- Gdzie ona teraz jest, Cindy? - pyta Larry.

- Hm... - zastanawia się dziewczyna. - Zaraz... - Obraca się i patrzy w okno, a potem podnosi wzrok w górę, na niebo.

- Cindy?

Isabel patrzy na potargane włosy dziewczyny, zaniedbaną cerę i ciastowate ramiona.

*Co za walnięta sztuka.*

- Tak? - Cindy powoli odwraca głowę w stronę głosu Larry'ego, a potem przypomina sobie, o co ją zapytano. - A tak, Angel. Teraz jest w niebie.

Milczenie.

- Jak się tam znalazła? - To znów Larry.

Isabel poprawia się na krześle, nie spuszczać wzroku z Cindy. Ta znów wydaje się oszołomiona pytaniem.

- Co?

- Czy pamiętasz, co się zdarzyło w zeszłym tygodniu? - naprowadza ją Larry.

- W zeszłym tygodniu...

- Gdy cię znaleziono, trzymałaś w ręku plastikową torbę z dzieckiem w środku. Pamiętasz to, Cindy?

Ben wydobywa z siebie jęk, a Melanie zaczyna płakać. Cindy znów patrzy w niebo.

- Cindy, Angel udusiła się na śmierć. Może mogłabyś nam o tym coś opowiedzieć - draży Larry, ale wydaje się, że Cindy nie jest w stanie niczego usłyszeć.

- Cindy, jesteś tu z nami?

- Chyba nie - odpowiada z uśmiechem.

- Hm. No tak. - Larry patrzy na swoje paznokcie, potem na grupę, a w końcu głęboko wzdycha.

*Gratulacje, popaprańcu. Naszemu nieustraszonemu przywódcy zabrakło słów.*

- Cindy, czy ty zabiłaś swoje dziecko? – Ben zaskakuje grupę gniewnym pytaniem. Patrzy na nową dziewczynę z nieskrywaną wrogością.

Cindy przechyliła głowę na bok, ale nadal spogląda w niebo.

*To zupełnie jak Wimbledon, wszyscy patrzą to na Bena, to na Cindy i znów z powrotem na Bena. Nie, raczej sala sądowa - Ben jest prokuratorem, a Larry sędzią.*

- Mówię do ciebie, Cindy! - krzyczy Ben. – Zabiłaś swoje dziecko?

*Sprzeciw, Wysoki Sądzie!*

- Ben, zachowujmy się trochę spokojniej, dobrze?

- Larry podnosi się i idzie w jego stronę.

- Nie mogę się uspokoić, Larry - odpowiada Ben z twarzą w kółkach bożonarodzeniowych dekoracji.

- Chcę wiedzieć, czy ona zabiła swoje dziecko?

Larry waha się, a potem raptownie zwraca się w stronę nowej pacjentki:

- Cindy, Ben zadał ci pytanie.

*Przegłosowano. Świadek musi odpowiedzieć na pytanie.*

- Angel powinna być z innymi aniołkami – mówi Cindy łagodnie, nie odrywając wzroku od chmur. -Chciałam, żeby była z innymi aniołkami.

- Larry, co to ma, do cholery, znaczyć? - oburza się Ben. - Czy to znaczy, że ona zabiła swoje dziecko i wszystko jest w porządku?

- Dlaczego tak się tym denerwujesz, Ben? Oczywiście poza oczywistymi powodami.

- Bo mnie to wkurza, Larry. Czy ona uważa, że może zabić swoje dziecko i wszystko jest w porządku? Nawet nie wygląda na zmartwioną. Ona chyba naprawdę myśli, że nic się nie stało. O co tu chodzi?

Larry po raz kolejny usiłuje sprowadzić Cindy z kosmosu na ziemię.

- Cindy, czy zechciałabyś porozmawiać z Benem? Ben ma do ciebie kilka pytań i chciałby, żebyś na nie odpowiedziała. Czy możesz nam pomóc?

- Ja tylko chciałam, żeby Angel była wolna - szepcze Cindy.

- A co z ojcem dziecka? - dopytuje się Ben łamiącym się głosem. - W ogóle o nim nie pomyślałaś? Co z ojcem?

-Wystarczy, Ben - wtrąca Larry ostrzegawczo.

Cindy krzyżuje ramiona i powoli kołysze się w przód i w tył na krześle. Ben kipi wściekłością, a grupa patrzy na to wszystko jak zaczarowana. Cindy zaczyna ssać kciuk.

- Idźmy dalej - mówi Larry i stawia puste krzesło pośrodku kręgu. - Ben, może porozmawiamy o tym, co w tej chwili czujesz. Może zamiast do Cindy, będziesz się zwracał do tego krzesła.

- Co ja czuję w tej chwili?

- Tak.

- Jestem bardzo wkurzony. Czuję się wkurzony, Larry. Ta dziewczyna przychodzi tu i mówi o tym, że zabiła swoje dziecko, tak jakby wszystko było w porządku, rozumiesz? A was to nie wkurza? - zwraca się do pozostałych. - Czy nikt więcej nie widzi, że coś tu jest popieprzone?



- Ja widzę. - Zalana łzami Melanie wyciąga do przyjaciela pomocną dłoń.

- Ben, w tej grupie rozmawiamy bez osądzania - mówi Larry. - Nie widzisz, że w tej chwili osądzasz Cindy? Może zamiast tego porozmawiajmy o tym, co cię najbardziej porusza w jej sytuacji. Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak - mruczy Ben ponuro. - Porusza mnie to, że ona nie chciała swojego dziecka. Że myślała, że może je po prostu wyrzucić czy coś takiego. Jak śmieć.

Cindy wpatruje się w Bena.

- Larry, dziecko to nie jest śmieć! Nie wyrzuca się dziecka tylko dlatego, że jest z nim trudno! Nie można tak robić.

- Ben, czy to ci coś przypomina?

Ben ociera wierzchem dłoni ślinę, która jak zwykle zbiera się w kącikach jego ust.

- Moja mama zawsze powtarzała, że chce mnie wyrzucić i zacząć wszystko od początku. Powtarzała mi to przez cały czas. Że jak nie będę uważał, to wyrzuci mnie ze śmieciami. Nie przeszkadzało mi tak bardzo, kiedy mnie biła, ale to gadanie o śmieciami było okropne. Okropnie się tego bałem, wiesz? Modliłem się, żebym urosł taki duży, żebym się nie mógł zmieścić w worek na śmieci. I jednego lata... W jedno lato urosłem. Urosłem dwadzieścia centymetrów. I wtedy mi bardzo ulżyło, bo już byłem pewien, że się nie zmieszczę w worek na śmieci. Nawet w taki wielki, na liście z ogrodu. Wiecie, jakie są te worki na liście? Wiedziałem, że już się w taki nie zmieszczę. Ale aż do tego lata naprawdę się bałem, że ona to zrobi. Że mnie wyrzuci.

Ben uderza się pięściami w głowę. Larry wyciąga rękę i kładzie ją na jego masywnym ramieniu. W kącie Sali Melanie pociąga nosem. Oczy Cindy są suche.

- Czas na lekarstwa! - woła w dwie godziny później pielęgniarka.

Po chwili cała grupa ustawia się w nierównym szeregu przed okienkiem.

- Nienawidzę tego - mruczy Kristen do Isabel.

- Dlaczego? - Isabel patrzy na nią i myśli o Nicku. Kristen otacza dłonią jej ucho i szepcze:

- Bo to trucizna. Oni próbują nas otruć.

- Co?

- Nie udawaj, Isabel. - Kristen traci cierpliwość. - Nie udawaj głupiej. Dobrze wiesz, że nas trują. Chcą mieć nas wreszcie z głowy. To darwinizm.

*Kiedys wydawała się taka normalna.*

- Czytałam artykuł o tym, jak firmy farmaceutyczne wypróbowują nowe leki na pacjentach chorych umysłowo, nie mówiąc im o tym. To właśnie się tu dzieje. Właśnie dlatego są dla nas zawsze tacy mili w porze wydawania lekarstw. Nie chcą nas wkurzać, żebyśmy nie przestali tu przychodzić. Jak sądzisz, dlaczego tak dokładnie pilnują, żebyśmy łykali te tabletki?

Twarz Isabel jest zupełnie bez wyrazu, Kristen ciągnie więc swoje paranoidalne wywody:

- Powiem ci dlaczego. Bo jesteśmy pieprzonymi królikami doświadczalnymi, i tyle.

- Kristen? - woła pielęgniarka.
- Jestem!
- Hawajski poncz czy kryształowa rosa?
- Hawajski poncz - odpowiada Kristen grzecznie.

Pielęgniarka podaje jej papierowy kubek. Kristen odwraca się do Isabel i rzuca jej konspiracyjny uśmiech.

*Ona tego nie połyka. Wiedziałam.*

Isabel przygląda jej się uważnie. Wydaje się, że Kristen połknęła tabletki razem z napojem. Isabel jednak wychodzi z kolejki i widzi, że Kristen biegnie prosto do łazienki za załomem korytarza.

*Co za pieprzony banal.*

TLR

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

- Isabel? To znowu Ted Sargent. Słyszałem, że nie jesteś w najlepszej formie. Bardzo mi przykro z tego powodu, musimy się jednak spotkać jak najszybciej. Rozumiem, że nie czujesz się najlepiej, ale sama rozumiesz, biznes to biznes. Więc proszę, zadzwoń do Deborah, mojej asystentki. Będziemy czekać na twój telefon.

- Isabel, tu John. Nie będę cię okłamywał, mała. Sargent chce zrewidować twój kontrakt. Próbowałem z nim rozmawiać, ale to zakuty łeb i nie chce słuchać rozsądnych argumentów. Dzwonię, bo on ciągle tutaj wydzwania, szukając ciebie, i ludzie już zaczynają zadawać pytania. Moja rada? Kopnij go w dupę. Ale może będziesz wolała załatwić to spokojniej i oddzwonisz do niego. Pomyślałem sobie, że powinienem ci powiedzieć, że to nie wygląda dobrze. Kurwa. Cóż za cholerny telefon. Zadzwoń, kiedy będziesz mogła. Na razie.

- Cześć, to jest wiadomość dla Isabel. Isabel, tu mówi Jack Cartwright z działu towarzyskiego „Post”. Słyszałem różne pogłoski na temat ciebie i twojej przyszłości w ANN i zanim cokolwiek napiszę, chciałbym z tobą porozmawiać. Usłyszeć twoją wersję tej historii. Wiesz przecież, jak to się robi. Zadzwoń do mnie pod numer 212-555-8765. Dzięki. Muszę coś od ciebie mieć dzisiaj do końca dnia. Terminy, sama rozumiesz.

- Isabel, tu znów Michele. Przepraszam, że ciągle zawałam ci sekretarkę wiadomościami, ale pomyślałam, że powinnam ci powiedzieć, że ten facet z „Post” dzwonił do ludzi w studiu i wypytywał o ciebie.

Nic mu nie powiedziałam, ale chciał się ze mną umówić na rozmowę. Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć. Zadzwoń do mnie. Na razie.

- Taaa. Orzeł Jeden, tu Orzeł Dwa. Kontrola stanowiska dowodzenia. Szukam sygnałów życia. Oślaniam ci tyły, żołnierzu. Wiesz o tym chyba, nie? Dam się za ciebie postrzelić. Dobra, bez odbioru.

- Isabel, o co tu chodzi? Dzwonili do mnie właśnie z „Post” i pytali o nasz rozwód! Co się, do cholery, dzieje? Złożyłaś pozew? To wszystko jest popieprzone. Teraz już rozumiem, dlaczego nie odpowiadałaś na moje telefony. Zemsta jest słodka, co? No ale to jest zabawa dla dwojga. Radzę, żebyś jednak do mnie zadzwoniła, zanim wynajmę prawnika i zaskarżę cię o zniesławienie. Chcesz mnie wydudkać? Dobra, proszę bardzo. Spróbuj. Mówię ci, lepiej do mnie zadzwoń.

Kończę, bo twoja pieprzona sekretarka zaraz mnie odetnie. Zaprogramowałaś ją tak czy co? Wiem, że jesteś do tego zdolna.

*Czuję się urażona. Moja sekretarka to sprzęt z górnej półki.*

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

Isabel zaczęła biegać każdego ranka. Przez pół godziny przemierza drogę, która wije się po terenie szpitala. Po kilku dniach przebiega ją już dwukrotnie. Bieganie oczyszcza ją, pozwala wyrzucić z ciała toksyny z wypalonych poprzedniego dnia papierosów, uciec przed zamieszaniem na oddziale, znów skupić uwagę na zewnętrznym świecie. Czasami, jeśli wyjdzie wystarczająco wcześnie, spotyka jelenie skubiące zroszony trawnik. Zatrzymuje się i patrzy na te pełne wdzięku stworzenia z wrażeniem, jakby uczestniczyła w magicznym ceremoniale, jakby miały one przynieść jej szczęście.

- Dobrze dzisiaj wyglądasz - zauważa doktor Seidler z odrobiną zdziwienia, gdy Isabel wchodzi do jej gabinetu, spocona od wysiłku.

- Bo naprawdę dobrze się czuję - odpowiada. - Pomaga mi już samo to, że znowu mogę biegać, nawet to, że się spocę.

*To oraz kilka elektrycznych wstrząsów w mózgu.*

- A w jaki sposób poznajesz, że ci to pomaga?

- Po prostu czuję się lepiej. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Na pewno wiesz, co to są endorfiny. Z pewnością to ich wpływ, ale poza tym myślę, że znalazłaś zdrowy sposób, by wrócić do gry, że się tak wyrażę. Do regularnego rytmu życia...

- Tak. - Isabel nie patrzy w przestrzeń, jak często podczas tych spotkań, lecz skupia wzrok na terapeutce. Ma wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy.

- O czym myślisz w tej chwili?

Isabel odczeka kilka sekund i odpowiada:

- Myślałam o tym, że aż do tej pory wydawała mi się pani trochę zatarta. Tak jak w wizjerze aparatu fotograficznego, gdy coś jest odrobinę nieostre. Ale dzisiaj mam ostry obraz. To dziwne.

Doktor Seidler uśmiecha się i opiera wygodniej na krześle. Isabel też się rozluźnia i opada na poduszki oparcia kanapy.

- To dobry znak, Isabel. To bardzo dobry znak.

TLR

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

- Dzień doobry! Piękny dzień na bieganie. - Ogrodnik uśmiecha się szeroko na widok Isabel, która zbliża się do plewionego przezeń klombu.

Biegając, Isabel ćwiczy oddech: wdech przez nos, wydech ustami. Sprawia jej przyjemność koncentracja na mechanizmie biegu: czuje, jak jej nogi poruszają się w przód i w tył, wymachuje rękami w tym samym rytmie i przez cały czas skupia uwagę na oddechu. Myśli także o radzie, którą dostała od matki: kochaj siebie. Te słowa towarzyszą każdemu jej krokowi:

*ko. chaj.sie. bie. ko. chaj. sie. bie.*

- Piękny dziś dzień! - woła do ogrodnika.

- To prawda. Każdy dzień jest piękny.

*Ko. chaj. sie. bie. ko. chaj. sie. bie.*



## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Kristen z szerokim uśmiechem wkracza na taras dla palaczy.

- W życiu byś się nie domyśliła, co będę robić jutro - mówi do Isabel, która z twarzą przechyloną do tyłu napawa się ciepłym słońcem.

Isabel osłania oczy dłonią.

- Co?

- Zgadnij! - promienieje tamta.

- O rany, powiedz mi po prostu. Nie jestem dobra w rozwiązywaniu zagadek.

- Jadę w odwiedziny do brata! Dostałam przepustkę. Mogę pojechać na Long Island, a tam brat wyśle po mnie samochód. Limuzynę. Przyjedzie po mnie rano, a potem będzie czekać przez cały dzień i wieczorem przywiezie mnie tu z powrotem. Wszystko jest już załatwione. Możesz w to uwierzyć?

Isabel przymyka oczy, opuszcza ramiona wzdłuż boków i znów zanurza się w słonecznych promieniach.

- Nie, nie mogę - odpowiada ze znużeniem. – To dobrze.

- Cóż za ujmująca szczerość - obrusza się Kristen, zbita z tropu wykazywanym przez Isabel brakiem entuzjazmu. - Co ci się stało? Aha, przypomniało mi się. Melanie przyczaja się, żeby ukraść ci materac, więc uważaj.

- Co?

- Melanie ma dzisiaj nowy motyw. Mówi, że plecy ją bołą, bo śpi na starym materacu. Uznała, że to spisek antyżydowski i że ty masz lepszy materac niż ona. Po prostu cię ostrzegam.

- Wszystko jedno.

- Powiedzieć ci tajemnicę? - pyta Kristen. - Potrafisz trzymać buzię na kłódkę?

Isabel musi zebrać całą energię, by podnieść głowę i znów przesłonić oczy dłonią.

- A co?

- Możliwe, że nie wrócę jutro na noc. – Kristen cieszy się jak małe dziecko. - Mój brat jest fajny. Jak mu powiem, że nie chcę tu wracać, to nie będzie mnie zmuszał.

- Oj, Kristen. - *Nie mam na to siły.* - Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

- Co ci się nagle stało, że zachowujesz się jak moja matka? Powinnaś się cieszyć razem ze mną. Właśnie tak chcę zrobić. Ciągłe nam powtarzają, żebyśmy „żyli w zgodzie ze swoją prawdziwą naturą” - przy tych słowach mocno zaciąga się papierosem - więc ja tylko wykonuję zalecenia lekarzy.

Wygląda na bardzo z siebie zadowoloną.

- Po pierwsze, to nigdy nie słyszałam, żeby mówili coś o życiu w zgodzie z własną naturą. A po drugie, wiem, że nie bierzesz leków.

Kristen ma taką minę, jakby Isabel uderzyła ją w twarz. Isabel niewzruszenie wyciąga nogi w stronę słońca.

- Co? - Kristen opanowuje zaskoczenie i próbuje zachowywać się tak, jakby nie miała pojęcia, o czym Isabel mówi.

- Posłuchaj, nikomu nie zdradzę twojej małej tajemnicy. - Isabel jest zbyt zmęczona, by dłużej ciągnąć ten temat.

Kristen bezgłośnie przydepnie papierosa i odchodzi.

- Kristen! Ktoś do ciebie! - krzyczy Ben przez korytarz. Dostrzega za załomem muru Isabel i zwraca się do niej: - Isabel, wiesz, że Kristen dostała przepustkę na cały dzień?

- Wiem. - Jakaś część duszy Isabel, pochwycona w wir, chce rzucić się Kristen na pomoc, ale inna część czuje się schwyтана w potrzask.

*Muszę się skupić na ratowaniu siebie... i tak ledwo daję radę... nie mogę ratować jeszcze jej.*

- Ciekaw jestem, dokąd jedzie. - Ben jest podniecony ruchem na oddziale, jaki powstał z powodu przepustki Kristen. - Może ty wiesz?

- Na Long Island - rzuca Isabel przez ramię i wpisuje na tablicy wyjście na spacer.

Nie ma ochoty patrzeć, jak Kristen z bezmyślną determinacją rujnuje sobie życie.

„Spacer” - wpisuje w prostokącie obok swojego nazwiska, apotem dodaje godzinę: 9.00, choć jest 8.55. W ten sposób zdobywa całe trzydzieści pięć minut wolności, zanim znów będzie musiała się zameldować. Słyszy stuknięcie zamykanych drzwi pokoju Kristen i kroki zmierzające w jej stronę. Odwraca się i szybko wychodzi z budynku.

Na dworze jest pochmurno i duszno. Po wyjściu z zimnego, klimatyzowanego budynku na lepkie powietrze Isabel w pierwszej chwili czuje się tak, jakby weszła do wanny z ciepłą wodą. Rozciera nagie ramiona i idzie ścieżką w stronę parkingu. Tam, cicho przyczajony, czeka złowieszczo wyglądający moduł ewakuacyjny Kristen. Boczne

szyby limuzyny są przyciemnione, toteż Isabel w pierwszej chwili nie widzi kierowcy, ale przechodząc obok, zerka do środka przez przezroczystą przednią szybę i napotyka jego wzrok. Denerwuje ją to, przyspiesza więc kroku, wspinając się na łagodnie wznoszącą się drogę dojazdową. Wie, że Kristen znajduje się tylko o kilka kroków za nią, więc żeby uniknąć niezręcznego pożegnania, zaczyna biec i chowa się za rogami, w miejscu, którego nie można dostrzec z drogi.

Jak na sygnał, samochód zawraca i powoli przejeżdża przez garb oddzielający parking od drogi. Limuzyna przyspiesza, a potem znów zwalnia przy bramie i czeka na moment, gdy będzie mogła włączyć się do ruchu. Po chwili jej tylne światła zlewają się ze światłami strumienia innych samochodów.

Isabel zaczyna biec, najpierw sprintem, a potem wolniejszym truchtem. Powietrze aż roi się od komarów latających w stadach, ale jej to zupełnie nie przeszkadza.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

- Isabel, telefon! - krzyczy Ben na korytarzu po kolacji.

Isabel, zajęta pisaniem w dzienniku, podnosi głowę.

- W budce czy w kuchni?! - odkrzykuje.

- Hej! Ciszej tam bądźcie, co?! - wrzeszczy Regina zza swoich zamkniętych drzwi.

Isabel ignoruje ją i idąc w stronę telefonów, znów woła:

- Ben! W budce czy w kuchni?

Ponieważ Ben nie odpowiada, najpierw zagląda do kuchni, ale tu telefon jest zajęty przez jednego z odwiedzających. Za rogiem widzi światełko błyskające na aparacie w budce.

- Halo?

- Isabel? - Nie potrafi rozpoznać tego głosu.

- Tak. Kto mówi?

W słuchawce słychać pochlipywanie.

- To ja. Kristen.

- Kristen, co się stało? Jesteś na Long Island? - Isabel przysiada na twardym metalowym krześle, które ledwo się mieści za żaluzjowymi drzwiami budki.

- Nie, nie... - płacze Kristen.

- A co się dzieje? Gdzie jesteś?

- W szpitalu.

- O Boże. Wszystko w porządku? Co się stało?

- Kierowca... - szłocha Kristen. - Był niedobry. To był zły człowiek. Zły.

- Dlaczego? Co ci zrobił?

- Wywiózł mnie na JFK. - Głos Kristen jest ledwo słyszalny, jakby dzwoniła ukradkiem. - Kiedy wsiadłam, zapytał, czy może zapalić w samochodzie, a ja powiedziałam, że nie. A potem zapytałam go, czy ma papierosa, i dał mi jednego. Isabel, w tym papierosie coś było. Wiem o tym. Miał dziwny smak.

- Marihuana? To był joint?

- Nie, coś innego. W smaku jak mentol, ale trochę inne. Już po dwóch machach zaczęło mi się kręcić w głowie. Ale wypaliłam do końca. Wiem, że nie powinnam, ale pomyślałam sobie, a co mi tam. I potem chyba musiałam stracić przytomność, bo kiedy się ocknęłam, krążyliśmy dokoła lotniska. Powiedziałam mu, że ja nie chcę jechać na lotnisko, tylko na Long Island, a on po prostu zaczął się śmiać i kazał mi być cicho. Powiedział, że nie wiem, co gadam. – Szloch Kristen staje się głośniejszy.

- Uspokój się, Kristen. Wszystko w porządku. Uspokój się. - To są puste słowa, ale Isabel nie ma pojęcia, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

- No i... - Kristen bierze głęboki oddech - no i kazał mi wysiąść. Powiedział, że to koniec przejażdżki. Kazał mi wysiąść na lotnisku! - Kristen rozplywa się we łzach. - A kiedy wysiadłam, zauważyłam, że koszulę mam założoną tył na przód i dwa guziki u spodni rozpięte. Odwróciłam się, ale jego już nie było.

- Jezu. I co zrobiłaś?

- Błąkałam się dokoła przez jakiś czas, nie wiem jak długo. Bałam się okropnie. Już od dawna nie wychodziłam nigdzie ze szpitala. - Isabel przypomniła sobie własne przerażenie na stacji Grand Central. - Wszystkie te komunikaty przez głośniki. To było straszne. A potem podszedł do mnie jakiś policjant i zapytał, czy się zgubiłam. Chyba wyglądałam na zagubioną.

- I co dalej?

- Zaczęłam mu opowiadać, co się stało, a potem się rozplakałam, więc zabrał mnie do sali odprawy celnej - takie dziwne pomieszczenie, tylko stół i dwa krzesła i nic więcej. I bardzo jasne światło. Nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o tym, jakie to światło jest rażące. Zaczęłam mu opowiadać całą historię i on zapytał, skąd ten samochód mnie zabrał, a kiedy mu powiedziałam, wyszedł zadzwonić. - Kristen szlocha tak mocno, że nie może mówić dalej.

Isabel czeka.

- I po chwili przyszedł inny policjant, w każdym razie wydaje mi się, że to był inny, nie ten sam. Przyszedł i powiedział, że mam iść za nim. Wsadzili mnie do karetki, chociaż jeszcze nawet nie opowiedziałam im wszystkiego do końca!

- Ale Kristen, to dobrze, że zabrali cię do szpitala. Sama mówiłaś, że to był zły człowiek. Chcieli, żeby lekarz cię zbadał i sprawdził, czy nic ci się nie stało. Może myślą, że... on mógł cię wykorzystać. Seksualnie. Zgwałcić...

- Isabel, ty mnie chyba wcale nie słuchasz! - krzyczy Kristen. - Ja nie jestem w zwykłym szpitalu! Jestem w Bellevue. Przywieźli mnie tu, bo powiedziałam, że byłam w Three Breezes.

- Boże drogi.

- Tak. I nie mam pojęcia, jak się stąd wydostać. Dali mi jakąś pigułkę i zmusili, żebym połknęła. Nie mam pojęcia, co to było. Z tym kierowcą też mi nie wierzą. Widzę to. Uważają, że wszystko sobie wymyśliłam.

- A co z twoim bratem? Przecież to on zamawiał tę limuzynę. Nie może porozmawiać z policją? Mogą dotrzeć do tego kierowcy przez firmę. Przecież zapisują, kogo wysyłają na zlecenia. A zanim to sprawdzą, brat mógłby cię wyciągnąć z Bellevue!

Szloch Kristen przechodzi w urywany śmiech.

- Co się stało? - pyta oszołomiona Isabel. – Co w tym takiego śmiesznego?

- Och, Isabel - wzdycha Kristen.

- Co? Powiedz mi wreszcie, z czego się śmiejesz!

- Nie sądziłam, że kupisz tę historyjkę.

- Że co kupię? O czym ty mówisz?

Kristen znowu wybucha śmiechem.

- Kristen, co się dzieje? Z czego ty się śmiejesz? Z tego, co mi opowiedziałaś? To miał być tylko żart?

- Nie, nie to - niecierpliwi się Kristen. - Ta druga historyjka!

- Kristen, o co tu, do diabła, chodzi? O czym ty mówisz?

- Isabel, ja nie mam brata! - śmieje się Kristen z triumfem i milknie na chwilę, zachwycona własną chytrą. - Boże, myślałam, że ze wszystkich ludzi akurat ciebie najtrudniej będzie na to nabrać, ale pomyliłam się. Chyba powinnam ci podziękować, bo udało ci się mnie



rozweselić. Myślałam, że po tej katastrofie już nigdy się nie roześmieję!

Zapada milczenie, w trakcie którego obie wracają do rzeczywistości.

- To jak dostałaś przepustkę? - pyta w końcu Isabel z wrażeniem ucisku w żołądku. - Przecież lekarze musieli to podpisać. Jak to załatwiłaś?

- Posłuchaj, nie mam teraz czasu wszystkiego ci wyjaśniać. Opowiem ci później - mówi Kristen już bez śladu wesołości w głosie. - Teraz musisz mi pomóc. Proszę. Muszę się stąd jakoś wydostać, a nie mam pojęcia jak.

*Aha, teraz mam ci pomagać?*

Autodestrukcja Kristen napędza Isabel mieszaniną przerażenia, odrzy i frustracji. Najbardziej przerażają to, że determinacja Kristen, by zniszczyć własne życie, przybiera tak realne, konkretne formy.

*Ile jeszcze czasu zostało, zanim ja wypadnę z torów? Kiedy będę miała nawrót?*

Po chwili decyduje się zdystansować wobec chorej przyjaciółki. *Nie jestem taka jak ty. I nie potrafię cię ocalić.*

- Kristen, nawet gdybym chciała ci pomóc, to nie wiem jak. Może zadzwonisz do swojego lekarza?

- To znaczy, do mojego lekarza w Three Breezes?

- Tak. On mógłby porozmawiać z tymi ludźmi w Bellevue i załatwić, żeby przenieśli cię z powrotem tutaj.

- Isabel, ja nie chcę znowu brać leków. Nie wrócę do tego. To jest trucizna. Nie mogą mnie zmusić, żebym znów je brała. A poza tym już ich nie potrzebuję.

- Czy ty słuchasz, co mówię? Zadzwoń do swojego lekarza. Kristen, powinnaś z nim porozmawiać. Dobrze?

- Dobrze. - Kristen kilkakrotnie głęboko wzdycha. - Dobrze. Zadzwonię do lekarza.

- To dobrze.

- Dzięki, Isabel - mówi Kristen ze szczerą wdzięcznością.

Isabel odkłada słuchawkę, odchyła się na oparcie krzesła i przymyka oczy.

- Isabel? - Ben stoi tuż obok budki.

- Tak? - odpowiada.

Wstaje i przeciska się między Benem a metalową framugą drzwi, starając się nie dotknąć jego wiecznie spoconego ciała. Wstrzymuje przy tym oddech, żeby nie poczuć jego zapachu.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - mówi Ben ze zdenerwowaniem, nie zwracając żadnej uwagi na jej akrobacje.

- Przepraszam! Chciałabym tędy przejść.

- Och. - Ben odsuwa się na bok.

- O co chodzi?

- Czy już ci mówiłem o wellbutrinie? – uśmiecha się Ben z nadzieją.

- Tak - wzdycha Isabel i odchodzi. - Chyba mi mówiłeś.

- Uratował mi życie. To takie proste. - Ben idzie za nią korytarzem.

- Nie mogę się go nachwalić. Wellbutrin. Jest niesamowity.

- To świetnie, Ben. Dziękuję za odprowadzenie mnie do pokoju, ale teraz chciałabym już zamknąć drzwi...

- Isabel, poczekaj!

- Do widzenia, Ben.

- Isabel! - woła Ben, chociaż drzwi już zamknęły się przed jego nosem. - Szkoda, że nie chcesz mnie posłuchać choćby przez chwilę. Dlaczego nikt nie chce słuchać, gdy mówię o wellbutrinie?

Ben jeszcze kilkakrotnie stuka do drzwi, a potem odchodzi ciężkim krokiem.

TLR

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

- Witam, to jest wiadomość dla Isabel. Isabel, mówi Deborah z biura Teda Sargenta. Chciałam ci tylko powiedzieć, że dostaliśmy wiadomość od ciebie i możemy się umówić na spotkanie drugiego października. Pierwszego października zadzwonię do ciebie, żeby potwierdzić. Mam nadzieję, że do tej pory będziesz się już czuć lepiej. Gdybyś chciała się ze mną skontaktować, dzwoń pod wewnętrzny: 5421.

- Isabel, cześć, to ja, Alex. Słuchaj, przykro mi, że rozmowa tak nam nie poszła. Ciągłe jeszcze bardzo się denerwuję, gdy słyszę twój głos. Proszę, zadzwoń do mnie. Obiecuję, że nie będę się złościł. Muszę z tobą porozmawiać. Naprawdę cię kocham. Cześć.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

- Isabel?

- Tak?

- Tu Kristen. Przepraszam, że budzę cię w środku nocy. Ale tu jest tylko jeden automat i wiecznie stoi do niego kolejka.

- Co się stało? - Na dźwięk głosu Kristen Isabel momentalnie przytomnieje. - Nadal jesteś w Bellevue?

- Tak. Isabel, musisz mnie jakoś stąd wydostać. Proszę. Proszę, pomóż mi się stąd wydostać...

- Kristen, nie mam pojęcia, jak mogłabym to zrobić. Nie zapominaj, że ja też jestem w szpitalu psychiatrycznym. Rozmawiałaś wczoraj ze swoim lekarzem?

- Tak, ale on nie ruszy palcem. Powiedział, że się tym zajmie, i potem już w ogóle nie oddzwonił. Słuchaj, nie mogę rozmawiać długo - szepcze Kristen natarczywie do słuchawki. Isabel widzi oczami duszy, jak tamta zasłania mikrofon dłonią. - Zmusili mnie do wzięcia udziału w eksperymencie medycznym. Nie mam teraz czasu wszystkiego wyjaśniać, ale chcę, żebyś wiedziała, że jeśli cokolwiek mi się stanie, to będzie wbrew mojej woli. Rozumiesz?

- Kristen, o czym ty mówisz?

- Zaraz muszę kończyć. Ktoś stoi tuż za moimi plecami i podsłuchuje. Jesteś dziennikarką, będziesz wiedziała, co z tym można zrobić. Używają nas do eksperymentów medycznych wbrew naszej woli. Mówię ci, Isabel, to jest operacja na wielką skalę. Mój lekarz powiedział, że będzie próbował mnie stąd wyciągnąć, ale potem już nie zadzwonił i

szczerze mówiąc, jestem przekonana, że on też bierze w tym udział. Proszę, pomóż mi. Wydostań mnie stąd jakoś.

*Dlaczego ja?*

- Kristen, czy jest ktoś jeszcze, do kogo mogłabyś zadzwonić? Może twoi rodzice? Nie mogłabyś z nimi porozmawiać?

- Nie! Oni nie wiedzą, gdzie ja jestem, i nie chcę, żeby się dowiedzieli!

- Dlaczego?

- Zawsze byłam im kamieniem u szyi – mówi Kristen z niechęcią. - Nie mieliby nic przeciwko temu, żeby zgodzić się na mój udział w eksperymentach medycznych, gdyby tylko uznali, że to im pomoże pozbyć się mnie raz na zawsze.

Isabel jest zmęczona i wie, że nie da się przekonać paranoika.

- Muszę już kończyć.

- Dobra, rozumiem. Nie musisz wyjaśniać. Telefony są na podsłuchu, nie? Nie chcesz, żeby to nagrali... dzięki, Isabel. Zawsze jesteś o jeden krok przede mną. Boże! Wiedziałam, że tylko ty jedna potrafisz mnie zrozumieć. Zadzwonię do ciebie później. A tymczasem możesz zrobić to, o co cię prosiłam?

- To znaczy co?

- Postaraj się mnie stąd wydostać, okej?

- Do widzenia, Kristen.

- Na razie!

Isabel odkłada słuchawkę i spogląda na zegarek. Jest druga w nocy. Zastanawia się, czy zostać w świetlicy przy telewizorze, wraca jednak do swojego pokoju i wpełza do sztywnej pościeli. Niespokojny sen nie przynosi jej wypoczynku.

O świcie przebiera się w strój do biegania i po cichu idzie korytarzem do tablicy wyjść, a potem wybiega na poranne jesienne powietrze. Biegnie z opuszczoną głową, patrząc na chodnik pod nogami.

- Dzień dobry. - *No tak, ogrodnik.* - Piękny dziś mamy dzień!

*Jezu. Czy on kiedykolwiek miewa zły nastrój'?*

- Tak - odpowiada, nie patrząc mu w oczy.

TLR

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

- Chciałabym porozmawiać o następnej przepustce na jeden dzień.

- Isabel niespokojnie wierci się na krześle.

*Powiedz jej. Powiedz jej o Kristen.*

- Oczywiście - odpowiada doktor Seidler. - A co się stało?

- Wyrzucają mnie z pracy - mówi Isabel rzeczowo. - Umówiłam się z nimi na spotkanie, żeby wreszcie mogli to załatwić i mieć z głowy.

- Wspominałaś, że do ciebie dzwonili. – Terapeutka przerywa na chwilę. - Jak się czujesz, myśląc o tym spotkaniu? I z kim dokładnie masz się spotkać?

- Z Tedem Sargentem. To szef pionu informacyjnego. Poluje na mnie przez cały czas, od tamtego incydentu ze śmiercią Diany. Myślę, że będzie też ktoś z działu kadr. Nie wiedzą, co dokładnie robiłam podczas zwolnienia, więc na pewno będą się starali zachowywać ostrożnie, w razie gdybym przechodziła leczenie od uzależnienia narkotykowego. Czy gdyby tak było, to chyba w świetle prawa nie mogliby mnie wyrzucić z pracy?

- Tak, gdybyś miała problem z alkoholem albo narkotykami, to musieliby zatrzymać twoje stanowisko, pod warunkiem że czyniłabyś wysiłki, by wyjść z uzależnienia. Ale to nie jest niestety twój przypadek, bo pracowałaś na kontrakcie i jak sama wspominałaś, ten kontrakt właśnie wygasa.



- Czyli pozbędą się mnie, po prostu nie przedłużając kontraktu. Wiem, wiem. W pewien sposób to będzie dla mnie ulga. Czułam, jak presja narasta... Czas już przekłuć ten balon.

- Jesteś pewna?

- Tak. Zastanawiałam się nad tym i uświadomiłam sobie, że ta praca, to życie nie jest dla mnie. A ponadto nie chcę wracać do otoczenia, które nie jest przyjazne. Wszyscy by o mnie plotkowali... Zastanawialiby się, co mi się stało, i tak dalej. Wolę, żeby mnie zwolnili i już. Z całą resztą potrafię sobie poradzić.

Doktor Seidler uśmiecha się do Isabel poprzez szerokość gabinetu wypełnionego optymistycznymi dekoracjami z południowego zachodu.

*Ostatnio ciągle się do mnie uśmiecha... Jest lesbijką czy co?*

- Tak? - Isabel znów zaczyna się kręcić na krześle. - Dlaczego się pani uśmiecha?

- Do ciebie - odpowiada lekarka. - Uśmiecham się, bo widzę, że czujesz się silniejsza i jeśli mnie instynkt nie myli, to również bardziej pewna siebie i tego, czego chcesz - albo czego nie chcesz, zależy od sytuacji. Czy mam rację?

- Tak, chyba tak - zgadza się Isabel. - Czuję się silniejsza. Nie wiem, co się dokładnie zmieniło, ale jestem bardziej pewna siebie. Może ten pobyt w wariatkowie naprawdę mi pomógł. Kto wie? Doktor Seidler wybucha śmiechem.

- Kto wie? Wielu pacjentów nawet sobie nie wyobraża, że mogliby poczuć się lepiej. Takich jest większość. Wielu nie potrafi skorzystać z oferowanej pomocy i dlatego pozostają uwięzieni w pułapce choroby. Oczywiście, w wielu wypadkach nic na to nie można poradzić - chorują

już tak długo albo tak długo pozostawali bez pomocy, że dla nich jest już za późno. Dobrze jest czasem trafić na kogoś takiego jak ty... kogoś, kto jest refleksyjny i otwarty na możliwość pomocy...

- Jest coś, o czym muszę pani powiedzieć. To nie dotyczy mnie, tylko innej pacjentki stąd. Żałuję, że nie przyszedłam z tym do pani wcześniej, bo ona ma kłopoty.

- Kto?

- Kristen. Może zacznę od początku... – Isabel opowiada lekarce całą historię: o tym, jak Kristen nie brała leków, o sanitariuszu Nicku, o niedorzecznej jeździe limuzyną, zakończonej na lotnisku JFK, o paranoicznych telefonach ze szpitala Bellevue... wszystko.

- Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. – Doktor Seidler podnosi głowę znad żółtego bloku, w którym robiła notatki. - O nic już się nie martw, ja się tym dalej zajmę. Zrobiłaś to, co należało, przychodząc z tym do mnie. A teraz zmiana biegu, bo czas nam się kończy. Wracamy do twojej przepustki. Kiedy chcesz jechać?

- Drugiego października. Muszę wyjechać rano. Najpierw mam to spotkanie, a potem jeszcze chcę się zobaczyć z Alexem. To będzie prawdziwe święto radości i miłości. Chyba wrócę dość późno.

- Dobrze. - Doktor Seidler zaznacza datę w swoim kalendarzu. - Przygotuję przepustkę na jutro.

Po wyjściu z gabinetu Isabel szuka wzrokiem ogrodnika. Czuje wyrzuty sumienia, że rano była dla niego nieuprzejma. Spogląda wzdłuż rzędu drzew, w stronę, gdzie przystrzyżony trawnik styka się z lasem, na klomby niecierpków otaczające jadalnię oraz na smutny budynek na wzgórzu, w którym zamknięty jest Peter.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

- Przepraszam, czy mogłabym przez chwilę porozmawiać z Peterem?

Isabel jest zdenerwowana.

Pielęgniarka podnosi głowę znad biurka i przygląda jej się uważnie.

- Znam panią! - stwierdza. - To pani biega!

- Słucham?

- Zawsze, gdy idę rano do pracy, widzę, jak pani biega. Przebiega pani obok parkingu dla pracowników.

- Uśmiecha się.

- Och...

- Rozmawialiśmy o pani... jeszcze nigdy żaden pacjent tu nie biegał.

Isabel odpowiada na to słabym uśmiechem.

- Naprawdę?

- Moim zdaniem to doskonały pomysł – mówi pielęgniarka. - To bardzo dobrze dla pani. Zaraz zobaczę, gdzie teraz jest Peter. - Obraca się z krzesłem i sprawdza na planie zajęć wiszącym za nią na ścianie.

- Zajęcia ze sztuki. Może tam pani pójść, jeśli pani chce. Wie pani, gdzie jest pracownia?

*Och, tak.*

- Tak, dziękuję - mówi Isabel i wychodzi.

Ostrożnie przekracza próg pracowni.

Dzieci zaabsorbowane są różnymi czynnościami.

Nauczycielka podnosi głowę i uśmiecha się.

- Dzień dobry! W czym mogę pani pomóc?

- Hm... - Isabel niezbyt subtelnym ruchem głowy prosi nauczycielkę, by podeszła bliżej, w miejsce, gdzie dzieci nie mogłyby usłyszeć rozmowy. – Chciałam zapytać, czy mogłabym przez chwilę porozmawiać z Peterem?

Nauczycielka patrzy na nią przepaszająco.

- Oczywiście, że może pani z nim porozmawiać, tylko że podczas zajęć dzieciom nie wolno opuszczać budynku. Muszą tutaj poczekać, aż ktoś po nie przyjdzie i zaprowadzi je z powrotem na oddział. Jeśli pani chce, możecie przejść tam. - Wskazuje pusty stół z boku sali.

*Wszyscy nauczyciele plastyki to byli hippisi. Muszą to mieć gdzieś zapisane w regulaminie. Mają obowiązek wyglądać tak, jakby dopiero co wyszli z Haight-Ashbury około 1968 roku.*

- To świetnie. Wiem, że może to zabrzmieć dziwnie, ale on się mnie nie spodziewa, więc czy mogłaby pani podejść do niego i powiedzieć, że może ze mną porozmawiać?

- Oczywiście, nie ma problemu.

- Dziękuję. Na imię mam Isabel.

- Miło mi cię poznać, Isabel. - Twarz nauczycielki rozświetla się jak żonkil. - Mam na imię Sunshine.

Peter maluje. Inne dzieci rozmawiają, ale on milczy.

- Peter? - Nawet nie podnosi głowy. - Peter, jestem Isabel. Już kilka razy próbowałam z tobą rozmawiać. Czy mogę przez chwilę pomalować razem z tobą?

Sunshine uśmiecha się i odpływa.

Żadnej odpowiedzi ze strony Petera. Isabel bierze do ręki pędzelek, zanurza go w żółtej farbie i maluje duży żółty krąg.

- Peter, powiem ci wprost - Isabel przybiera bardziej stanowczy ton. - Sama nie wiem dlaczego, ale muszę z tobą porozmawiać, tak czuję. Możesz sobie dalej malować i udawać, że mnie nie słyszysz, ale ja i tak będę mówić.

Peter nie podnosi głowy, ale jego pędzelek zatrzymuje się nad papierem.

- Nie wiem, jaka jest twoja historia - mówi Isabel - nie wiem, dlaczego się tu znalazłeś... i nie muszę tego wiedzieć. To twoja sprawa. Ale jest w tobie coś, co przypomina mi mnie samą, gdy byłam w twoim wieku.

Pędzelek nie porusza się. Peter słucha.

- Wiesz, że kiedy byłam w twoim wieku, robiłam, co tylko mogłam, by nie nadeptać na gniazdo mrówek i żeby nikt inny też po nich nie deptał? Moi bracia rozdeptywali mrowiska, a ja dosłownie czułam, jak te mrówki się duszą pod chodnikiem. Słyszałam, jak wołają pomocy, przysięgam, że naprawdę to słyszałam. Jeszcze teraz obchodzę mrowiska dokoła. Widziałam któregoś dnia, że ty też to robisz, i dlatego postanowiłam z tobą porozmawiać.

Powoli, bardzo powoli głowa Petera unosi się do góry. *Zaraz na mnie spojrz!*

- Wiesz, czułam wtedy cierpienie każdego. Zwierząt, owadów, ludzi... każdego, kto doznał jakiejś krzywdy. Czułam to tutaj. - Obejmuje ramionami własny tułów, pragnąc mu pokazać, jak głęboko sięgało to uczucie. Potem milknie i wsłuchuje się we własne myśli. - I dlatego przez cały czas byłam smutna. Ale rozumiałam... - *Co? Co ja właściwie rozumiałam?* - Rozumiałam, że gdy tak robię, to być może nie czuję własnego bólu. Przez cały czas martwię się, że może kogoś zderwowałam, kogoś zawiodłam, ktoś się na mnie wściekł, może stanęłam na czyimś mrowisku... Rozumiesz? Nie mogę brać na siebie cudzego cierpienia. Mrówki potrafią same o siebie zadbać – to właśnie chcę ci powiedzieć. Pomyśl, że one tu były o wiele wcześniej niż my i przetrwają dłużej od nas... *Podniósł wzrok! Mów dalej.*

- ...dlatego powinniśmy się skupić na sobie. Starać się, żeby żaden olbrzym nie rozdeptał nas. Czy to ma dla ciebie jakiś sens?

Peter powoli potwierdza skinieniem głowy.

- Pomóż sobie, Peter, to wystarczy. Nie martw się o mrówki. - Isabel przypomina sobie słowa matki. – Po prostu pomóż sobie. Kochaj siebie tak, jak kochasz zwierzęta i owady, a wyzdrowiejesz i będziesz mógł wyjść ze szpitala. Wiem, że potrafisz to zrobić. Możesz się stąd wydostać.

Naraz dzieje się coś dziwnego. Dziwnego i pięknego.

Peter unosi głowę i uśmiecha się do niej.

Isabel gładzi go po włosach i przytula. Przytula bardzo mocno.

Przez chwilę trzyma go przy sobie, a potem opuszcza rękę.

Nie mówiąc już nic więcej, wstaje i wychodzi z pracowni.

- Do widzenia, Sunshine - żegna z uśmiechem nauczycielkę.

- Życzę wspaniałego dnia - odpowiada Sunshine szczerze.

Jeszcze raz spogląda na swego przyjaciela. Peter stoi bez ruchu, patrząc za nią.

Isabel wychodzi na zewnątrz, na słońce.

TLR

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

- Gdzie jest mój koszyk? - woła Casey, zatraskując drzwi samochodu. - Chyba powinnam zamknąć samochód, co? Ale z drugiej strony od kilku lat próbuję namówić Michaela na kupienie nowego, więc lepiej zostawię otwarty. Mam nadzieję, że któremuś z twoich znajomych wariatów przyjdzie do głowy, żeby połączyć kabelki przy stacji i zdezerterować stąd...

Isabel wybuchła śmiechem. Ściskając Casey, czuje zapach jej szamponu.

- Boże, jak mi ciebie brakowało!

- Mnie też ciebie brakowało, ale jeśli mnie nie puścisz, to twój lekarz przy najbliższej okazji powie ci coś takiego: „Isabel, to bardzo ciekawe, że dotychczas nie wspomniałaś mi o swoich skłonnościach homoseksualnych”. A to chyba ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujesz!

Isabel bierze przyjaciółkę pod rękę i obracają twarzą w stronę oddziału.

- Pamiętasz, uprzedzałam cię, że to dziwne miejsce - ostrzega ją. - Na pewno jesteś na to gotowa?

- Chyba żartujesz? Przez trzy ostatnie lata moim głównym zajęciem było wymiatanie makaronu i sera spod kuchenki. To jest najbardziej ekscytująca przygoda, jaka mi się przydarzyła od... chyba przez całe życie. Dokąd mnie prowadzisz? Zrobią mi rewizję osobistą? A jeśli tak,



to czy mogłabyś załatwić, żeby zajął się tym strażnik choćby trochę podobny do Toma Cruise'a?

- Julie, to moja przyjaciółka Casey - mówi Isabel, zapisując wizytę na tablicy. - Będziemy tutaj na trawniku.

Julie spogląda na puste ręce Casey i mówi, że wszystko w porządku.

- Dlaczego ona patrzyła mi na ręce? Sprawdzała, czy jestem wolna? Jest niebrzydka. Za odpowiednią sumę mogłabym być wolna.

- Czuję się urażona. Nie chcesz być moją kochanką, ale zgodziłabyś się na Julie, która nadal nosi opaski do włosów? Sprawdzała, czy nie przemycasz żadnej kontrabandy - wyjaśnia Isabel, prowadząc Casey na zewnątrz. - Żyłki, sznurki, takie rzeczy. Rozumiesz. Podstawowe zasady zabezpieczenia przed samobójstwami.

- Kochana, bardziej się teraz martwię o siebie niż o ciebie - wzdycha Casey, siadając na krześle. - Słowo daję, wczoraj miałam ochotę włożyć głowę do piekarnika. Michael doprowadza mnie do szału. Zastanawiam się, czy mają tu jakieś wolne pokoje. Mogłybyśmy razem ukryć się tu przed światem i pleść sobie na-wzajem warkocze, tak jak w dawnych czasach.

Isabel pławi się w energii Casey niczym w świetle słońca.

Przyjaciółka przygląda jej się uważnie.

- Serio, bardzo wychudłaś. Jesz coś w ogóle?

- Nie zaczynaj - ostrzega Isabel, wyczuwając, że rozmowa przybiera poważny obrót.

- Dobrze, dobrze. Wiem. Można zabrać mamuszkę z przedmieścia, ale nie można... - Urywa, rozglądając się dokoła. - Ładnie tu. A jak jest naprawdę?

- Opowiedziałabym ci, ale i tak byś nie uwierzyła. Ale jest w porządku. Teraz już jest całkiem dobrze. Chyba coraz lepiej sobie radzę.

- Wyglądasz okropnie, jeśli mogę to powiedzieć.

- Case, powinnaś się nauczyć, jak wyrażać własne zdanie.

- O co chodzi? Ze snem też masz kłopoty?

- Casey?

- Co, kochana? - Casey przygląda jej się uważnie.

- Nic. Tak tylko. Wiesz, nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś.

Ze do mnie przyjechałaś.

- Dlaczego? Jesteś najbliższą przyjaciółką, jaką miałam w życiu.

- Ale... ale ja w takiej sytuacji nawaliłam. Nie było mnie przy tobie, gdy wycinali ci guz. - Isabel przestaje walczyć z poczuciem winy i pozwala, by łzy spłynęły po jej policzkach.

Casey bierze ją za rękę.

- Ale chciałaś tam być.

- Ale nie byłam. - Isabel pociąga nosem.

- Popatrz na mnie. - Casey ścisza mocniej jej dłoń. - Chciałaś być.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

- Czy ktoś ma ochotę usiąść na tym krześle i zacząć dzisiejsze spotkanie? - pyta Larry, chodząc po sali. - Nie robiliśmy tego już od jakiegoś czasu... już dawno nikt tu nie siedział. Są jacyś ochotnicy czy ja mam kogoś wybrać?

Ben podnosi rękę.

- Tak? Ben, chciałbyś tu usiąść? - Larry wskazuje na krzesło.

- Mhm, nie. Ja tylko chciałem zapytać, dlaczego nie zaczynamy od przedstawienia się? Tego też już dawno nie robiliśmy i ciekaw jestem dlaczego. Lubię, kiedy to robimy. Możemy dzisiaj od tego zacząć?

- Ben, wszyscy się już znamy, więc nie jest to konieczne. Zwykle mówimy o sobie, gdy w grupie pojawia się ktoś nowy. Ale skoro to lubisz, możemy to powtarzać od czasu do czasu. Może więc przejdziemy szybko dokoła i każdy powie, jak ma na imię. Chcesz zacząć?

- Cześć, mam na imię Ben - oznajmia Ben z dumą.

- Jestem Melanie.

- Jestem Isabel.

- Regina.

- Cindy.

Sukanya nie przedstawia się.

- No dobrze. Kto siada na krześle? Kto chciałby nam o czymś opowiedzieć...

- Larry? - skrzeczy Regina. Odchrząkuje i zaczyna jeszcze raz: - Ja mam coś, co chciałabym powiedzieć grupie.

- Proszę, chodź tutaj. - Larry imituje moderatora z talk show.

Isabel czuje się tym zażenowana.

- Chodzi o Keishę - mówi Regina.

Isabel prostuje się i natychmiast pyta:

- A co takiego?

Larry również wygląda na zainteresowanego.

- Mów, Regino - zachęca.

- Chcę powiedzieć grupie, że u Keishy wszystko w porządku. Nie wiem, czy wszyscy o tym wiedzieli, że Keisha miała pewne, hm, problemy z prawem, gdy stąd wyszła. Udało jej się przezwyciężyć te problemy i teraz radzi sobie bardzo dobrze. Mogę chyba o tym powiedzieć bez naruszania tajemnicy, bo jej tu już nie ma, prawda?

- Nie ma nic złego w tym, że chcesz przekazać grupie, że Keishy dobrze się wiedzie po wyjściu ze szpitala - odpowiada Larry. - Wszelkie nowiny o postępach w dochodzeniu do zdrowia są mile widziane. Jeśli ktoś chciałby porozmawiać z Reginą o Keishy, może to zrobić po spotkaniu. Kto teraz chciałby coś powiedzieć? Melanie?

Melanie podchodzi do krzesła, a w głowie Isabel kłębią się myśli o Keishy. Spogląda na zegarek. *Boże, jak ten czas się wlecze. To spotkanie nigdy się nie skończy!*

- Elwin nie ma już do mnie cierpliwości... – płacze Melanie.

*Tak, tak, tak... i twoi teściowie też cię nienawidzą... Melanie, postaraj się o jakiś nowy materiał.*

- ...a potem teściowa powiedziała mi, że nie jestem wystarczająco dobra dla jej syna - ciągnie Melanie.

*Minęło dopiero dziesięć minut. Czy to się nigdy nie skończy?*

- ...i w tej historii z materacami najdziwniejsze jest to, że potrzebowałam aż tyle czasu, żeby się zorientować, że pielęgniarki robią mi to specjalnie, na złość - szlocha Melanie.

- Regina, czy mogłabym z tobą chwilę porozmawiać o Keishy? - Isabel tak bardzo chce usłyszeć pozostałą część historii, że niemal siłą odciąga Reginę od grupy.

- Jasne - mówi tamta i daje się wyprowadzić na werandę, choć sama nie pali.

Isabel wie, że to egoistyczne, ale już nie może wytrzymać bez papierosa.

- To dobre wiadomości, nie sądzisz? - pyta Regina uprzejmie, gdy Isabel pochyla się nad zapalniczką w ścianie.

- Tak - mówi Isabel przez zęby, usiłując zapalić papierosa. - Opowiedz mi wszystko od początku.

Regina waha się.

- A ile wiesz o tym, co się z nią działo po wyjściu stąd?

- Byłam tu, gdy ją aresztowali - odpowiada Isabel ze zniecierpliwieniem. - Wiem o jej siostrzeńcu.

Na twarzy Reginy odbija się ulga.

- Aha. No więc mój mąż jest policjantem i opowiedział mi o tym, bo widział tu Keishę, gdy mnie odwiedzał i wiedział, że ją znam. Wiesz, że oskarżono ją o to, że zabiła swojego siostrzeńca po tym gwałcie...

- Tak. I co dalej?

- Miała chyba naprawdę dobrego prawnika. Po- zbierał wszystkie dowody i wyszło na to, że to ci faceci, którzy ją zgwałcili, zabili również jej siostrzeńca. Mój mąż mówił, że wszędzie zostawili odciski palców i że ci policjanci, którzy aresztowali Keishę, to były, przepraszam za wyrażenie, niekompetentne dupki. – Regina wydaje się zażenowana.

- Mój mąż nie liczy się ze słowami. To przez tę jego pracę - wyjaśnia.

- Czyli nie doszło do procesu? - Isabel patrzy na trawnik i myśli o tym, jaką ulgę musiała poczuć matka Keishy.

- Nie. Oskarżenie zostało oddalone i ci, którzy ją zgwałcili, teraz są oskarżeni również o morderstwo. Co posiejesz, to zbierzesz, prawda?

- Tak, nie ma żartów. - Isabel czuje, że ogarniają ją fale tęsknoty. - Twój mąż pewnie z nią nie rozmawiał?

- Och, nie. Nie, po prostu interesował się tą sprawą ze względu na mnie. On sam nie brał udziału w tym dochodzeniu.

- Może mogłabym do niej zadzwonić – ryzykuje Isabel, szukając w twarzy Reginy jakiejś wskazówki.

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł. Powinnaś zadzwonić. Pielęgniarki na pewno dadzą ci jej numer. Czasami nie chcą tego robić, ale tobie dadzą na pewno.

- Dlaczego nie miałyby dać też komuś innemu, skoro dadzą mnie? - dziwi się Isabel, speszona tym komentarzem.

- Bo ty jesteś inna niż wszyscy tutaj – odpowiada Regina z lekkim rumieńcem. - Pielęgniarki dadzą ci numer Keishy, bo tobie można zaufać. Jesteś normalna.

Ten komplement wywołuje gęsią skórę na ciele Isabel.

- Regina, nie ma czegoś takiego jak normalny człowiek - odpowiada i pierwszy raz w życiu czuje się o tym szczerze przekonana.

- No tak, ale ty jesteś jeszcze najbliżej tej normy - mówi Regina i wstaje z krzesła.

Isabel czuje dla niej wielką wdzięczność za te słowa. Ma ochotę uścisnąć nieśmiałą Reginę, ale wie, że tego nie zrobi. Niewiele dotychczas miały ze sobą wspólnego i właściwie nic o niej nie wie, woła więc tylko za odchodzącą:

- Dziękuję!

Regina odwraca się w drzwiach i ich oczy się spotykają.

- Dziękuję za wszystko - powtarza Isabel.

Regina odwraca się i zamyka za sobą drzwi. Isabel gasi papierosa i wychodzi na trawnik, by nacieszyć się ostatnimi minutami dnia.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY TRZECI

- Przez cały czas myślę o Alexie i o tym, co mi mówił - opowiada Isabel następnego ranka w gabinecie doktor Seidler. - To dziwne. Przygotowuję się przecież do bardzo ważnej rozmowy w ANN, a tymczasem w głowie słyszę tylko jego głos. Wydawałoby się, że moja kariera powinna być dla mnie w tej chwili ważniejsza.

- Zastanówmy się nad tym. - Doktor Seidler zakłada nogę na nogę i wygodniej sadowi się w krześle. - Na początek powiedz mi, jakie słowa Alexa słyszysz?

- To, co mówił, że nie zasłużyłam na tę pracę, którą miałam wcześniej - na to stanowisko reporterskie, które straciłam. Chyba opowiadałam już o tym. Te słowa mam w myślach przez cały czas. Brzmia mi w głowie. Powiedział, że zasłużyłam sobie na to, żeby mnie wylali.

- Ciekawe - powtarza doktor Seidler. - Czy masz jakiś pomysł, dlaczego spośród mnóstwa rzeczy, które mówił ci Alex, właśnie te słowa tak mocno utkwily w twojej pamięci?

- Nie wiem - odpowiada Isabel. - Nie potrafię tego zrozumieć.

- A może to dlatego, że jesteś zdenerwowana przed spotkaniem? Wspominałaś, że to spotkanie może się dla ciebie wiązać z utratą pracy. Popraw mnie, jeśli się mylę. Wyobrażam sobie, że taka perspektywa wzbudza w tobie mnóstwo emocji - strach, smutek, może nawet ulgę. Może słowa Alexa odzwierciedlają to, co sama o sobie teraz myślisz?

Isabel zastanawia się nad tym.

- Oczywiście mogę się mylić. To tylko teoria - zastrzega doktor Seidler. - Ale pamiętam, jak opowiadałaś, że gdy poznałaś Alexa, twoje



poczucie własnej wartości było bardzo niskie, więc może w tym, co mówił, było trochę prawdy. W takich sytuacjach trudno jest rozstrzygnąć, co było pierwsze, kura czy jajo. Twoje poczucie wartości było zaniżone przez to, jak traktował cię David, więc może Alex bazował na tym i przez swoją przemoc, słowną i fizyczną, jeszcze pogorszył twój stan. A może czułaś się trochę lepiej, ale słowa i działania Alexa znów wpędziły cię w dołek. Jak myślisz, dlaczego przyciągałaś do siebie ludzi, którzy źle cię traktowali?

- Naprawdę nie wiem. Ale co to ma wspólnego z moimi myślami teraz?

- Nie jestem pewna. Mam jednak wrażenie, że stoisz nad krawędzią. Dopiero przed chwilą przyszło mi to do głowy, więc nie potrafię tego dobrze wyrazić, ale być może sama nie jesteś pewna, co masz o sobie myśleć. Po tym, jak twój związek z Davidem się skończył, mogłaś pójść w dwie strony. Mogłaś znaleźć sobie mężczyznę zupełnie innego niż David, kogoś, kto traktowałby cię z szacunkiem i okazywał ci miłość. Ty jednak związałaś się z Alexem, który powtórzył wzorzec przemocy. Może Alex stanowił potwierdzenie twojej nienawiści do siebie. Inaczej mówiąc, może Alex skończył to, co David zaczął.

- Ale dlaczego pociągają mnie właśnie tacy mężczyźni?

- Nie wiesz tego?

- Chyba nie.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. David i Alex - co oni mieli wspólnego? Poza tym, że szybko wpadali w złość?

- Hm...

- Czy zgodziłabyś się ze mną, że obydwu cechowały silne emocje i zaangażowanie?

- Tak. Bardzo.

- A twój ojciec taki nie był, prawda? Bardzo mocno angażował się w pracę, co do tego nie ma wątpliwości. Angażował się nawet w picie. Ale wobec ciebie?

- Absolutnie nie.

- Może pociągała cię ta siła emocji? Czy to możliwe, że byłaś spragniona tego rodzaju uwagi ze strony mężczyzny, ponieważ nie otrzymałaś jej od ojca?

Milczenie.

- A teraz znowu kończysz niedobry związek i możesz pójść w jedną albo w drugą stronę. Możesz się otoczyć zdrowymi ludźmi, którzy będą cię szanować, albo możesz znów poszukać kogoś, kto, tak jak Alex, będzie żerował na twojej niepewnej samoocenie.

- Ale ja nie szukałam niezdrowych relacji świadomie. Alex wydawał się dobrym, wspierającym człowiekiem...

- Tak, wiem. Ale na jakimś poziomie musiałaś dostrzegać sygnały niebezpieczeństwa.

- Chce pani powiedzieć, że sama to na siebie ściągnęłam?

- Nie! W żaden sposób nie chcę powiedzieć, że na to zasłużyłaś, Isabel. Nie. Ale chcę powiedzieć, że nasze wybory zawsze opierają się na tym, co czujemy w danym okresie. Wtedy, gdy Alex pojawił się w twoim życiu, brakowało ci pewności siebie. To on stosował przemoc, Isabel... nie ty. Ale teraz po raz kolejny próbujesz się odnaleźć i w takim okresie jak teraz jest bardzo ważne dla ciebie - dla wszystkich - żeby czuć się dobrze ze sobą, mieć dobre zdanie o tym, kim jesteś na-

prawdę. To będzie jak magnes przyciągać do ciebie dobrych ludzi. Rozumiesz?

- Chyba tak - odpowiada Isabel cicho.

- Ja widzę w tobie inteligentną, silną, piękną osobę. Ty też musisz ją w sobie zobaczyć. To jest klucz. Jeśli będziesz siebie cenić, nikt nie będzie próbował po tobie deptać.

Isabel poczuła się tak jak kiedyś, przed wielu laty, gdy w towarzystwie matki odwiedziła na targu wróżkę, która czytała z jej dłoni. Pod wpływem kojącego głosu wróżki Isabel wpadła w trans; czuła wtedy przyjemne mrowienie w dłoni.

Roztarta ramiona i spojrzała na zegar wiszący nad biurkiem doktor Seidler. Ich spotkanie dobiegło końca.

- Wiem, że czas już się skończył, ale czy to, co powiedziałam, wzbudza w tobie jakiś oddźwięk?

- Muszę to przemyśleć - odpowiada Isabel, nie chcąc wyrywać się z transu. - To ma sens, tylko muszę to lepiej przemyśleć.

- Bardzo dobrze. W takim razie do następnego spotkania.

- Do następnego spotkania.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY CZWARTY

- Pani Jackson? Mówi Isabel Murphy, koleżanka Keishy.

- O, witaj, Isabel. Co u ciebie, skarbie?

- Wszystko dobrze, dziękuję. Słyszałam dobre nowiny na temat Keishy. Czy jest teraz w domu?

- Prawda, że to wspaniała wiadomość? - W głosie pani Jackson słychać euforię. - Bóg wysłuchał moich modlitw, wysłuchał moich modlitw! Zaraz ją zawołam. Właśnie się przygotowuje do wyjścia na rozmowę w sprawie pracy... Keisha? Telefon!

W słuchawce rozlegają się odgłosy kroków.

- Taaa?

- Keisha?

Isabel jest zdziwiona tym, jak inny jest ten zdyszany głos po drugiej stronie.

- Tak?

- Mówi Isabel. Z Three Breezes - dodaje szybko, wiedząc, że jej nazwisko nic tamtej nie powie. Zdaje sobie sprawę, że matka Keishy tylko z uprzejmości udawała, że ją poznaje.

- Cześć - mówi Keisha bez przekonania. - Hej... jak ci leci? Aha! Co słychać?

- W porządku. Wszystko dobrze. Ale słyszałam nowiny o tobie. Wygląda na to, że doskonale ci się ułożyło! Gratuluję!

- Dzięki. Powiem ci, że sama nie mogę w to uwierzyć.

- Jasne... nie dziwię się.

*O czym mam z nią teraz rozmawiać? Niepotrzebnie dzwoniłam.*

- A co z tobą? Skąd dzwoniisz? - pyta Keisha.

- Ja? Och. Nadal jestem tutaj. W szpitalu.

- Och - mówi Keisha niepewnie. - I co tam słyhać? Kristen też tam jeszcze jest?

- Nie. Nie ma jej tutaj. A ja też pewnie niedługo już stąd wyjdę.

*Teraz wpadam w ton obronny.*

- To świetnie! - oznajmia Keisha.

Fakt, że ona też może czegoś pogratulować Isabel, sprawia jej wyraźną ulgę.

- No dobrze - mówi Isabel tonem sygnalizującym zakończenie rozmowy. - Chciałam ci tylko pogratulować. Bardzo się cieszę, że wszystko się dobrze skończyło. - *Powiedz coś jeszcze.* - Teraz możesz zaczynać życie od nowa.

Ich przyjaźń zrodziła się w cierpieniu, a potem zastygła w czasie. W prawdziwym życiu nie udałoby jej się utrzymać.

- Dzięki. I dzięki, że zadzwoniłaś. - Keisha natychmiast odkłada słuchawkę.

Isabel wie, że to była ich ostatnia rozmowa w życiu.

- Isabel, zanim zaczniemy, chciałabym ci coś powiedzieć - mówi doktor Seidler z ożywieniem. - Opowiedziałaś mi o Kristen i o tym, co się z nią działo po opuszczeniu Three Breezes.

- Tak?

- Chcę ci powiedzieć, że tak jak obiecałam, rozmawiałam z doktorem Flaggiem, który prowadził tutaj Kristen, i on przyznał, że rzeczywiście był z nią w kontakcie, a co więcej, zorganizował już przewiezienie jej z Bellvue z powrotem do nas. Kristen prosiła, żeby na pewno

przekazał tę wiadomość tobie, poprosił mnie więc, żebym ci to powtórzyła.

- Ooo - Isabel sama nie wie, co ma o tym myśleć.

- Jak się czujesz na wiadomość o jej powrocie?

- Kiedy? Kiedy ona tu wraca?

- Nie wiem tego na pewno - odpowiada doktor Seidler. - I doktor Flagg też chyba nie wie. Trzeba przygotować mnóstwo papierów i przeprowadzić konsultacje. Może to być nawet jutro. Ale w każdym razie wraca. Masz dziwny wyraz twarzy.

Isabel jak zahipnotyzowana patrzy na kropelki deszczu spływające po okiennej szybie. Dwie z nich łączą się ze sobą w drodze w dół i tworzą miniaturowy strumyk, który następnie krętą drogą spływa w dół szyby.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że udało jej się wykręcić ten numer - mówi, dalej patrząc na obrazy tworzone na szybie przez naturę.

- Jaki numer?

- Całą tę historię. - Isabel skupia wzrok na lekarce. - Najpierw wymyślona bajeczka o bracie, potem przeniesienie tutaj. Sama nie wiem. Myślałam, że ją znam, ale chyba jednak nie.

- Czy to jest dla ciebie trudne? Odkrycie, że ktoś jest kimś innym, niż ci się wydawało?

- Tak. To jakiś dziwny wzorzec w moim życiu. Alex okazał się kimś innym, niż sądziłam. Przez cały czas mieliśmy te same problemy: ze złością, z komunikacją. Może to jest tak, jak pani powiedziała ostatnim razem: przyciągałam to, co sama o sobie myślałam w danym okresie. Myślę, że to prawda. Na przykład Kristen. Pojawiła się i na początku odniosłam wrażenie, że mamy wiele wspólnego. Pochodzimy z po-

dobnych rodzin, obie mamy za sobą pechowe pierwsze miłości i ogólnie nie miałyśmy szczęścia do mężczyzn. Ale potem zdarza się ta kosmiczna historia z kierowcą limuzyny – nadal nie jestem pewna, co się tam naprawdę wydarzyło. Zupełnie jakby paranoja Kristen w końcu wzięła górę...

Isabel zawiesza wzrok i znów patrzy przez okno na deszcz.

- A ty? Ty sama też nie jesteś tym, za kogo się wcześniej uważałaś.

- Słucham?

- Opowiadałaś mi o rozmowie z twoją matką. Uważała cię za idealną córkę, a ty jej powiedziałaś, że nią nie jesteś. Ale może mówiłaś to wtedy sobie?

*Tak.*

- Czy trudno ci będzie stanąć twarzą w twarz z Kristen, gdy ona już tu wróci?

- Kristen? Nie. Myślę, że dzieli nas już spory dystans. Ale Alex... staniecie z nim twarzą w twarz będzie najtrudniejsze. Myślę, że kiedy uda mi się to zrobić, to pokonam największą przeszkodę ze wszystkich.

- Stanąć twarzą w twarz z kimś, kto zawiódł twoje zaufanie?

- Stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Powietrze po deszczu było wilgotne i gęste. Temperatura na oddziale bardziej kojarzy się z sierpniem niż z końcem września. Centralna klimatyzacja pracuje pełną parą i Isabel zaczyna odliczać sekundy między kolejnymi dźwiękami, żeby przywołać senność. Dolicza do stu i nudzi ją to.

Poprzez biały szum dochodzący z odtwarzacza Hamacher Schlemmer słyszy na korytarzu trzask kilku par otwieranych i zamykanych drzwi. Próbuje wychwycić stłumione odgłosy rozmowy, która w pewnej chwili staje się głośniejsza, a potem zupełnie cichnie.

*Za późno już na kontrolę o pierwszej trzydzieści.*

Z nudów i z pewności, że nie uda jej się zasnąć, wstaje i wyłącza odtwarzacz, a potem otwiera drzwi i wygląda na pusty korytarz. Idzie za głosami, aż w końcu udaje jej się odróżnić pojedyncze słowa. Poznaje gardłową intonację swojej ulubionej pielęgniarki z nocnej zmiany. Connie dyskutuje z kimś w wyściełanej izolatce.

- Nie! - odzywa się jakiś męski głos.

- Najpierw policz do trzech - nakazuje Connie.

- Ale jeśli... - Kolejny głos milknie, zanim Isabel zdąży rozpoznać, kto mówi.

Za rogiem korytarza światło padające z izolatki tworzy jasny trójkąt na linoleum podłogi. Od czasu do czasu w ten trójkąt wcinają się cienie



postaci przechodzących z jednej strony na drugą. Wzburzone głosy przypływają i odpływają.

- Wcale mnie nie słuchasz!

- Dobrze, powiem wam, co zrobimy - głos Connie przebija się przez zgiełk. - Policzymy do trzech i na trzy wszyscy jednocześnie podniesiemy tę górną część. Pasy są zapięte, więc nie powinno być żadnego problemu. Fred, stań po prawej stronie i bądź gotów, żeby ją pochwycić, jeśli będzie trzeba.

- Jest całkiem ogłuszona - odpowiada męski głos. - Może ten zastrzyk w końcu zadziałał.

Isabel ostrożnie posuwa się do przodu i zerka przez ramię. Korytarz jest pusty. Pacjent w wyściełanej izolatce skupił na sobie uwagę całego nocnego personelu.

- Gotowi? - pyta Connie. - Raz! Isabel podsuwa się jeszcze bliżej.

- Dwa!

Jeszcze dwa kroki w stronę izolatki.

- Trzy!

Staje niemal w progu i słyszy dźwięk metalu uderzającego o podłogę oraz stłumione jęki kobiety. Dla dodania sobie odwagi bierze głęboki oddech i zmusza się, by zerknąć do izolatki.

Przywiązana pasami do noszy leży Kristen, na jej ustach jak gniewne uderzenie widnieje kawałek szerokiej taśmy do pakowania. Na czole ma kropelki potu, a oczy szaleńczo biegają z jednego końca izolatki w drugi. Wydaje się sparaliżowana strachem, jak zwierzę schwyte w sidła na moment przed tym, zanim zacznie sobie odgryzać nogę, by uciec.

Connie i kilku sanitariuszy zdejmują z jej ciała drugie nosze. Gdy pozostali zajęci są uprzątnięciem sprzętu, Connie przykuca przy Kristen. Dotyka jej czoła i szepcze coś do niej, próbując ją uspokoić. Isabel czuje, że zbiera jej się na mdłości, i odwraca się.

Ma wrażenie, jakby błyskawica oświetliła negatyw fotografii jej własnego koszmaru i w tej jednej chwili różnica między nią a Kristen krystalizuje się na dobre. W tej chwili Isabel zyskuje pewność, że ich drogi są różne. Stojąc obok izolatki, wyraźnie słyszy głos Reginy. „Ty nie jesteś taka jak wszyscy... jesteś normalna”. Oczami wyobraźni widzi, jak zamaskowany Ben maszeruje po korytarzach szkoły, widzi Sukanyę, która recytuje żydowską modlitwę w pralni, widzi wiszące nad suszarką martwe, zakrwawione ciało Lark.

Powoli, mechanicznym krokiem wraca do swojego pokoju i gdy zamyka drzwi, po raz pierwszy od lat jest pewna, że będzie żyła. Aż do tej nocy perspektywa powrotu do „prawdziwego świata” napełniała ją lękiem. Teraz czuje spokojną ufność.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY SZÓSTY

- Nic już tu nie mam do roboty - oznajmia Isabel lekarce po trzydziestu sekundach od rozpoczęcia spotkania. - Jestem gotowa na powrót do domu.

- No, no - uśmiecha się doktor Seidler. – To dobrze. W takim razie wypiszemy cię do domu. Opowiedz mi o tej decyzji. Co do niej doprowadziło?

- Jestem gotowa stąd wyjść - powtarza Isabel z zupełną pewnością w głosie. - Wiem, że już wcześniej tak mówiłam, ale tym razem naprawdę tak myślę. Naprawdę jestem gotowa.

- Doskonale. Myślę, Isabel, że wykonałaś tu dużo dobrej roboty - mówi doktor Seidler. – Dokonałaś olbrzymich postępów. Mam nadzieję, że nabyłaś również umiejętności radzenia sobie z życiem i jeśli kiedyś w przyszłości poczujesz się czymś przytłoczona, to będziesz wiedziała, co z tym zrobić. W mieście też jest mnóstwo możliwości.

- Wiem. Teraz o wiele łatwiej jest mi mówić o wszystkim, nie muszę tego dusić w sobie. To był mój problem przez cały czas. Jeden z moich problemów. Nad innymi będę pracować już w Nowym Jorku, z Moną. Te spotkania będą trwały nadal.

Doktor Seidler przez cały czas entuzjastycznie kiwa głową.

- Oczywiście.

- Kiedy mogę pakować tobołki?

- Muszę pozbierać całą twoją dokumentację i przygotować oficjalny wypis. Powinnaś wiedzieć, że mam obowiązek skontaktować się z twoją terapeutką w mieście, czyli Moną, bardziej z uprzejmości niż z

jakiegokolwiek innego powodu. Będziesz musiała do niej zadzwonić i umówić się na spotkanie. Przy wypisie musimy mieć pewność, że pozostaniesz pod właściwą opieką. To tylko formalność, bo wiem, że nadal będziesz z nią pracować.

- Zadzwoń do niej zaraz po naszym spotkaniu - obiecuje Isabel. - I zadzwonię też do matki, powiem jej, żeby po mnie przyjechała. Ale muszę wiedzieć kiedy.

- A kiedy byś chciała? Wiem, że masz umówione spotkania za dwa dni.

- Mogę pójść na te spotkania już z domu. Może lepiej byłoby, żeby najpierw przez jakiś dzień przyzwyczała się do miasta, zanim tam pójde. Czyli... jutro? Czy mogę wyjść stąd jutro? W takim razie jeszcze dziś poszłabym na terapię grupową z Larrym i mogłabym się ze wszystkimi pożegnać.

- Isabel, czy jesteś tego pewna?

- Absolutnie tak.

- W takim razie niech będzie jutro. - Doktor Seidler uśmiecha się do niej ciepło. - Możesz powiedzieć rodzicom, żeby po ciebie przyjechali zaraz po naszym porannym spotkaniu. W ten sposób ja też będę miała okazję pożegnać się z tobą.

- Doskonale. - Isabel zupełnie zapomniała, że rozstaje się również z terapeutką.

- Skoro to jest już ustalone, to może porozmawiamy o tym, do czego wracasz - mówi lekarka. - Postarajmy się wykorzystać każdą minutę, jaka nam została, na rozmowę o tym, czemu będziesz musiała stawić czoło po powrocie. Chyba że jest coś innego, o czym jeszcze chciałabyś porozmawiać?

- Nie. To dobry pomysł.

- Moim zdaniem, spośród wszystkich spraw, które cię czekają po wyjściu, dwie są najpilniejsze i wymagają szczególnej uwagi, ale myślę, że sama o tym wiesz. Twoje spotkanie w ANN zapewne będzie bardzo stresujące, a poza tym po raz pierwszy od dłuższego czasu zobaczysz się z Alexem. Jaką metodę postępowania uważasz za najlepszą w tych sytuacjach?

- Widzi pani, właśnie dlatego lepiej, żebym poszła na te spotkania już z domu, nie stąd. Jeśli pojedę do miasta stąd, znowu poczuję się oszołomiona – nawet gdyby miało to być o połowę mniej silne wrażenie niż poprzednio - i jeśli w takim stanie pójde na spotkanie z szefem, to zupełnie tam zgłupieję. Nie będę miała siły, żeby powiedzieć cokolwiek we własnej obronie, choćby po to, żeby zachować twarz. Będę się martwić, że leki nie zapobiegna kolejnemu atakowi paniki i że zastygnę znowu jak kołek pośrodku gabinetu Sargenta. To byłby koszmar. A jeśli wyjadę stąd jutro, to będę miała całą noc, żeby znów przyzwycząić się do własnego mieszkania i może uda mi się ocalić przynajmniej resztki godności w ANN.

Doktor Seidler znowu kiwa głową.

- To prawda. Właśnie przyszło mi coś do głowy: a co będzie, jeśli cię nie wyrzucą?

- Co takiego?

- Przez cały czas zakładasz, że będziesz musiała stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Ale przecież możesz im powiedzieć, że jesteś w trakcie leczenia problemu, który nie pozwalał ci dobrze wykonywać pracy, i czujesz się już gotowa, by wrócić na swoje miejsce. I co, jeśli

wtedy usłyszysz: „Dobrze, Isabel, w takim razie wracaj”? Co wtedy zrobisz?

- Naprawdę nie sędzę, by coś takiego miało się zdarzyć.

- Ale jednak...

- W tej chwili nie jestem tego pewna na sto procent. Nie potrafię podjąć takiej decyzji tutaj. Może również dlatego chcę wyjść. Wielkie decyzje, które na mnie czekają, muszę podjąć w domu. Muszę się znaleźć w innym otoczeniu. Może wróciłabym do ANN. Może udałoby mi się zamydlć oczy samej sobie i przekonać siebie, że nie dopuszczę już do życia w takim stresie i że teraz już lepiej potrafię sobie z nim radzić, więc wszystko będzie wyglądało inaczej. A może nie. Prawda wygląda tak, że ta praca zawsze będzie się wiązała ze stresem, bo to już taka praca. Muszę się zastanowić, czy właśnie tym chcę wypełnić swoje życie. A tego nie wymyślę tutaj, siedząc na krześle w Three Breezes.

- Dobrze powiedziane. A co z Alexem?

Isabel milknie na chwilę.

- W pewien sposób tego problemu nie da się rozwiązać. To znaczy, ten pociąg już odjechał. Nie potrafię mu pomóc. Teraz już o tym wiem. Nie mogę być odpowiedzialna za to, by on był szczęśliwy.

- Wcześniej udało mu się zrzucić na ciebie odpowiedzialność za to, że czuł się nieszczęśliwy. Skąd wiesz, że znowu cię nie wciągnie w ten krąg, że znowu nie zaczniesz czuć się za niego odpowiedzialna?

- Wydaje mi się, że zbyt wiele przeszłam od tego czasu. Sama nie wiem - odpowiada Isabel, prostując się na krześle. - Nie wiem, jak to lepiej ująć, ale po prostu czuję się gotowa.

- W takim razie zajmijmy się wypisem.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

- Mama?
- Cześć, skarbie!
- Wychodzę stąd.
- Co? - Katherine jest wyraźnie zaniepokojona. - Co to znaczy?

Dokąd wychodzisz?

- Wracam do domu.

- Kochanie - woła matka do ojca - podnieś drugą słuchawkę! To Isabel! Wypisuje się ze szpitala! Isabel, czy powiedzieli ci, że jesteś już na to gotowa?

- Powiedzieli, że mogę wyjść, kiedy poczuję się gotowa, i już się czuję. - Teraz, w trakcie rozmowy z matką, perspektywa opuszczenia szpitala staje się znacznie bardziej rzeczywista. - Czy możesz po mnie przyjechać?

- Isabel, co się stało? - pyta ojciec, wyraźnie czymś zaabsorbowany.

Isabel bierze głęboki oddech, przemywa wszystkie wewnętrzne organy tlenem i powoli wypuszcza powietrze.

- Isabel? - woła ojciec przez kable, przez lata zmarnowanych szans.
- Co się stało?

Isabel uśmiecha się do słuchawki, choć on nie może tego zobaczyć.

- Och, tato - *będzie jeszcze mnóstwo czasu, żeby o tym porozmawiać* - po prostu jestem już gotowa do wyjścia.

- Oczywiście, że możemy po ciebie przyjechać, kochanie - mówi Katherine. - Kiedy?

- Jutro. O dziesiątej. Ale jeśli to wam nie odpowiada, to chyba może być później.

- Jutro? Już jutro? Czy to trochę nie za szybko? - dziwi się Katherine.

- Dlaczego wyjeżdżasz? - pyta ojciec zmartwionym głosem.

- Bo już czas, tato. - Isabel musi zachować pewność siebie.

W pamięci ma powrót Kristen do Three Breezes, jej rozszalałe oczy, ciało skrepowane pasami niczym ludzki zraz.

Następuje chwila milczenia. Rodzice zastanawiają się, czy zadawać córce jeszcze jakieś pytania, czy po prostu uwierzyć jej na słowo.

- Przyjedziemy - mówi ojciec.

- Dzięki - odpowiada Isabel z nadzieją, że tym razem ojciec zamierza dotrzymać słowa.



## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Po telefonie do rodziców Isabel czuje się inną osobą. Tak jak Clark Kent w budce telefonicznej nabierał nadludzkich właściwości, podobnie i Isabel zaczyna widzieć Three Breezes w taki sposób, jakby miała rentgen w oczach. Do wyjazdu pozostały jej tylko dwadzieścia cztery godziny i w myślach zaczyna już się żegnać z tym miejscem.

Pierwszą osobą, jaką spotyka w drodze powrotnej na oddział, jest Melanie.

- Isabel, tak się zastanawiałam - mówi Melanie z intensywnym błyskiem w oczach, do którego Isabel już przywykła.

- Tak, Melanie, o co chodzi? - pyta, zwalniając kroku, ale nie zatrzymując się.

Melanie jest zmuszona iść obok niej.

- Nie mam czasu owijać w bawełnę, więc powiem krótko. Potrzebny mi nowy materac. Mówiłam im to już milion razy, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Gdybyś ty im powiedziała, toby posłuchali.

Isabel czuje przepełniające ją dziwne uczucie ciepła do tej dziwnej kobiety, która do tego stopnia skupiona jest na problemie gorszego materaca, że udaje jej się zupełnie uniknąć jakiegokolwiek wglądu w siebie.

- Wiesz co, Melanie - mówi Isabel, powściągając uśmiech - myślę, że wszystko się samo ułoży w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Prawdę mówiąc, jestem tego zupełnie pewna.

Melanie szeroko otwiera oczy. Dotychczas wszyscy ignorowali jej skargi.

- O czym ty mówisz? - pyta, podejrzliwie mrużąc powieki.

- Mam pewien pomysł - tłumaczy Isabel, prowadząc Melanie na podest dla palaczy, tak jak wcześniej zrobiła z Reginą. - Jeśli posiedzisz tu ze mną, to ja sobie zapalę i powiem ci, jaki mam plan.

Melanie nie może uwierzyć własnemu szczęściu. Oto znalazł się ktoś, kto nie tylko przejmuje się jej sytuacją na tyle, by z nią o tym porozmawiać, ale nawet ma jakiś plan! Porzuca podejrzenia i idzie za Isabel.

Isabel zapala papierosa od zapalniczki na ścianie i wciąga dym do płuc.

- Mój pomysł jest taki - mówi, wydechając dym na bok. - Dziś wieczorem pójde do pielęgniarek i powiem im, że od jutra możesz zająć mój pokój. A ty się spakujesz i przygotujesz do przeprowadzki. Powiem im, że po prostu chcemy się zamienić.

- Zrobiłabyś to dla mnie? - Melanie wciąż nie może uwierzyć.

- Oczywiście, to żaden problem. - Isabel sama nie wie, dlaczego nie chce się przyznać, że następnego ranka ma opuścić szpital. Chce, żeby Melanie była jej wdzięczna za bezinteresowny akt dobroci.

Melanie jednak nie potrafi się pozbyć sceptycyzmu.

- A co ty będziesz z tego miała?

- Co ja będę z tego miała? Melanie, jakie to cyniczne pytanie z twojej strony. A co mam z tego mieć? Czy nie mogę po prostu zrobić czegoś miłego dla przyjaciółki?

Melanie przygryza usta i zastanawia się nad szczerością oferty Isabel.

- Nie rozumiem - mówi w końcu, wykrzywiając wargi, by dosięgnąć zębami luźno zwisającego pasemka skórki. - Dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

- Powiedzmy, że chcę zostawić za sobą dobre ślady - uśmiecha się Isabel.

- Dla mnie to nie ma żadnego sensu, ale trzymam cię za słowo. Naprawdę chcesz tak zrobić? Porozmawiasz dzisiaj z pielęgniarkami?

- Tak. Pójdę do nich. - Isabel wie, że Melanie będzie zastanawiać się nad tym obsesyjnie aż do rana, ale jest jej wszystko jedno.

Nie czuje się jeszcze gotowa powiedzieć wszystkim, że wyjeżdża. Gdy tylko wiadomość się rozniesie, zaczną ją traktować inaczej. Widok kogoś, kto opuszcza Three Breezes, jest bolesny dla pozostających.

- Umowa stoi.

Isabel wyciąga dłoń do Melanie, ale ta krzywi się pogardliwie i z pochmurną twarzą wraca do budynku.

- Hej, Isabel! - woła Ben.

Wtaczając się na werandę, zajada czekoladowy pudding z plastikowego kubka, który w jego wielkiej łapie wydaje się zadziwiająco mały.

- Ben! Usiądź tu ze mną. - Isabel wskazuje na puste krzesło naprzeciwko swojego.

Ben wydaje się zdziwiony tą nieoczekiwaną gościnnością. Opada na plastikowe krzesło i plastikową łyżeczką wyskrobuje z kubka resztki puddingu.

- O co chodzi? - pyta z pełnymi ustami.

- Po prostu chciałam z tobą porozmawiać - odpowiada Isabel, wydychając dym. - Nigdy nie rozmawialiśmy sam na sam, więc dlaczego nie teraz?

Ben obraca resztki puddingu w ustach, a potem zwiesza głowę.

- Aha! Wychodzisz stąd, tak? - mówi piskliwym głosem w stronę własnych kolan.

- Dlaczego tak myślisz, Ben? - Isabel jest zaskoczona, że akurat on wykazał tyle spostrzegawczości, by wyczuć subtelną zmianę atmosfery.

- Wiem. Po prostu to widzę. Wychodzisz, prawda?

- Tak, to prawda. Nie będę cię okłamywać, Ben. Wychodzę jutro rano. Chciałam powiedzieć o tym wszystkim dziś wieczorem, na spotkaniu z Larrym. Boże! Jestem zdumiona, że się domyśliłeś.

- To nie było takie trudne, Isabel - mówi Ben pobłażliwym tonem, jak dorosły do dziecka. - Nigdy mnie nie wołałaś, żebym z tobą usiadł. Zawsze siedziałaś tu z Kristen. Potem któregoś dnia widziałem cię z Reginą. I z Lark. Siedziałaś też z Lark. Ale mnie zawsze przeganiałaś. Aż do dzisiaj nigdy nie chciałaś zostać ze mną sama, więc pomyślałam, że pewnie wyjeżdżasz. Bo inaczej dlaczego miałabyś ze mną siedzieć?

Isabel milczy przez chwilę.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy, wiesz? Jesteś bystry i spostrzegawczy. Naprawdę mi przykro, że nigdy wcześniej z tobą nie siedziałam.

Ben rumieni się na te słowa.

- W porządku - mruczy, nie patrząc jej w oczy. - Wiem, że nie jestem bystry, ale cieszę się, że tak mówisz.

Fala ciepła, która wcześniej pojawiła się w obecności Melanie, teraz powraca i ze zdwojoną siłą obejmuje Bena.

- Ben, chciałabym ci coś powiedzieć. - Ben zauważył zmianę w jej głosie i podnosi wzrok. - Proszę, posłuchaj mnie, bo to ważne. Chcę ci powiedzieć, że jesteś dobrym człowiekiem. Twoja matka mówiła o tobie same złe rzeczy, ale nie miała racji, Ben. Miała własne problemy i wylewała je na ciebie, a ty byłeś tylko dzieckiem, więc zrobiła ci tym krzywdę. Wiem, że Larry mówi, że nie można oceniać innych ludzi z powodu ich problemów, ale w tym wypadku nie mogę się powstrzymać. Jesteś dobrym człowiekiem, a choroba nie jest twoją winą.

Ben patrzy na Isabel z szeroko otwartymi ustami. Strużki śliny gromadzą się niebezpiecznie blisko brzegu jego warg. Patrzy na nią jak zahipnotyzowany.

- Wiem, że powinnam się zająć własnymi sprawami i wiem, że masz wiele spraw do przepracowania, i tak dalej. Ale chcę, żebyś wiedział, że jesteś dobrym człowiekiem. Nie pozwól, żeby ktokolwiek mówił ci coś innego. Ani nauczyciele, ani matka, nikt nie ma prawa tak ci mówić. I z tego, co mówiłeś w grupie, wygląda na to, że musiałeś się zmagać z zaburzeniami w uczeniu się. To też nie była twoja wina. Jesteś dobrym człowiekiem i jeśli w to uwierzysz, możesz dokonać wszystkiego, czego zechcesz.

Ben wsysa z powrotem ślinę, zamyka usta i opuszcza wzrok, a potem mówi cicho:

-Wellbutrin. Isabel, wellbutrin ocalił mi życie.

Isabel wie, że Ben musi przetrwać to, co usłyszał, toteż zmienia temat na lżejszy.

- Ben, przyszło mi do głowy, że muszę sobie zapisać nazwę tego baru z kurczakami, o którym wspominałeś, w razie gdybym kiedyś tamtędy przejeżdżała.

Dla Bena jest to najwyższy możliwy komplement. Na jego szerokiej twarzy pojawia się wyraz czystego uniesienia.

- Ach, Isabel - wzdycha - musisz spróbować tych kurczaków! Bar nazywa się Bobby D i mają tak dobre jedzenie, że nawet teraz, kiedy tu siedzę z tobą, czuję ten zapach. Mówię ci, naprawdę w tej chwili go czuję. Wiesz, co oni robią? Marynują żeberka przez noc w takiej specjalnej zalewie...

Isabel uśmiecha się, wyciąga kolejnego papierosa i pozwala Benowi rozplýwać się w zachwytach nad żeberkami.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

- Larry, czy mogę powiedzieć coś całej grupie? - pyta Isabel pod koniec sesji, która ma być jej ostatnią.

- Oczywiście, Isabel - odpowiada Larry, dobrze wiedząc, co to za wiadomość. - Środek sali jest twój.

Isabel bierze głęboki oddech.

- Jutro stąd wychodzę.

Po drugiej stronie sali Regina mruczy coś głośno. Sukanya patrzy w przestrzeń. Nikt się nie odzywa.

- Chciałam powiedzieć o tym wam wszystkim, bo wiem z własnego doświadczenia, jakie to uczucie, gdy ktoś odchodzi nagle, bez pożegnania - wyjaśnia, myśląc o Lark. - To denerwujące. I ja też się teraz denerwuję, żegnając się z wami. Ale wolę się pożegnać niż tak po prostu zniknąć.

Cisza.

Melanie potrząsa głową.

W końcu Larry przerywa niezręczne milczenie.

- Czy ktoś ma ochotę coś powiedzieć?

- Wiedziałam! - krzyczy Melanie. - Wiedziałam, że coś się musi za tym kryć, gdy proponowałaś mi zamianę pokoi! - woła z szyderstwem w głosie.

- O czym ty mówisz, Melanie? - dziwi się Larry.

- Melanie... - wtrąca Isabel uspokajająco.

- Nie odzywaj się do mnie! Aż do samego wyjazdu nie odzywaj się do mnie ani słowem!

- Ale... - Isabel próbuje przerwać ten melodramatyczny występ, Melanie jednak nie daje się ułagodzić.

- Nie ma żadnego ale! Nie odzywaj się do mnie i już.

- Dobrze, w porządku - mówi Larry, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. - Chcecie mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

- Isabel powiedziała mi, że jutro rano mogę się z nią zamienić na pokoje - syczy Melanie. - Zapytałam ją wprost, dlaczego proponuje mi coś takiego, i powiedziała, że to dlatego, że się przyjaźnimy. Wiedziałam, że musi być jakiś inny powód! Wiedziałam! A teraz okazuje się, że wychodzi. Doskonale. Po prostu doskonale.

- Isabel? - Larry teraz zwraca się do niej.

- Melanie, bardzo cię przepraszam - mówi Isabel. - Przepraszam, że nie powiedziałam ci prawdy.

- Dlaczego? - pyta Melanie i po jej twarzy zaczynają spływać łzy.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Może nie byłam gotowa, by się przyznać, że wychodzę. A może chciałam, żebyś pomyślała, że jestem miła. Sama nie wiem. Ale przykro mi, Melanie.

Isabel spuszcza wzrok.

- Isabel, życzę ci wszystkiego dobrego po wyjściu ze szpitala i jestem pewien, że pozostali też się przyłączają do tych życzeń. - Larry uśmiecha się do niej ciepło. - Czy możemy się tutaj zebrać i pożegnać Isabel?

Jedno po drugim, Ben, Regina i wreszcie, trochę niechętnie, Melanie podnoszą się i otaczają krzesło Isabel.

- Dobrze. Teraz wszyscy zamilknijmy na chwilę i prześlijmy Isabel dobre myśli - mówi Larry zza ich pleców.



Isabel patrzy na swoje kolana. Podskakuje z wrażenia, gdy czuje dotykanie pierwszej dłoni na swoim ramieniu, ale gdy pozostali również kładą dłonie na jej ramionach i karku, ogarnia ją niczym niezmałowany spokój.

*Już nigdy więcej nie zobaczę tych ludzi.* Tym razem ta myśl napęła ją smutkiem, a nie nadzieją.

Ręce cofają się, ale najpierw każda przekazuje jej wspierający uścisk. Isabel przetyka kulę, która formuje jej się w gardle.

- Do widzenia, Isabel. - Cichy głos Larry'ego przerywa ciszę. - Powodzenia.

Podnosi wzrok i patrzy poprzez pomieszczenie prosto w oczy Sukany. Przez krótką chwilę Sukanya wydaje się skupiona na niej, a nie zawieszona w przestrzeni. Gdy Isabel mruga, Sukanya odpowiada jej tym samym... a potem powoli odwraca wzrok. Isabel wie, że było to pożegnanie.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Wybiega za róg i widzi ogrodnika, który podlewa klomb z niecierpkami. Zwalnia do marszu i na chwilę zatrzymuje się, patrząc, jak ogrodnik ponad kolorowymi kwiatami delikatnie przekłada wąż z jednej strony klombu na drugą. Jego zaraźliwy spokój urzeka ją.

Teraz musi wyrwać się z tego czaru.

Alex. Praca w ANN. Po raz pierwszy od bardzo dawna myśli o przyszłości. I po raz pierwszy od bardzo dawna nie boi się tej przyszłości.

Lark, Kristen, Ben, Melanie, Regina, Keisha, Sukanya; ich twarze przebiegają przez jej umysł i zacierają się. Spogląda w bok na budynek oddziału i przymyka oczy. Wie, że czas już stąd odejść.

- Hej! - woła, podbiegając do ogrodnika.

Nigdy nie dowiedziała się, jak mu na imię. Odpowiada jej, nie odwracając się. W jego głosie słychać uśmiech. Czy to tylko jej wyobrażenie, czy on również wie, że ona wychodzi?

- Witaj, przyjaciółko.

- To mój ostatni dzień tutaj - mówi Isabel, przebierając nogami w miejscu.

Wie, że gdyby stanęła nieruchomo, oznaczałoby to zaproszenie do prawdziwej rozmowy, a na to nie ma ochoty. Chce już iść do przodu.

- Dobra nowina, dobra nowina. - Ogrodnik kiwa głową i spogląda w jej stronę, ale jego ramię nie przestaje poruszać węzłem nad spragnionymi kwiatami.

- No cóż, może się jeszcze zobaczymy – mówi Isabel, niepewna, jak ma się pożegnać.

- Mam nadzieję, że nie, przyjaciółko. Mam nadzieję, że nie - odpowiada ogrodnik.

- Piękny dzień dzisiaj, prawda? - woła jeszcze Isabel przez ramię, odbiegając już w stronę oddziału.

- Każdy dzień jest piękny. Każdy dzień jest piękny.

TLR